

 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY[®]



SARAH
MALLORY

Miłość w czasach wojny

Sarah Mallory

Miłość w czasach wojny

Tłumaczenie:
Barbara Ert-Eberdt

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Minęła dopiero godzina. Czas dłużył się mu niemiłosiernie. Randall spojrzął na zegar. Z natury był mało towarzyski, wolał kameralne spotkania z najbliższymi przyjaciółmi. Chciał jednak zadowolić siostrę i dlatego stawiał się na tym przyjęciu, gdzie było mnóstwo obcych mu ludzi, i udawał, że doskonale się bawi.

Hattie przekonywała, że gospodarze byli parą poczciwców, którzy wypełniali sobie czas goszczeniem interesujących ludzi. Aż roilo się od intelektualistów, artystów i ateistów.

- Nie zapominaj o kupcach - dodał z przekąsem.

- Bentinckowie zapraszają ludzi ze względu na to, co mają do powiedzenia, a nie z powodu ich pozycji towarzyskiej! - Roześmiała się na widok zde gustowanej miny Randalla. - Musisz pójść ze mną, będą zachwyceni widokiem hrabiego, prawdziwego para. Na dodatek żołnierza.

- A czy biskup aprobuje wasze uczestnictwo w tego rodzaju spotkaniach? - zapytał, mając na myśli ją i jej męża, wiejskiego proboszcza.

- Nie do końca, ale Theo lubi tam chodzić. Uważa to poniekąd za swoją misję. Twierdzi, że Słowo Boże należy głosić właśnie wśród nienawróconych, a nawet hereetyków.

Patrząc na szwagra na drugim końcu salonu, Randall doskonale wiedział, co ma na myśli. Theo Graveney prowadził gorącą dysputę z grupką dżentelmenów. Gestykulowali gwałtownie, wchodząc sobie nawzajem w słowo.

Większość towarzystwa stanowili pisarze i uczeni. Nie brakowało kupców i artystów. Znalazła się też para francuskich emigrantów. Nie było natomiast żadnego wojskowego oprócz niego. Całe towarzystwo było zajęte wyłącznie sobą; nie zwrócił on niczyjej uwagi. Kobiet było niewiele - ale wszystkie wypowiadały się równie śmiało, co mężczyźni.

Randall nie przepadał za takim głośnym i rozgadany towarzystwem, więc sam również trzymał się od niego z daleka w odległym kącie pokoju. Wiedział z góry, że tak będzie, i teraz wyrzucał sobie, że powinien zostać w Somervil. Uległ jednak namowom siostry i przyszedł. Pani Bentinck, dość serdeczna przy powitaniu, ostrzegła go, czego może się spodziewać.

- Nie robimy ceregieli, milordzie. Nie mamy zwyczaju nikogo przedstawiać. Musi pan sam sobie radzić, jak reszta gości.

Rzekłszy to, oddaliła się z Hattie, pozostawiając mu wybór grupki, do której mógłby się przyłączyć. Ale Randall nie chciał się do nikogo przyłączać. Bonaparte maszerował przez Francję i Anglię znowu znalazła się na krawędzi wojny, nie w głowie mu były jałowe dysputy.

- Co myślisz o naszym małym zgromadzeniu, Randall? - zagadnęła siostra, która wróciła do niego z kieliszkiem wina.

- To ma być „małe zgromadzenie”, Hattie?

- Niektórzy z nich przybyli z daleka, specjalnie po to, żeby wziąć udział w tym spotkaniu - oznajmiła z dumą.

- Możliwe, ale takie towarzystwo nie jest w moim guście. Jestem żołnierzem, wolę zwykłych, prostych ludzi.

- Justin, nie wybrzydzaj, proszę. Na pewno znajdziesz kogoś godnego uwagi, tylko nie zadzieraj nosa. Rozchmurz się i rozejrzyj dookoła. Jesteś światowym człowiekiem, nic nie powinno cię dziwić. - Poglaskała go na odchodnym po ramieniu.

Randall wiedział, że nie może stać przez cały wieczór w jednym miejscu, więc zaczął spacerować po pokoju i przysłuchiwać się konwersacjom, lecz włączał się do nich tylko z rzadka. Nie miał na sobie munduru i zaczynał żałować, że go nie włożył. Przynajmniej byłoby wiadomo, kim jest, i nie proszono by go o opinie na temat tomiku poezji, jaki się właśnie ukazał drukiem, ani nie pytano by, czy czytał jakiś nowy, bardzo zawiły traktat religijny. Zastanawiał się właśnie, kiedy będzie mógł taktownie opuścić to zgromadzenie, gdy za plecami usłyszał czyjś cichy, melodyjny głos.

- Czuje się pan chyba trochę zagubiony.

Odwrócił się. Głos należał do kobiety. Nie powinien być zaskoczony jej śmiałością, zważywszy na zwyczaje panujące w tym towarzystwie. W jej wyglądzie nie było niczego nadzwyczajnego. Miała na sobie niebrzydki suknię z kremowego muślinu. Płowych włosów spiętrzonych na czubku głowy nie zdobiły żadne wstążki czy kwiaty. Zachowywała się pewnie, co mogło dziwić w jej młodym wieku - wyglądała bowiem najwyżej na dwadzieścia dwa lata. W zielonych oczach czały się iskierki humoru. Nie uśmiechnął się jednak do niej.

- Nie zagubiony, lecz rozmarzony, łaskawa pani - odpowiedział.

- Nigdy pana tutaj nie widziałam. Jestem Mary Endacott. Pani Bentinck jest moją kuzynką.

Zamilkła. Najwyraźniej oczekiwała, że on również się przedstawi.

- Jestem Randall - rzucił, zaskoczony jej bezpośredniością.

- Hrabia? Brat Harriett? - Uniosła brwi.

- Jest pani zdziwiona?

Zimny ton powinien podzielać na nią deprymująco, ale Mary Endacott tylko się uśmiechnęła.

- Owszem. Nie powiedziałabym, że jest to pana zwyczajowe towarzystwo... tak ekscentryczne w swoich poglądach.

- Otrzymałem zaproszenie w ostatniej chwili.

- I nie znalazł pan wiarygodnego usprawiedliwienia, aby nie przybyć.

- Jestem zadowolony, że się tu znalazłem - odparł ostrożnie.

- Ale wolałby pan nie spotykać się z nami na niwie towarzyskiej. Obserwowałam pana, milordzie, nie wygląda pan, jakby dobrze się bawił.

- Tylko dlatego że mam myśli zaprzątnięte czymś innym.

- Może zbliżającą się konfrontacją z Napoleonem?

- Między innymi.

- Zgadza się, że rozprawianie o sztuce i filozofii, gdy ważą się losy Europy, jest raczej nie na miejscu.

- Właśnie. - Popatrzył na jej dłonie, w których trzymała zamknięty wachlarz. Nie miała na palcu prawej dłoni obrączki, wypowiadała się jednak z pewnością mężatki.

Rozejrzał się po pokoju.

- Który z dżentelmenów jest pani mężem?

- Nie jestem zamężna! - Zachichotała. - To samo odnosi się do większości obecnych tu kobiet, lecz w moim przypadku nie jestem także z nikim w związku. Wielu tutejszych gości jest przeciwnych koncepcji małżeństwa, jaką znamy - wyjaśniła. - Żadna uroczystość kościelna nie jest w stanie związać mężczyzny z kobietą, może to uczynić tylko miłość. Miłość i wspólnota intelektualnych zainteresowań, rzecz jasna.

Patrzyła mu śmiało w oczy. Odnosił wrażenie, że próbowała go zgorszyć.

- I pani podziela takie przekonanie?

Z satysfakcją zauważył, że jego bezceremonialne pytanie zachwiało jej pewnością siebie. Zrobiło mu się jednak z tego powodu trochę przykro.

- Tak zostałam wychowana.

- Ja zaś uważam, że trzeba wielkiego zaufania ze strony kobiety, żeby wejść w związek z mężczyzną bez błogosławieństwa Kościoła. Taka kobieta rezygnuje z ochrony, jaką daje nazwisko męża.

- Owszem, ale zachowuje wolność. Obecnie obowiązujące prawo jest skandalicznie niekorzystne dla kobiet.

- Trudno się z tym nie zgodzić, panno Endacott.

Musiał przyznać, że miała zdecydowane poglądy.

- Och, Mary, widzę, że poznaliście się już z moim bratem.

Randall nie zauważył, kiedy Harriett podeszła. Kobiety objęły się serdecznie.

- Przedstawiliśmy się sobie - powiedział lakonicznie.

- Zbędna formalność - odparła Harriett. - Zauważyłaś jego nos, Mary? Wszyscy Latymorowie mają taki... i wielu mieszkańców wioski także, dzięki naszemu papie. W Chalfont nie można zrobić kroku, żeby nie spotkać jego bękartów. Nie patrz tak na mnie, Randall, Mary wie wszystko o rozwiązłości naszego ojca. Jesteśmy starymi znajomymi. Byłyśmy razem na pensji panny Burchell.

Randall uspokoił się nieco. Postępowa panna Endacott była jedną z wolnomyślnych przyjaciółek Harriett ze szkolnej ławy.

- To wiele wyjaśnia - mruknął.

- Czyżby Mary zdążyła już zgorszyć cię swoimi radykalnymi poglądami? Jej rodzice byli wielkimi admiratorami Mary Wollstonecraft^[1]. To na jej cześć nadali córce imię.

Mary Endacott zaśmiała się wdzięcznie.

- Oczywiście, że starałam się go zgorszyć, Hattie, ale twój brat nie połknął przyjęty.

- Jest żołnierzem i dowódcą oddziału wyjątkowych... jak by to ująć... zabijaków. Nie tak łatwo go zgorszyć.

Randall poczuł się nieswojo pod ciężarem spojrzenia dwóch par roześmianych oczu. Skinął głową i odszedł. Na Boga, wolałby stawić czoło szarżującej francuskiej kawalerii niż tym dwóm dworującym sobie z niego kobietom! - pomyślał i minął Theo, który otoczony grupą duchownych wytaczał raczej dziwnie brzmiące w jego ustach argumenty za przyznaniem pełni praw publicznych katolikom. Zbliżał się do młodych ludzi dyskutujących o twórczości romantycznych poetów z Krainy Jezior,

kiedy wyrósł przed nim pan Bentinck i poprowadził go w drugą stronę salonu.

- Widzę, że niezbyt swobodnie się pan czuje w tym towarzystwie, milordzie - zagadnął Randalla.

- Wyznam, że łączy mnie niewiele wspólnego z pańskimi gośćmi - odpowiedział ostrożnie. - Mówiąc szczerze, przyszedłem, żeby zrobić przyjemność siostrze.

- Ach tak, pani Graveney. Wiem, że ona nie lubi, kiedy się o niej mówi lady Harriett, co wcale nie przeszkadza jej być bardzo z pana dumną. Głównie dlatego, że poszedł pan w ślady dziadka i został artylerzystą. Są tutaj panowie, z którymi rozmowa może bardziej przypaść panu do gustu.

Bentinck przyprowadził Randalla do grupki kupców spragnionych najnowszymi wieściami o Bonapartem. Stał z nimi chwilę, rozmawiając o ostatnich wydarzeniach i o tym, jak mogą one dotknąć ich interesów.

Dobry obiad, który podała siostra w Somerville, oraz doskonałe wina Bentincka zaczynały działać. Randall poczuł się bardziej odprężony i rozmowa zaczynała mu iść zupełnie gładko. Uczestnicząc w niej, nie spuszczał wzroku z Mary Endacott przechadzającej się po salonie. Miała piękną figurę i poruszała się z naturalną gracją. Podobało mu się kołysanie bioder, które wprawiało w urzekający, falujący ruch jej spódnice. Kiedy znalazła się w pobliżu, opuścił krąg rozmówców.

- Nie jest pani zainteresowana żadną z toczonych dyskusji, panno Endacott?

- Ależ tak, są fascynujące, lecz gorąca debata teologiczna z panem Graveneyem sprawiła, że odczułam pragnienie.

- Pani pozwoli - poprowadził ją ku stolikowi pod ścianą, na którym stały dzbanki i karafki z napojami. Nalał wina do dwóch kieliszków, jeden podał jej.

- Dziękuję - powiedziała. - Pan zapewne ma na każde skinienie służbę, która tylko czeka na wezwanie.

- Próbuje pani wprawić mnie w zażenowanie, panno Endacott? Nie uda się pani. - Usiedli razem na kanapie. - Jestem żołnierzem przyzwyczajonym do niewygody.

- Nie wątpię! - Roześmiała się. - Hattie opowiadała mi o pańskich podkomendnych, łotrach najgorszego autoramentu, jakich można znaleźć w armii. Gdyby pan nie wziął ich pod swoją komendę, większość dawno by już zawisała na stryczku. Nie aprobuję wojny, lecz to, co pan zrobił, zasługuje na podziw. Czytałam w gazetach, jak sobie poczynali podczas kampanii na Półwyspie Iberyjskim.

- Są dobrymi artylerzystami.

- Bo mają dobrego pułkownika.

Wzruszył ramionami.

- Żądam tylko dwóch rzeczy, panno Endacott. Bezwarunkowego posłuszeństwa i lojalności.

- Żądanie lojalności potrafię zrozumieć, ale jeśli chodzi o bezwarunkowe posłuszeństwo... nie bardzo. Wątpię, czy ja mogłabym je komukolwiek okazywać. Mimo wszystko, muszę panu pogratulować sukcesu. Przekształcić takich ludzi w zdyscyplinowany oddział artylerii to niewątpliwe osiągnięcie.

- Przeszłość moich ludzi mnie nie interesuje, najważniejsze, żeby umieli walczyć.

- Ale jak trzymać takich ludzi w ryzach?

- Za pomocą żelaznej dyscypliny. Chłosta jest dość skutecznym środkiem. Każdy, kto przychodzi do mojego oddziału, wie, że to jego ostatnia szansa.

Zauważył dezaprobatę w jej oczach.

- To brutalny sposób.

- Konieczny. Na wojnie człowiek musi wiedzieć, że może polegać na swoich towarzyszach.

- Wolałabym, żeby nie było wojen i konieczności utrzymywania armii.

- To marzenie wszystkich myślących istot. - Z ciekawością przyglądał się igrającym na jej twarzy emocjom.

- Mój ojciec był gorącym zwolennikiem Rewolucji Francuskiej i Bonapartego, przynajmniej na początku. Papa sądził, że Bonaparte wprowadzi demokrację. On tymczasem ogłosił się cesarzem i zaczął pustoszyć Europę.

- Dlatego dopóki nie będzie pokoju na świecie, będziemy potrzebowali żołnierzy, panno Endacott.

- To prawda. Ale to smutny temat, dlaczego nie porozmawiamy o czymś weselszym?

- Na przykład o pani - powiedział ku własnemu zdumieniu, ale było warto, bo jej policzki zabarwił rumieniec.

- To nie jest zajmujący temat.

- Może pozwoli pani, że ja to osądzę? - zapytał, lecz z obawy, że ona wstanie i odejdzie, dodał: - Dobrze, to jaki temat pani proponuje? Umówmy się, że następny wybiorę ja.

Przyjrzała mu się z uwagą. Na jej ustach zaigrał cień uśmiechu.

- Dobrze. Chciałabym się dowiedzieć, co skłoniło bardzo poważnego hrabiego do przyścia na to przyjęcie.

- To proste. Przyszedłem, bo poprosiła mnie o to siostra.

- Mimo że nie odpowiada panu nasze towarzystwo?

- Tak jest. Przyjechałem tylko na tydzień, więc nie chciałem rozstawać się z Harriett nawet na jeden wieczór.

- Hattie zawsze twierdziła, że pan jest najlepszym ze wszystkich Latymorów. - Zauważyła jego zdziwienie, jej uśmiech stał się wyraźniejszy. - Niech pan nie zapomina, że nasza przyjaźń z Hattie trwa od wielu lat. Wiem, jakie zgorszenie pańskiej matki, hrabiny, wywołała Hattie, która powróciła ze szkoły z głową nabitą myślami o niezależności. Ze mną było podobnie. Obie chciałyśmy żyć po swojemu i deklarowałyśmy, że nigdy nie wyjdziemy za mąż. Pańska rodzina musiała z ulgą przyjąć fakt, że zaraz potem Hattie zakochała się po uszy i od trzech lat jest szczęśliwą mężatką.

- W rzeczy samej. Graveney cieszył się względną niezależnością finansową, więc matka, zadowolona, że córka wyjdzie przyzwoicie za mąż, była skłonna przymknąć oko na jego raczej niekonwencjonalne poglądy w kwestiach społecznych.

Randall dziwił się swojej otwartości. Zazwyczaj z nikim nie rozmawiał o sprawach rodzinnych, ale tę kobietę otaczał nieuchwytny czar, który sprawiał, że czuł się w jej towarzystwie wyjątkowo swobodnie.

- Więc oni żyją sobie szczęśliwie w Susseksie zupełnie nieświadomi tego, że rodzina Harriett nie do końca aprobuje ich związek.

- Ja aprobuję - powiedział miękko. - Nie mam żadnych obiekcji wobec Graveneya. Jest odemnie o dekadę starszy i mamy niewiele wspólnego, cenię go jednak

za to, że mówi, co myśli.

- Nie ma pan nic przeciwko temu? - Uniosła pytająco brew.

- Bynajmniej, szanuję go za to. I jestem zadowolony, że uszczęśliwił Harriett. - Na widok jej uśmiechu zapytał: - Powiedziałem coś śmiesznego?

- Hattie uprzedzała mnie, że różni się pan od reszty Latymorów.

- Doprawdy? - Zesztywniał. - Mógłbym zapytać, co takiego opowiadała pani o naszej rodzinie?

- Nie zamierzała wcale jej krytykować - dodała pospiesznie. - Zaznaczyła jedynie, że jest pan bardziej tolerancyjny od reszty. Domyślam się że dlatego, że jest pan żołnierzem. Przypuszczam, że pańska mama, lady Randall, prowadzi dom, zarządza posiadłością pod pańską nieobecność i dogląda wychowania młodszych braci.

- Owszem, mam młodszych braci bliźniaków. Wciąż są w Eton.

- Ile mają lat? Czternaście? Nie wątpię, że są z pana bardzo dumni.

- Tego nie wiem, rzadko ich widuję. Większość ich życia spędziłem na wojnie.

- To smutne, mogliby się od pana wiele nauczyć. Nigdy pan nie myślał o porzuceniu wojska i o powrocie do domu? O przejęciu roli głowy rodziny?

Do domu? Czy on kiedykolwiek czuł się w Chalfont Abbey jak w domu? Fakt, że obca kobieta śmie tak go wypytywać, wzbudził w nim przyływ lekkiej irytacji.

- Mam pracę do wykonania, panno Endacott. Chyba pani niezbyt dobrze rozumie, co to znaczy mieć obowiązki wobec swoich ludzi i kraju.

- Naturalnie, rozumiem doskonale, ale może, kiedy skończy się ta wojna, postanowi pan zostać w Chalfont. Jestem pewna, że mama byłaby zadowolona z pana wsparcia.

- Wątpię. Zawsze sobie dobrze beze mnie radziła.

Powiedział to zdecydowanym głosem, choć nie miał pewności, czy tak jest istotnie. Podczas ostatniego pobytu w Chalfont zauważył, że matka postarzała się i coraz więcej obowiązków cedowała na zarządcę.

- A co z resztą pańskiej rodziny? Harriett wspominała, że pańska najstarsza siostra jest w Europie.

- Owszem.

- Nie podoba się to panu?

Żachnął się i pomyślał, że ta młoda osóbka jest zanadto dociekliwa. Mógłby zlekceważyć jej pytania, ale dobrze mu się z nią rozmawiało, lepiej niż z innymi gośćmi, których spotkał dzisiaj wieczoru.

- Z tego, co mi mówiła Harriett, bryluje w angielskich kręgach towarzyskich Paryża.

- Zgadza się, a jej ogłupiały z miłości mąż pozwala jej na wszystko. Matka wysłała z nimi naszą najmłodszą siostrę, Sarah, w nadziei, że spotka odpowiednich kandydatów na męża i przyjmie oświadczyzny któregoś z nich... - Prychnął. - Matka uważa, że dwadzieścia dwa lata to najwyższy czas, by się wydać za mąż.

- Oczywiście, dwadzieścia dwa lata to praktycznie staropanieństwo! - Roześmiała się.

- Jej bliźniak też jest nieżonaty. Czy pani wie, że w naszej rodzinie bliźnięta pojawiały się dwukrotnie? Dorosłości dożyło siedmioro dzieci. Ja jestem najstarszy.

Nasz ojciec był wyjątkowo... produktywny.

Zacisnął zęby. Stary hrabia był znany z nienasyconego apetytu nie tylko na żonę, lecz także na inne kobiety.

- Tak, wiem, że Sarah ma brata bliźniaka. Ale jeśli chodzi o mężczyzn, to ich nikt nie zmusza do małżeństwa. Pański brat będzie cieszył się wolnością tak długo, jak zechce. Jak mu się podoba w kawalerii?

- Nie mam pojęcia. Nie korespondujemy ze sobą.

- Pan wybaczy to, co powiem, lordzie Randall, ale nie jest pan człowiekiem przesadnie rodzinnym; sądzę jednak, że to reguła wśród szlachetnie urodzonych.

- A co pani wie o szlachetnie urodzonych, panno Endacott? - zapytał chłodno i zauważył, że zrobiło się jej przykro.

- Uraziłam pana - powiedziała cicho. - Lepiej sobie pójdę...

Jeszcze przed chwilą odesłałby ją do diabła, ale kiedy spróbowała wstać, wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać.

- Mieliliśmy umowę, panno Endacott. - Wiedział, że nie zatrzyma jej siłą, więc użył łagodniejszego tonu. - Proszę, niech pani zostanie i ze mną porozmawia.

Złagodniała. Usiadła i czekała na dalsze słowa.

- Czy pani długo pozostanie u Bentincków?

- Tylko dwa tygodnie. Żałuję, bo nie nacieszyłam się jeszcze Harriett.

- To dlaczego nie zostanie pani dłużej? Jeśli pani Bentinck nie może oferować pani dłuższej gościny, moja siostra zrobi to z rozkoszą.

- Już mi proponowała, ale to niestety niemożliwe. Wzywają mnie interesy. - Zauważyła jego pytające spojrzenie i roześmiała się. - Nie jestem damą, która nie ma nic do roboty, milordzie. Muszę zarabiać na życie. Gdybym była uczoną, poetką lub pisarką, być może zostałabym w Susseksie i tu trudniła się piórem.

- Ach tak? Czym zatem się pani trudni? Handlem?

W jej oczach rozbłysło znowu niepokojące światło.

- Owszem... Poniekąd. Muszę wracać do moich dziewcząt, do moich pań, jak je nazywam - poprawiła się z przekornym uśmiechem.

W tym momencie stanął przed nimi jakiś młody człowiek i poprosił pannę Endacott, by wsparła go w sprzeczce z przyjacielem. Widząc, że Randall nie posiada się z oburzenia, że przerwano im rozmowę, Mary Endacott powiedziała:

- Wiem, że nie jest pan przyzwyczajony do takiej swobody zachowania, proszę jednak nie zapominać, że nikt tu nie wie, kim pan jest. - Wstała. - Proszę wybaczyć. I tak spędziłam z panem zbyt dużo czasu. Moja reputacja byłaby zrujnowana, gdybym ją miała! - dodała z przekorą.

Randall patrzył, jak odchodziła. Był zaintrygowany panną Mary Endacott. Obserwował ją, jak dołącza do grupy panów i czuje się w ich towarzystwie swobodnie. Śmiała się, zabierała głos w rozmowie. Nie nazwałby jej ładną, ale z pewnością była atrakcyjna i podobała się mężczyznom. Zaczął zastanawiać się, co to za handel, którym się trudni, mając do czynienia „z paniami”. Naraz przypomniały mu się słowa siostry: „Mam nadzieję, że nie zdziwisz się, w jakim towarzystwie się obracamy”.

Zdębiał. Czy Harriett miała na myśli właśnie „to”?

Mary starała się skoncentrować na toczącej się wokół rozmowie, ale nie mogła. Prześladowało ją spojrzenie niebieskich oczu i widok pociągłej, przystojnej twarzy lorda Randalla stojącego samotnie pod ścianą pokoju. Potrafiła się wczuć w jego sytuację i żałowała, że w niekonwencjonalnym towarzystwie, które zebrało się u Bentincków, nie było nikogo, z kim mógłby on znaleźć wspólny język.

Był wysoki i zbudowany bardzo proporcjonalnie. Mary zwróciła również uwagę na krótko, zgodnie z obowiązującą modą, obcięte włosy, brązowe z lekko wypłowiałymi od słońca pasemkami, i doskonale uszyte ubranie. Ciemnoniebieski żakiet leżał doskonale na szerokich ramionach, a jego surowość łagodziły biała pikowana kamizelka i śnieżnej białości płócienny krawat i mankiety.

Nie miała wątpliwości, że czułby się inaczej na przyjęciu dla gości z jego sfery, gdzie wszyscy się znali, a nowo przybyłych przedstawiano po to, by nikt nie miał wątpliwości co do ich rangi i pozycji towarzyskiej. Powodowana odruchem współczucia wykonała w jego kierunku pierwszy krok, tymczasem potraktował jej inicjatywę z arystokratycznym chłodem. Utkwił w niej zimne spojrzenie i poinformował, że nazywa się Randall. Mary słyszała w przeszłości o tym wyniosłym i zasadniczym bracie Harriett.

Pamiętała listy, jakie otrzymywała od niego siostra podczas pobytu na pensji panny Burchell. Zwięzłe i rzeczowe, żadnych plotek ani czułości. Przed świętami i wakacjami po Harriett zawsze przyjeżdżał z domu ktoś ze służby, Mary nigdy więc nie miała okazji osobiście poznać Justina Latymora, który poświęcił się karierze wojskowej i nie opuścił armii nawet po śmierci ojca i odziedziczeniu tytułu hrabiego. Harriett kochała brata i była z niego dumna. Zawsze podkreślała, że on jeden nie sprzeciwiał się jej małżeństwu z Theophilusem Graveneyem, mimo to Mary wyrobiła sobie o nim niezbyt pochlebne zdanie: uważała, że jest człowiekiem zimnym, nieprzystępnym i kompletnie pozbawionym poczucia humoru.

Taki też okazał się w dzisiejszej rozmowie. Zesztywniał, jakby połknął kij od szczotki. Nie był ewidentnie przyzwyczajony do tego, żeby młode kobiety przedstawiały mu się z własnej inicjatywy.

Tłumaczysz go, bo imponuje ci jego tytuł, skarciła się w duchu. Co stało się z twoim przekonaniem, że o wartości człowieka decydują osobiste przymioty, a nie urodzenie?

Nie potrafiła przestać o nim myśleć. Tym bardziej że on najwyraźniej cały czas śledził ją wzrokiem. Fakt ten sprawiał, że zaczynała się czerwienić. A myślała, że dawno już z tego wyrosła. Okazuje się, że dwudziestoczteroletnia kobieta nadal może podobać się mężczyźnie. I to nie byle jakiemu - hrabiemu!

- Mary, co ci tak wesoło? - przywołał ją do przytomności głos pani Bentinck. - Goście zbierają się do wyjścia. - Mary dołączyła do Harriett, która ją przywoływała do siebie ruchem dłoni.

- Zostaliśmy zaproszeni na kolację z domownikami - poinformowała przyjaciółkę Harriett.

- Aha! - Wzrok Mary powędrował mimowolnie ku wysokiej postaci hrabiego przed kominkiem. - Lord Randall musi być bardzo zmęczony, ma za sobą długą drogę...

- Nie pleć głupstw. Jest zaprawionym w trudach żołnierzem. Jeśli trzeba, może

obyć się bez snu przez całą noc. Prawda, Justinie?

Mary myślała, że hrabia zatopiony w rozmowie z panem Graveneyem nie zareaguje, on tymczasem odwrócił głowę i znowu znalazła się pod lustrującym spojrzeniem jego hipnotyzujących niebieskich oczu.

- Prawda. Zwłaszcza że to nie tylko przyjemność, ale także zaszczyt cieszyć się dłużej takim doborowym towarzystwem.

- Justinie, nie spodziewałam się, że potrafisz być taki miły! - wykrzyknęła zdziwiona Harriett.

Mary poczuła na sobie pytające spojrzenie przyjaciółki. Udała, że najważniejszą dla niej sprawą w owej chwili było wygładzenie sięgającej łokcia rękawiczki. W ja-dalni manewrowała tak, żeby usiąść przy stole pomiędzy kuzynką a Harriett. Uzna-ła, że dla własnego spokoju powinna znaleźć się jak najdalej od hrabiego. Plan spalił na panewce, kiedy szkolna koleżanka podniosła się z zajmowanego miejsca i zawo-łała do brata:

- Zamienimy się miejscami? Zimno mi, wołałabym usiąść bliżej kominka.

Już po chwili hrabia sadowił się na sąsiednim krześle. Mary starała się nie odry-wać wzroku od swojego talerza, ale trudno było nie widzieć jego smukłych nóg w czarnych obcisłych spodniach.

Zamknęła oczy. Co się z nią dzieje? Nie jest przecież pensjonarką, którą krępuje obecność mężczyzny.

- Panno Endacott, dobrze się pani czuje?

Dźwięk głębokiego i aksamitnego głosu bynajmniej nie podziałał uspokajająco na Mary, jednak obawa, żeby się nie skompromitować w obecności siedzących przy stole, okazała się na tyle silna, że odpowiedziała względnie przytomnie.

- Raczej tak, dziękuję, milordzie. Zamyśliłam się.

- Zapewne myślałaś o czekającej cię pod koniec tygodnia długiej drodze - ode-zwiała się z sąsiedniego miejsca pani Bentinck.

- Nie rozmawiajmy o mnie - zaprotestowała Mary.

- Randall też wyjeżdża w sobotę - wtrąciła Harriett.

- Dołączy pan do Wellingtona, jak się domyślam - powiedział Bentinck. - Wypływa pan z Dover?

- Z Folkestone - odpowiedział hrabia. - Mam tam własny jacht.

- Myślałam, że go sprzedałeś - zdziwiła się Harriett.

- Nie. Wysłałem go do Chatham, aby go odnowili.

- Mówiłem ci, że twój brat nigdy się go nie pozbędzie - oznajmił Graveney. - Bo-gacze są przywiązani do swoich zabawek.

- O ile wiem, jacht lorda Randalla służył do przerzucania naszych żołnierzy z Hiszpanii, prawda? - Mary nie wiedziała, dlaczego uznała za konieczne ruszyć z pomocą hrabiemu, tym bardziej że w ten sposób znowu kierowała uwagę na sie-bie.

- Tak było.

- Jest nam miło, że zaszczycił nas pan dzisiaj swoją obecnością, milordzie - oznaj-mił pan Bentinck, zwalniając Mary z konieczności kontynuowania tego wątku roz-mowy. - Pani Graveney musiała pana uprzedzić, że nasze spotkania ściągają ludzi o raczej rewolucyjnych poglądach.

- I dlatego właśnie tak lubimy się u państwa spotykać - wykrzyknął Graveney, wymachując w powietrzu widelcem. - Takie debaty są naprawdę ożywcze. Niektórzy z tych młodych ludzi są pełni zapału.

- Och, to prawda - przyznał gospodarz - w większości przypadków jednak ich zapał stygnie w miarę dojrzewania. Spójrzmy na Southeya. Za młodu zaciekle radykał, dzisiaj twórca wiernopoddańczych panegiryków na cześć króla^[2].

- Proza życia ostudziła jego radykalizm - zauważyła Mary. - Poeta też musi jeść.

- To kwestia zasad - sprzeciwił się lord Randall. - Nie można rezygnować z nich nazbyt łatwo.

- Nie zgadam się - pokręciła głową Mary. - Jesteśmy skazani na kompromisy, jeśli musimy zarabiać na życie.

- Tak jak to zrobiłaś ty - dodała Harriett.

Mary znowu poczuła na sobie wzrok hrabiego. Była pewna, że zaraz zacznie dociekać, co miała na myśli siostra. Na szczęście pan Graveney zmienił temat rozmowy i Mary skwapliwie go podchwyciła.

- No i co powiesz? Nie był to w końcu taki zły wieczór, prawda?

W ciemnym wnętrzu powozu Randall nie mógł widzieć twarzy siostry, ale wyczuwał, że się uśmiechała.

- Niektórym z tych młodych ludzi dobrze zrobiłaby dyscyplina wojskowa - odpowiedział. - Idealizm wywietrzałby im z głów.

- Ale my potrzebujemy ich takimi, jacy są - wtrącił Graveney. - To oni przejmą rządy w naszym wielkim kraju.

- O ile będziemy wciąż mieli kraj - zauważyła Harriett. - Bonaparte powrócił silniejszy niż dawniej.

- Możliwe - odpowiedział Randall. - Tym razem jednak musi się osobiście zmierzyć z Wellingtonem.

- Naprawdę uważasz, że książę będzie w stanie pokonać go?

Randall pomyślał o zaprawionym w bitwach wojsku, które nie zdążyło wrócić z Ameryki, i o niewyćwiczonych żołnierzach, którzy po raz pierwszy powąchają prochu, nie mówiąc o ich dowódcach; impulsywnym księciu Orańskim i wodzach skłóconych frakcji wśród sprzymierzonych. Odpowiedź, której udzielił, nie oddawała jego czarnych myśli.

- Oczywiście, że go pobijemy. I tym razem ostatecznie.

- Wkrótce dołączysz do swojego oddziału. - Harriett przywarła do jego ramienia.

- Obiecuj, że będziesz ostrożny.

- Zawsze jestem ostrożny.

- Weźmiesz ze sobą szablę dziadka?

- Nigdy bez niej nie ruszam na wojnę.

Poczuł, że uspokoiła się. Szabla była czymś w rodzaju talizmanu. Ojciec nie miał zacięcia do wojaczki, stary hrabia przekazał więc szablę wnukowi. Randall miał ją przy sobie w każdej bitwie i wychodził bez szwanku z największych opresji. Do tej pory dopisywało mu szczęście, lecz zdawał sobie sprawę, że kiedyś może ono go opuścić. Miał jednak nadzieję, że pożyje wystarczająco długo, by ujrzeć klęskę Bonapartego. Jeśli zaś chodzi o sukcesję, to miał braci, więc była zapewniona. Przy-

najmniej nie miał żony, która by po nim płakała.

Wróciła doń wizja Mary Endacott z jej płowymi włosami, zadartym noskiem i poważnymi zielonymi oczami, iskrzącymi się niekiedy wesoło.

Jakby czytając w jego myślach, odezwała się Harriett:

- Zaprosiłam Bentincków na herbatę w środę. Wątpię, czy pan Bentinck przyjedzie, ale Mary na pewno.

- O, Bentinck przyjedzie - zawołał radośnie Graveney. - Sprowadziłem egzemplarz *Micrographii* Hooke'a. Strasznie chce ją obejrzeć. Myślę, że pana także zainteresuje to dzieło, milordzie.

Randall powiedział, że chętnie obejrzy głośną publikację, ale uzmysłowił sobie z niepokojem, że od powiększonych pod mikroskopem obrazów owadów i komórek roślin bardziej pociąga go perspektywa ponownego ujrzenia Mary Endacott.

- Daj spokój, Theo, z tymi twoimi zakurzonymi księgami - upomniała męża Harriett. - Ja mam coś, co bardziej przypadnie do gustu Randallowi. Jeśli utrzyma się bezdeszczowa pogoda, rano wybierzemy się na przejażdżkę konną.

- Moja droga, Randall dość się chyba już nasiedział w siodle - zaprotestował mąż.

- On jest żołnierzem, przywykł do tego. Dotrzymasz mi jutro towarzystwa, prawda, braciszku?

- Na pewno, Hattie.

- Dobrze. Mam dodatkowego konia dla Mary. Ona uwielbia jazdę konną. Zrobimy sobie przyjemną wycieczkę.

Nawet po ciemku Randall nie miał wątpliwości, jak zadowoloną minę musi mieć Harriett. Pokręcił głową i zaklął pod nosem. Siostra zamierzała zabawić się w swatkę i nie marnowała czasu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nazajutrz z rana, kiedy Mary wyjrzała z okna sypialni, Harriett w towarzystwie brata podjeżdżała konno pod dom. Uznała, że nie powinna dopatrywać się niczego dziwnego w tym, że Harriett zaprosiła go na przejażdżkę. Jego koń odznaczał się raczej siłą i wytrzymałością niż pięknym wyglądem. Wielki siwek był tak gęsto nakrapiany, że można by pomyśleć, że nie został zbyt starannie wyczyszczony. Sam lord Randall prezentował się zaś w siodle imponująco. Serce Mary zabiło radośnie, ale zdusiła ten przyływ emocji. Nie powinna sobie zbyt wiele wyobrażać. Wczorajszego wieczoru starał się być uprzejmy, wyraźnie jednak dawał do zrozumienia, że nie podoba mu się jej zachowanie. Dzisiaj też nie będzie łatwo w jego obecności, pomyślała. Oczywiście to bez znaczenia, przecież jej ani trochę nie zależy na opinii tego człowieka. Cieszyła się z góry na przejażdżkę z Hattie i nie pozwoli, żeby obecność Randalla zepsuła jej tę przyjemność.

Harriett dotrzymała słowa i przyprowadziła wierzchowca dla Mary. Temperamentna drobna kara klacz przeznaczona dla przyjaciółki była dużo lepsza od starej kobyły, której sama dosiadała. Mary wyraziła swoje obiekcje już w chwili powitania przed domem.

- Nie przejmuj się, naprawdę wolę swoją starą Juno - powiedziała Harriett. - Zresztą zależy mi na tym, byś była zadowolona.

- Będę - obiecała Mary, sadowiąc się w siodle, podczas gdy klacz niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

Mary była świadoma, że jest obserwowana przez hrabiego i odnosiła wrażenie, że on nie jest zadowolony z jej obecności. Zirytowała się. Nic na to nie poradzi, to nie jej wina, że lord wolałby pojeździć wyłącznie w towarzystwie siostry. Postanowiła nie zwracać na niego uwagi.

Harriett wyprowadziła konie na otwartą przestrzeń, gdzie mogli galopować. Hrabia trzymał się z tyłu, chociaż Mary czuła, że gdyby chciał, mógłby z łatwością prześcignąć obie towarzyszki. Gdy przeszli do stępa, również nie wykazywał chęci dołączenia do pań. W drodze powrotnej do domu Mary czuła się już tak mocno skrępowana jego obojętnością, że postanowiła zainicjować rozmowę. Skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji.

- Widzę, że pan wolałby mieć dzisiaj siostrę na wyłączność.

- Nie opowiadaj głupstw - zaprotestowała Harriett. - Justin jest na ogół mało-mówny. Nie jesteś przesadnie towarzyski, prawda, braciszku?

- Nie widzę konieczności prowadzenia towarzyskich pogawędek podczas spaceru konnego.

- To oczywiste, ale choćby zdawkowa rozmowa nie byłaby nie na miejscu - odparła Harriett. - Mógłbyś na przykład pochwalić wczorajszą suknię Mary. Moim zdaniem wyglądała wyjątkowo korzystnie.

- Nie zwracam uwagi na damskie stroje.

Niezrażona chłodną odpowiedzią Harriett upierała się przy swoim.

- Nie mogłeś nie zauważyć, jak dobrze Mary jeździ konno - nie poddawała się.

- Harriett, proszę, przestań, bo się zarumienię - zaprotestowała Mary, starając się obrócić w żart swoje zakłopotanie.

- Moja siostra ma rację. Nie nadaję się na towarzysza kobiet.

- Delikatnie mówiąc! - potwierdziła skwapliwie Harriett. - Kiedy wkładam nową suknię, zmuszam go, żeby powiedział, co o niej myśli... Jeśli mu się nie podoba, jego uwagi bywają druzgoczące.

- Nie możesz mieć mu za złe szczerości - zauważyła Mary.

- Oczywiście, że mogę - odparła niepoprawna siostra hrabiego. - Za długo jest w wojsku. Nie ma w nim krzty fantazji. Nie potrafi komplementować ludzi.

- Coś mi się wydaje, że Harriett próbuje powiedzieć, że nie należy wiązać ze mną żadnych oczekiwań, panno Endacott - zauważył z poważną miną lord Randall, lecz w jego oczach igrała wesołość.

- Dziękuję za ostrzeżenie! - Mary roześmiała się.

- Niestety... - Westchnęła z przesadą Harriett. - Mój brat jest zatwardziałym kawalerem - zmrużyła oczy i dodała przekornie: - pozostaje tylko mieć nadzieję.

- Jak udała się przejażdżka? Dobrze ci zrobiła, masz takie zdrowe kolorki na policzkach - wypytywała przed kolacją pani Bentinck.

- A co myślisz o hrabim? - zainteresował się pan Bentinck. - Był równie mało towarzyski jak ostatniego wieczoru?

- Dokładnie tak samo - potwierdziła Mary. - Raz tylko nawiązaliśmy rozmowę.

Przez cały czas nie wymieniliśmy więcej niż kilkanaście słów.

Trudno to nawet nazwać wspólną przejażdżką. Randall trzymał się na ogół na odległość. Mimo wszystko była świadoma jego obecności i było jej przyjemnie, że znajdował się w pobliżu. Może nawet zanadto przyjemnie. Czyżby zaczynała czuć do niego słabość? Przecież jest na to za stara. Tylko pensjonarki dają się zauroczyć mężczyznom, nie mając pojęcia o ich charakterze i poglądach. Rozsądnym dwudziestoczteroletnim kobietom to się nie zdarza. Kiedy siadała do kolacji, zaczynało w niej kiełkować niemiłe podejrzenie, że nie była ani taka dojrzała, ani taka rozsądna, jak myślała.

Randall i Harriett wracali do Somervil w milczeniu. Być może Hattie była tylko zmęczona i spieszyło się jej, bo zanosilo się na deszcz. Randall podejrzewał jednak, że gniewała się na niego, gdyż nie spełnił jej oczekiwań i nie okazał się wystarczająco miły dla jej przyjaciółki. Podejrzenie potwierdziło się po powrocie do domu, kiedy natknęli się w holu na Theo.

- O, już jesteście. Jak było, kochanie? - zapytał.

- Mnie całkiem przyjemnie. Ale zamierzam poprosić Robbinsa, by zaparzył ziółek swojemu panu. Justinowi dolega dzisiaj wątroba.

- Nic mi nie dolega.

- Nie odzywałeś się wcale, a Mary po prostu ignorowałaś. Martwiłam się o ciebie.

Randall wprowadził siostrę do pokoju. Theo poszedł za nimi, zamykając przed no-

sem drzwi przysłuchującemu się sprzeczce z kamienną miną służącemu w holu.

- Celowo postanowiłeś być odpychający - atakowała Harriett.

- Nieprawda. Postanowiłem cieszyć się przejażdżką. Nie miałem zamiaru nikogo zabawiać.

- Mary nie jest nikim. To moja przyjaciółka.

- Tym bardziej nie powinnaś wzbudzać w niej fałszywych oczekiwań.

- Miałabym z tym trudności. Ona musi uważać ciebie za największego gbura Anglii - odpaliła Harriett.

- Moje życie jest związane z armią, Harriett. Kobiety, damy, nie odgrywają w nim żadnej roli i nigdy nie będą odgrywały. Powinnaś o tym wiedzieć i nie zabierać się do swatania mnie.

- Ja ciebie nie swatam - zaprotestowała niezbyt przekonująco. - Ale chciałabym, żebyś był miły dla Mary. Jej nie jest łatwo po śmierci rodziców i chociaż wiele ludzi tego nie pochwała, jest zdecydowana zarabiać na życie najlepiej, jak potrafi. - Zauważyła jego uniesione pytająco brwi, więc dodała: - Pozwól zatem, że ci o niej opowiem?

- Nie, Harriett. Nie mam ani dość cierpliwości, ani chęci słuchać twoich opowieści. Specjalnie nie rozmawiałem z tobą o panie Endacott - dodał łagodniejszym tonem - ponieważ wiem, że gdybym o nią zapytał, ty natychmiast zaczęłabyś planować ceremonię ślubną. A powinnaś wiedzieć lepiej niż ja, że panna Endacott nie byłaby dla mnie odpowiednią partią.

- Nie należy już do naszej sfery, ale pochodzi z porządnej rodziny.

- Dosyć! - uciął.

Zapadło milczenie. Randall westchnął i odezwał się łagodnym głosem.

- Hattie, niedługo wyjeżdżam do Brukseli, by stawić czoło największemu zagrożeniu, przed jakim nigdy dotychczas nie stał jeszcze nasz kraj. Nie mam czasu na romanse.

- Zostaw go, kochanie. - Theo dotknął ramienia żony. - Twój brat wyrusza na wojnę, powinien mieć umysł wolny od błahostek.

Randall był wdzięczny Theo za interwencję, ale szwagier mylił się. Randall nie miał wolnego umysłu. Jego myśli krążyły właśnie wokół panny Endacott. Niestety. Dlatego unikał jej podczas przejażdżki. Zauważył, jak dobrze sobie radziła konno i jak ładnie wyglądała w siodle. Jej strój do jazdy konnej z rdzawego cwelichu był może dość mało elegancki, ale nie zdołał ukryć ponętnych wypukłości figury. Randallowi nie udawało się nie wpatrywać się w nią bez przerwy. Wiedząc zaś, z jaką łatwością potrafi ona wciągnąć go w rozmowę, na wszelki wypadek trzymał się od niej cały czas z daleka.

Harriett tymczasem nie przestawała się bocyć. Randalla ruszyło sumienie. Za parę dni wyjedzie. Nie chciał rozstawać się z siostrą w gniewie. Uśmiechnął się blade.

- Przyznaję, że źle się zachowałem, Hattie. Przebaczone.

Nie odpowiedziała, zaś Theo roześmiał się.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby Randall przeproszał z taką pokorą, kochanie. Bądź mądra i przyjmij jego przeprosiny.

- Niech tak będzie. Ale mam nadzieję, że będziesz bardziej szarmancki, kiedy

Bentinckowie przyjdą do nas na herbatę.

Randall nic nie odpowiedział, nie chcąc się do niczego zobowiązywać, a kiedy Harriett stwierdziła, że powinni zmienić zabłocone ubranie, z radością uciekł na górę do swojego pokoju.

Noc niczego nie zmieniła. Myśli Mary wciąż krążyły wokół lorda Randalla. Po zjedzeniu śniadania w sypialni wybrała się na długi spacer w nadziei, że wróci na tyle uspokojona, że będzie mogła normalnie rozmawiać z domownikami. Jej ulubiona trasa spacerowa wiodła ku Somervil, gdzie wpadała na chwilę do Harriett. Tym razem, wiedząc, że tam jest hrabia, wybrała się w przeciwnym kierunku. Wolała potykać się na kamienistej ścieżce przez zagajnik niż zaryzykować spotkanie z nim.

Jej zauroczenie lordem Randallem musiało się wziąć z nadmiaru wina, jakie wypijała podczas pierwszego wieczoru. Nie wstawiła się, ale wypijała więcej niż zazwyczaj podczas podobnych okazji towarzyskich. Bentinckowie mieli piwnicę bogatą w najlepsze gatunki win, łatwo więc było stracić umiar, zwłaszcza kiedy człowieka trapiły trudności finansowe i czekała go perspektywa długiej i męczącej podróży.

Lord Randall z całą pewnością zawrócił jej w głowie. I to wcale nie dlatego, że wyróżniał się powierzchownością spośród wszystkich gości. Do tej pory nie zwracała uwagi na wygląd zewnętrzny mężczyzn. Ceniła u nich przede wszystkim inteligencję, kulturę osobistą i wiedzę. Tacy przystojniacy jak lord Randall budzili w niej skojarzenie z drapieżnikami.

Nie imponował jej jego tytuł. Gardziła mężczyznami, którzy z racji urodzenia i bogactwa uważali się za lepszych od innych i żyli w przekonaniu, że wolno im więcej. Sama nie wiedziała, czy jego atutem były przenikliwe niebieskie oczy, czy melodyjny głos. Kiedy zwracał się bezpośrednio do niej, czuła się tak, jakby ktoś muskał ją po skórze piórkiem. Na samą myśl o tym przenikał ją rozkoszny dreszcz.

Czyżby wkraczała w staropanieństwo? Zauważyła, jak bezbronne bywają starzejące się kobiety wobec przystojnych młodych mężczyzn. Czy tak dzieje się z nią? Czy pozostało jej już tak niewiele godności, że jest gotowa zgłupieć na widok przystojnej męskiej twarzy? Nie. Nie skończy tak żałośnie. Jest inteligentną kobietą i ma dość charakteru, żeby do tego nie dopuścić.

Na szczęście podczas wczorajszej przejażdżki konnej nie zrobiła i nie powiedziała nic, co świadczyłoby o jej zauroczeniu. Ale i on nie wysiłał się, żeby zaskarbić sobie jej sympatię. Kiedy dojechali do domu, nie pomógł jej nawet zsiąść z konia.

- Źródło zauroczenia tkwi wyłącznie w tobie - powiedziała do siebie. - Więc zduś je w zarodku, inaczej przysporzy ci kłopotów.

Była tak głęboko pogrążona w myślach, że nie zauważyła, że zeszała na ścieżkę wzdłuż strumienia i każdemu stawianemu krokowi towarzyszy ból lewej stopy. Usiadła na obalonym pniu drzewa nad wodą i zdjęła but. Wszystko stało się jasne. Kamyk wpadł do buta, przetarł pończochę i spowodował skaleczenie, które zaczynało pulsować i dość obficie krwawić. Zdziwiła się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyła. Rozejrzała się, czy ktoś nie patrzy, zdjęła pończochę i zanurzyła stopę w strumieniu. Po początkowym szoku zimna woda zaczynała działać kojąco.

Obejrzała brązowe półbuty, w których wybrała się na spacer - były prawie nowe. Na szczęście wyściółka z cielej skóry nie zdążyła wchłonąć zbyt dużo krwi. Do-

brze, bo te półbuty były takie wygodne, że zamierzała włożyć je na czekającą ją długą drogę.

Wyciągnęła nogę ze strumienia, zadarła spódnicę i zaczęła osuszać stopę halką. Wtem usłyszała, że ktoś jedzie ku niej konno.

- Lord Randall!

- Panna Endacott!?! Potrzebuje pani pomocy?

Mary zamarła.

- Skaleczyłam stopę - wyjaśniła, starając się zachowywać tak, jak gdyby odsłanianie nóg w obecności dżentelmena było dla niej czymś zupełnie zwyczajnym. - Nic poważnego, proszę się nie facygować...

Za późno. Zeskoczył z konia i był już przy niej.

- Pani pozwoli, obejrzę ranę.

- Nie! To drobiazg, zapewniam. Niech pan nie robi sobie kłopotu.

Zignorował jej protesty, uklęknął obok i uniósł skaleczoną stopę za piętę. Mary skoncentrowała się na utrzymaniu spokojnego oddechu, bo stawał się bardzo nierówny.

- Dziękuję, milordzie - odezwała się z taką godnością, na jaką tylko mogła się zdobyć. - Nie chcę pana zatrzymywać. Właśnie miałam włożyć z powrotem but i...

- Nonsens - przerwał jej szorstko. - Otarcie wciąż krwawi i należy je opatrzyć. Chwileczkę...

Wyciągnął z kieszeni czystą chustkę do nosa. Mary chciała protestować, ale brakowało jej słów. Miał delikatny dotyk i wkrótce poddała się uczuciu przyjemnej niemocy. Złożył chustkę tak, że przypominała bandaż, i obwiązał nią stopę.

- Powinno się trzymać. - Wstał. - Ale o włożeniu buta nie ma mowy. Zawiozę panią do domu konno.

Uniósł ją i posadził bokiem na łąku, następnie sam wskoczył na siodło. Mary nie potrafiła powstrzymać rumieńca, kiedy przyciągnął ją blisko do siebie.

- Będzie pani bezpieczna - powiedział.

Ochraniana z obu stron jego ramionami nie mogła spaść z konia. W tym sensie była bezpieczna. Jednak nigdy nie znajdowała się tak blisko żadnego mężczyzny, oprócz ojca, kiedy w dzieciństwie siadała mu na kolanach. Czuła, jak obejmują ją silne uda Randalla. Siedziała prosto, ściskając zdjęty z nogi but, i walczyła ze sobą, żeby nie odchylić się do tyłu i nie oprzeć głowy na jego piersi.

Dziwne, pomyślała. Droga, którą szła kilka minut temu, teraz wyglądała zupełnie inaczej. Wtedy nie dostrzegała mnogości szafirków wśród pokrywającego grunt dywanu młodych pędów dzikiego czosnku. Słońce świeciło jaśniej poprzez gałęzie drzew, na których zaczynała pęcznieć młoda zieleń, nawet ptaki śpiewały głośniej i weselej. Pachniało wiosną. Wiosna - ukochana pora roku poetów i zakochanych, pomyślała i zaraz otrząsnęła się. Gardziła tanim sentymentalizmem.

Hrabia nie silił się na rozmowę, nie ścisnął jej, nie kleił się. Mary poczuła się swobodniej.

- Chyba powinnam panu podziękować za ratunek. Droga powrotna zajęłaby mi dużo czasu.

- Zrobiłbym to dla każdego kulawego stworzenia. Gdyby koń zgubił podkowę, nie siadałbym na niego, tylko przyprowadził go do domu na piechotę.

- Czyżby pan porównywał mnie do konia, lordzie Randall? - zapytała z niedowierzaniem.

- Ten koń ma dużą wartość, panno Endacott.

Czy naprawdę mówił poważnie? Mary zaryzykowała spojrzenie na jego twarz. Patrzył przed siebie z posępną miną, lecz odniosła wrażenie, że w głębi duszy się śmieje. Spuścił na nią wzrok i rzeczywiście zauważyła błysk wesołości w przepaści-
stej głębi jego niebieskich oczu, podobny do błysku słońca odbitego od tafli jeziora.

Odwróciła głowę. To niemożliwe. Lord Randall był podobno, według Hattie, zupełnie pozbawiony poczucia humoru. Odkrycie ponownie wytrąciło Mary z równowagi.

- Jeśli zsadzi mnie pan tutaj, milordzie, to przez małą furtkę w ogrodzeniu trafie prosto do przydomowego ogrodu. Nie musi pan trudzić się dowiezieniem mnie do samego domu.

- To żaden trud, panno Endacott. Mój koń z łatwością unosi dodatkowy ciężar, zapewniam panią.

Mary nie wiedziała, czy się śmiać, czy złościć. Spróbowała jeszcze raz, bardziej stanowczo.

- Nalegam, milordzie.

- Już dojeżdżamy. Dowiozę panią pod same drzwi.

Koń Randalla był wysoki, a skok na ziemię byłby z pewnością bolesny. Zresztą hrabia zamknął ściślej ramiona, jakby chciał jej wybić z głowy tego rodzaju niedorzeczne pomysły.

- Jest pan obrzydliwie władczy.

- A pani irytująco niezależna.

- Jestem dumna ze swojej niezależności. Mam własny dom, a moja instytucja cieszy się ugruntowaną renomą. Mam wśród patronów czołowe nazwiska w kraju.

- Jestem o tym przekonany. Ale nie pozwolę pani zsiąść samej i zaryzykować zagnienie rany.

- Całe szczęście, że jest pan kawalerem! - Zazgrzytała zębami ze złości. - Z pańskimi manierami trudno by było wytrzymać z panem każdej kobiecie.

- Pełna zgoda, panno Endacott. Z tego powodu pozostaję w bezżennym stanie.

Mary zaniemówiła. Na szczęście podjeżdżali pod dom, gdzie czekała już na nich pani Bentinck.

- Zauważyłam was z okna bawialni - powiedziała. - Co się stało?

- Panna Endacott skaleczyła się w stopę. - Hrabia zsiadł z konia, zsadził Mary z siodła i postawił ją na progu. - Ponieważ nie mogła włożyć buta ze względu na opatrunek, przywiozłem ją do domu. Nie ma powodu do niepokoju. Po wymoczeniu stopy w wodzie z dodatkiem soli i założeniu plastra będzie mogła znowu chodzić.

- Tak, tak, oczywiście. - Pani Bentinck objęła Mary ramieniem. - Rzecz w tym, że pani Graveney zaprosiła nas dzisiaj po południu do Somervil na herbatę.

- Nie widzę powodu, dla którego pani z mężem nie mieliby przyjść - powiedział. - Jestem pewny, że siostra wykaże zrozumienie, jeśli panna Endacott zechce resztę dnia spędzić w łóżku.

Skinął paniom na pożegnanie, wskoczył na konia i odjechał bez oglądania się za siebie. Mary miała chęć rzucić w niego butem, który wciąż trzymała w ręku. Co on sobie myśli? - powtarzała w duchu. - Że jest hipochondryczką i z byle powodu poło-

ży się do łóżka?

Randall z trudem oparł się chęci obejrzenia się za siebie. Był pewny, że Mary nie posiada się z oburzenia.

Uśmiechnął się do siebie. Co takiego jest w tej kobiecie, że ciągle ma ochotę ją prowokować? Normalnie nigdy by tego nie robił. Wiedział, że to dziecinne, ale przy Mary Endacott czuł się trochę właśnie jak smarkacz. Może sprawiała to jej niezależność i determinacja, by nie zabiegać o jego względy. Zazwyczaj kobiety stawały na głowie, żeby mu się spodobać. Była jedyną znaną mu kobietą, która uważała, że miał rację, pozostając kawalerem, nie potrafił wszakże zrozumieć, dlaczego ona postanowiła nie wychodzić za mąż.

Randall został zniechęcony do małżeństwa przez swoich rodziców. Kiedy matka traciła młodość, ojciec zabawiał się z kochankami i nie przepuszczał nawet kobietom z Chalfont. Randall postanowił, że nigdy nie skaże na taki los żadnej kobiety. Dorósł w przekonaniu, że ludzie powinni pobierać się z miłości, a nie mógłby wymagać miłości od kobiety, skoro sam nie był pewny, czy potrafiłby dochować jej wierności. Podejrzewał, że jest pod tym względem nieodrodnym synem swojego ojca. Czyż nie dowiódł lata temu, jak bardzo są do siebie podobni?

Nie, pozostanę żołnierzem, stwierdził w duchu. W ten sposób zachowam kontrolę nad swoim życiem.

Mary wciągnęła czystą jedwabną pończochę na opatrzoną plastrem stopę. Prawie nie czuła bólu, ale postanowiła, że po południu nie pójdzie do Somervil. Zacznie przygotowania do wyjazdu, szkoda czasu na takie błahostki, jak popijanie herbatki. Tym bardziej że Harriett zrozumie.

I nie będzie musiała znowu patrzeć na lorda Randalla.

- Tym lepiej - powiedziała na głos. - Pokażę, że mam dość rozumu, żeby nie pakować się w niebezpieczne sytuacje.

Niebezpieczne? A jakież to niebezpieczeństwo może grozić ze strony mężczyzny, który ledwo ją dostrzega. Lord Randall nie stanowi żadnego zagrożenia, zresztą i tak ona wkrótce wyjedzie. Nie ma powodu, żeby go unikać. Chyba że się go boi...

- Oczywiście, że się go nie boję.

Bo czego się bać? Wszystko, co mówił, znajdowało logiczne wyjaśnienie. Trzeba stanąć oko w oko ze swoimi demonami. A lorda Randalla trudno nazwać demonem. Owszem, jest dumny, lubi narzucać swoje zdanie i oczekuje posłuszeństwa, ale nie jest demonem.

Pójdzie dzisiaj po południu do Somervil i udowodni, że nic złego nie może wyniknąć z tego, że napije się tam herbaty.

- Jest tak ciepło, że zastanawiałam się, czy nie postawić stołu na tarasie. Mary, czy to prawda, co opowiadał mi Randall? Skaleczyłaś stopę? - dopytywała się Harriett, prowadząc gości do bawialni.

- Tylko otarłam. Jak widzisz, chodzę.

Pan Graveney i lord Randall stali pod oknem. Mary dygnęła przed nimi i usiadła w fotelu w odległej części pokoju. Randall, przy korpulentnym Graveneyu, wydawał

się jeszcze wyższy, niż był w rzeczywistości. Wyglądał jak uosobienie spokoju i siły. Mary pomyślała nagle, że przyjemnie byłoby mieć kogoś, komu można by złożyć głowę na piersi.

- Byłoby miło, prawda Mary? - zapytała pani Bentinck, wręczając jej filiżankę z herbatą.

- Przepraszam... nie wiem, o co chodzi... zamyśliłam się... - wyjąkała Mary.

- Pani Graveney proponuje, abyśmy później wybrali się na spacer. Chce nam pokazać, jakie zmiany poczyniła w ogrodzie.

- Wspaniały pomysł - podchwyciła ochoczo Mary.

- Chyba że wolałabyś zostać ze względu na swoją stopę - zasugerowała Harriett.

- Randall dotrzyma ci towarzystwa.

- Nie, nie, dobrze się czuję - zapewniła pośpiesznie. - Chętnie obejrzę wasz ogród przed wyjazdem.

- Zmiany wyszły mu na dobre - powiedział pan Graveney. - Naturalnie, nie ma porównania z ogrodami w Chalfont Abbey, wiejskiej rezydencji lorda.

- Nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Służba wojskowa nie pozwala mi spędzać dużo czasu w Chalfont, ale moja matka utrzymuje posiadłość w najlepszym porządku.

- Mam nadzieję, milordzie - włączył się do rozmowy pan Bentinck - że nie ucierpiał pan zanadto w gościnie u nas. Znalazł się pan w istnej jaskini lwa.

- Bez przesady.

- Mój brat stara się być uprzejmy, panie Bentinck... - Roześmiała się Harriett. - Jego zdaniem, wielu pańskim gościom dobrze zrobiłaby służba wojskowa.

- Też tak uważam! - Również zaśmiał się Bentinck. - Albo żeby musieli zarabiać na życie, jak nasza biedna Mary, i poznali gorycz odrzucenia przez towarzystwo, które skądinąd bardzo chętnie korzysta z jej usług. Nieprawdaż, moja droga?

- Nie jest tak źle w gruncie rzeczy.

Randall zauważył delikatny rumieniec na policzkach Mary, kiedy Bentinck o niej mówił, i ucieszył się w jej imieniu, gdy rozmowa zeszła na inne tematy. Spojrzał na Harriett. Nalewała herbatę jak gdyby nigdy nic. Nie spodobało mu się to. Jak na jego gust, Graveney zbyt daleko zawiódł jego siostrę na drodze do radykalizmu, ale był u niego gościem, nie mógł więc ujawniać niezadowolenia.

Po wypiciu herbaty, kiedy znowu wypłynął pomysł spaceru, Randall postanowił wymówić się i opuścić towarzystwo. Niestety Harriett miała wobec niego inny plan.

- Nie możesz teraz zniknąć, Randall. Theo chce pokazać panu Bentinckowi nową książkę, którą kupił, a ponieważ ty już ją oglądałeś przed południem, musisz pójść z nami. Na świeżym powietrzu zniknie z twojej twarzy ta ponura mina.

Harriett wprowadziła panie do holu, gdzie włożyły kapelusze.

- Zamierzałam pokazać Mary nasz ogród już w zeszłym tygodniu, zaraz po jej przyjeździe, ale pogoda nie dopisała. Nie martwcie się, ścieżki wysypano na nowo żwirem, będą zupełnie suche.

Rzeczywiście, były suche, nie dość jednak szerokie, żeby wszyscy mogli spacerować razem. Harriett z panią Bentinck wysunęły się do przodu, Randallowi nie pozostało nic innego, jak iść obok Mary Endacott.

- Chyba nie tak zamierzał pan spędzić popołudnie - zauważyła. - Jeśli ma pan inne plany, chętnie przespaceruję się sama.

- Nie mam nic przeciwko pani towarzystwu. - Podał jej ramię. - Zresztą, gdybym udał się do innych zajęć, naraziłbym się na niezadowolenie siostry.

- Nie sądzę, żeby zanadto się pan tym przejął.

- Była pani w szkole z Harriett, panno Endacott. Wie pani, jak trudną jest osobą. Wszyscy Latymorowie mają silne charaktery z wyjątkiem naszej najmłodszej siostry, Sarah, która jest uosobieniem łagodności.

- I dlatego została zdominowana przez resztę rodzeństwa, jak podejrzewam.

- Bardzo możliwe. Jest zdecydowanie niepodobna do swojego bliźniaczego brata, Gideona. Z niego to istny narwaniec.

Szli przeważnie w milczeniu. Od czasu do czasu zatrzymywali się, by podziwiać nowe nasadzenia i kamienne posągi. Randall poczuł się nadspodziewanie zrelaksowany spacerem i popołudniowym słońcem. Spojrzał na milczącą Mary. Zdawała się być zadowolona. Pomyślał, że miło przechadzać się w towarzystwie kobiety, która nie uważa za konieczne bez przerwy klekotać. Minęli ogród różany z altanką na końcu. Wyobraził sobie, jak siedzą oboje na ławce wśród kwitnących róż, których upojna woń wypełnia powietrze. Ona kładzie mu głowę na ramieniu, a on otacza ją ramieniem i opiera policzek na jej płowych włosach.

Do diabła, człowieku, opanuj się! - skarcił się w duchu.

- Przepraszam, mówił pan coś?

Zwróciła ku niemu twarz z delikatnie uniesionymi brwiami. Zielone oczy patrzyły pytająco. Randall poczuł nagle, że chce przyciągnąć ją do siebie i pocałować jej pełne, czerwone usta. Zdziwił się temu nieoczekiwanemu przyływowi pożądania, uciekł wzrokiem w bok i gorączkowo szukał odpowiedzi.

- Wracą pani wkrótce do siebie... do swojego interesu, jak się domyślam.

- Tak, milordzie. W sobotę.

Popatrzył na wprost i zauważył, że pozostali sporo w tyle za siostrą i panią Bentinck.

- Będzie pani przykro wyjeżdżać?

- Naturalnie. Bentinckowie są nie tylko moimi krewnymi, lecz także starymi przyjaciółmi. Pozwoliłam sobie na te krótkie wakacje u nich po powrocie z Cuckfield. Mój ojciec zostawił tam pewne... niedokończone sprawy, kiedy zmarł będzie już ponad rok temu, a ja teraz je uregulowałam... Chodzi o jego długi, milordzie - dodała po krótkiej przerwie.

- Rozumiem.

- Wątpię.

- To dlatego jest pani zmuszona pracować? Żeby spłacić jego długi?

Jej reakcja była zaskakująca. Roześmiała się.

- Ależ nie! Lubię to, co robię, milordzie. Mam nadzieję, że nie uzna pan, że się przechwalam, jeśli powiem, że mam do tego talent. Jestem kobietą niezależną, nie odpowiadam przed nikim. Prawdę powiedziawszy, cieszę się, że wracam do pracy. Bezczyne życie jest nie dla mnie.

- Dla mnie też byłoby nie do zniesienia.

- Więc mamy coś wspólnego... - Uśmiechnęła się jakby z ulgą.

Randall poczuł, że czas zaryzykować.

- Więc po co czekać?

- Nie rozumiem.

Doszli do skrzyżowania dwóch ścieżek. Randall skierował Mary ku kępie drzew.

- Skoro pani chce pracować, jak to pani nazywa, to powinna pani pracować.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

Przystanęła i spojrzała na niego. Wciąż uśmiechała się, ale między brwiami zarysowała się zmarszczka. Nie mógł się jej oprzeć. Ujął ją palcem pod brodę, zniżył głowę i pocałował w usta.

Mary znieruchomiała z wrażenia. Dotyk jego warg był obezwładniający, ale gdy ochłonęła, bynajmniej nie zamierzała mu się wyrywać. Otoczył ją ramionami, a ona oparła się o niego całym ciałem. Oddała pocałunek, jak gdyby była to rzecz najnaturalniejsza w świecie. Jak gdyby przez całe życie czekała na ten moment.

Własna reakcja była dla niej równie szokująca co jego pocałunek. Kiedy uniósł głowę, nie zrobiła nic, żeby się z jego ramion uwolnić. Przytuliła się do jego piersi i słuchała bicia serca. Była oszołomiona, niezdolna do zrozumienia tego, co się stało. Lord Randall, małowówny i daleki od romantycznych uniesień, nietowarzystki lord Randall, pocałował ją - pospolitą, rozważną Mary Endacott.

- Mamy jeszcze kilka dni, zanim się rozstaniemy - powiedział z ustami w jej włosach. - Powinniśmy je wykorzystać. Będziemy dyskretni, rzecz jasna. Bentinckowie może są wolnomyślni, ale nie mogę dopuścić do tego, żeby moja siostra dowiedziała się, co się dzieje.

Mary miała zamęt w głowie, wciąż nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobił na niej pocałunek, ale nawet w takim stanie zorientowała się, że jego słowa nie mają sensu.

- Co to ma wspólnego z moją pracą?

Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem, pod którego wpływem krew spłynęła jej do kończyn i poczuła, że robi się jej słabo. Gdyby nie trzymała się jego marynarki, ugięłyby się pod nią nogi.

- Wszystko. Wyjaśnijmy sobie od początku. Moim celem było zawsze to, żeby nie rozbudzać żadnych nadziei w sercach kobiet. Biorę przyjemność i płacę za nią, a także obdarowuję przyjemnością w zamian... mam nadzieję.

Jego piękny, głęboki głos brzmiał w jej uszach jak słodka pieśń. Nie od razu zrozumiała znaczenie tych słów. Lecz kiedy przebiło się ono przez mgłę oszołomienia, euforia Mary opadła.

- Pan chce, żebyśmy zostali... - zająknęła się - ...kochankami?

Czy byłoby ją na to stać? Nagle stan uniesienia zniknął, a pojawiła niepewność. Dyskutowała o takiej możliwości ze swoimi radykalnie nastawionymi przyjaciółmi, ale traktowała taki pomysł jako czysto teoretyczny, odważny krok sprzeciwu wobec obowiązujących w społeczeństwie konwenansów. W jej rozważaniach i w tych dyskusjach idealny kandydat na kochanka byłby starym znajomym, oddanym przyjacielem i towarzyszem, a nie poznanym przed kilkoma dniami żołnierzem.

- Jeśli życzy pani sobie użyć takiego określenia, to owszem. Będzie to dla pani bardzo korzystny interes, bo zamierzam być hojny.

Mary otrzeźwiała. Żadnych czułych słów, żadnych obietnic. Hrabia ubijał interes.

Jaki? Aż nadto oczywiste. Uwolniła się z jego objęcia.

- Pan myśli, że ja jestem, że jestem... Pan myśli, że ja mu się sprzedam?

Był zdezorientowany. Zmieszanie, jakie dostrzegła w jego oczach, było najlepszym potwierdzeniem, że tak właśnie sądził.

- A nie jest tak? Sama pani mówiła, że zajmuje się handlem, że ma swoje dziewczęta, ale być może skoro pani zakład cieszy się takim powodzeniem, pani sama nie świadczy...

- Nie świadczę? - wyjąkała. - Nie, to straszne!

Odeszła kilka kroków, po czym odwróciła się.

- Jestem nauczycielką, lordzie Randall. Prowadzę szkołę dla dziewcząt!

- Co?

Gdyby nie była tak bardzo zdenerwowana, zdziwienie i konsternacja lorda Randall'a rozśmieszyłyby ją, ale nigdy dotychczas nie było jej mniej do śmiechu niż w tym momencie. Prawdę mówiąc, zbierało się jej na płacz. Ukryła twarz w dłoniach.

- Rozumiem, jak do tego doszło - powiedziała częściowo do siebie. - Radykalne towarzystwo u Bentincków, kontrowersyjne tematy dyskusji... - Westchnęła.

- Nie wspominając o pani własnej chęci prowokowania - dodał. - Sama pani przyznała się, że niekiedy próbuje skandalizować.

- Owszem, droczyłam się z panem, ale kiedy mówiłam o swojej pracy, nigdy nie przypuszczałam, że pan zrozumie... Nie, to po prostu nie do uwierzenia! Czy pan sobie wyobraża, że Bentinckowie, że pańska własna siostra utrzymywaliby ze mną znajomość, gdyby tak było?

Jego pociągłe policzki zaczynały pokrywać się czerwienią. Mary jednak nie wiedziała, czy przyczyną jest gniew, czy zażenowanie.

- Harriett ostrzegła mnie, że będę zdziwiony tym towarzystwem. Pani sama twierdziła, że nie wierzy w małżeństwo.

- A pan, chcąc pokazać, że nic nie jest w stanie pana zdziwić, pomyślał o mnie wszystko, co najgorsze. Ma pan rację, nie wierzę w małżeństwo. Zostałam tak wychowana, że wierzę w wolny związek umysłów i serc. W związek, którego podstawą jest miłość, a nie prostytucja.

- Popełniłem błąd - powiedział sztywno - ale usprawiedliwiony okolicznościami.

- Okolicznościami?

- A tak. Kiedy mówiła pani o swoim zakładzie, zachowywała się pani tak, jak gdyby z jego prowadzeniem wiązał się skandal, i nie omieszkała pani poinformować mnie, że jej reputacja jest w ruinie. Co miałem prawo w takiej sytuacji pomyśleć? Mój wniosek był jak najbardziej uzasadniony.

Mary jęknęła z oburzenia.

- Kompletnie nieusprawiedliwiony, milordzie. A może pan, będąc hrabią, ma zwyczaj składania takich propozycji każdej kobiecie, która wpadnie panu w oko?

- Z całą pewnością nie, natomiast pani, ze swoimi postępowymi poglądami, powinna docenić moją uczciwość. Przyjemności szukam u kobiet, które rozumieją, że małżeństwo nie wchodzi w rachubę. Nie jestem święty, panno Endacott. Jest wiele pań w mojej sferze, mężatek, których mężowie prowadzą własne życie i pozostawiają żonom jednakową swobodę znajdowania przyjemności poza małżeńskim łóżem.

W przeszłości miałem wiele związków tego rodzaju. Nie czynię też tajemnicy z faktu, że od czasu do czasu wiązałem się z kobietami bardziej podejrzanej konduity.

- I dobrze im pan płacił za ten przywilej... To godne pogardy.

- Czyżby naprawdę godne pogardy było to, że dwie dorosłe osoby zawierają porozumienie, które da im obu satysfakcję, panno Endacott?

W serce Mary wkradła się niepewność. Randall, zamiast błagać o wybaczenie, chełpił się powodzeniem u dam, a najgorsze było to, jak ona na to reagowała. Chciała rzucić mu się w ramiona i prosić go, żeby ją jeszcze raz pocałował i pokazał, jak satysfakcjonujący by był w roli kochanka.

Wreszcie gniew wziął w niej górę. Była zła na niego i na siebie za to, że mu pozwoliła dokonać w niej takiego emocjonalnego zamętu.

- Pan wybaczy. - Cofnęła się o krok. - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. - Wyszła na ścieżkę wiodącą do domu, z trudem powstrzymując łzy. Odgłos kroków, które słyszała za plecami, świadczył o tym, że hrabia idzie za nią. Przyspieszyła.

- Proszę zaczekać! Mary, panno Endacott! - Złapał ją za ramię. - Nie może pani wrócić w takim stanie do domu. Pani zdenerwowanie nie ujdzie uwagi. Moja siostra nie spocznie, dopóki nie wyciągnie z pani prawdy o naszej rozmowie.

- Nie jestem zdenerwowana - wykrzyknęła. - Jestem wściekła!

Wyjął z kieszeni chustkę do nosa i podał jej. Miała ochotę wysłać go do diabła, ale trudno było zachować godność z ciekącym nosem. Wzięła chustkę i osuszyła nią twarz.

Chustka zachowała przyjemny zapach mydła, w którym była prana, ale, poza świeżością, pachniała tak jak lord Randall, kiedy ją całował. Nawet w tej chwili Mary gotowa była rzucić mu się znowu w ramiona. Niewiarygodne, jak mogła myśleć o czymś podobnym, mimo że potraktował ją w taki sposób. Co z tego, że go prowokowała?

- Ma pani powód do wściekłości - powiedział spokojnie. - Obraziłem panią i nie miałbym pani za złe, gdyby chciała pani ujawnić przed światem moje karygodne zachowanie. Zasluguję na to, ale proszę pomyśleć o skutkach, jakie miałyby to dla innych, mianowicie dla mojej siostry i pani kuzynki.

- Nie tylko pańskie zachowanie było karygodne - odparła cicho, uspokoiwszy się nieco. - Ja też nie popisałam się dobrymi manierami i skromnością.

Pamiętała, w jakiej pozie zastał ją nad strumieniem. Z zadartą do kolan spódnicą i obnażonymi łydkami. Czy nie miał prawa pomyśleć, że ona go świadomie kokietuje?

- A cóż takiego sobie pani zarzuca, oprócz tego, że ulitowała się nad nieznanym i sama mu się przedstawiła u Bentincków?

Więc nie zinterpretował na jej niekorzyść spotkania nad strumieniem, zauważyła w duchu. Poczwała ulgę, ale także rozczarowanie. Siedziała z obnażonymi do kolan nogami, a on ich nawet nie zauważył.

- Źle pani odpłaciłem za dobre serce, nie chciałbym jednak pogarszać jeszcze sytuacji, narażając na szwank pani przyjaźń z Hattie.

- Z bólem muszę przyznać, że ma pan rację - powiedziała z goryczą. - Nie chciałabym, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszej rozmowie. Już mi lepiej. Wracajmy do domu. Zapomnijmy, że ta rozmowa kiedykolwiek miała miejsce.

- Jak pani sobie życzy. Idziemy?

Ruszyli w pewnej odległości jedno od drugiego, jak wypadało niezbyt bliskim znajomym. Kiedy wreszcie dotarli do domu, lord Randall przytrzymał jej drzwi wejściowe. Mary nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz, ale zatrzymała wzrok na jego piersi. Przypomniła sobie, jak przyjemnie było złożyć głowę na tym wykwintnym żakiecie.

- Wyjeżdżam pojutrze - poinformował. - Pożegnaj się z państwem Bentinckami już teraz i tym sposobem nie będzie okazji do naszego ponownego spotkania.

- Doskonale - odparła. - Dopilnuję, żeby obie pańskie chustki do nosa zostały do tego czasu wyprane i zwrócone.

Poprzedziła go do salonu. Jeszcze tylko trochę, a ta przykra sytuacja zakończy się.

- Jesteście wreszcie. Już miałam kazać was szukać! - Mary poczuła, że znowu się czerwieni pod wpływem znaczącego spojrzenia Harriett.

- Zupełnie niepotrzebnie - odpowiedział chłodno lord Randall i Mary zachciało się śmiać. Jego ton świadczył o oburzeniu, że siostrze mogłyby przyjść do głowy jakieś zdrożne myśli o tym, co zatrzymało ich w ogrodzie. - Zatrzymaliśmy się, żeby podziwiać rododendrony na zachodnim tarasie.

- Nieprawdaż, jak się pięknie przyjęły? Sprowadziłem je ze szkółki Loddigesa w Hackney. - Graveney był zachwycony, że hrabia podziela jego zainteresowanie ogrodnictwem.

Mary usiadła obok Harriett, zadowolona, że rozmowa zeszała na inne tematy, chociaż i tak w niej nie brała udziału. Aż podskoczyła, kiedy Harriett chwyciła ją za rękę.

- Jak to dobrze, że przyjechałaś, Mary. Naprawdę musisz wyjeżdżać w sobotę?

- Naprawdę, wierz mi - odpowiedziała. - Moje zastępczynie w szkole są bardzo kompetentne, ale piszą mi, że w Brukseli panuje wielki ruch...

- Nie wiedziałem, że pani szkoła mieści się w Brukseli - wtrącił lord Randall.

Mary spojrzała mu przelotnie w oczy.

- Ponieważ o tym nie wspominałam, milordzie.

- Nie. Dziwne, że Harriett też o tym nie wspominała.

- Wypadło mi to z głowy, bracie, ale to bardzo dla ciebie szczęśliwa okoliczność.

- Nie rozumiem... - Mary pokręciła głową.

- Kiedy spacerowaliście po ogrodzie, my wymyśliłyśmy doskonały plan - ciągnęła niewzruszona Harriett. - Pani Bentinck i ja doszłyśmy do wniosku, że będziemy spokojniejsze, jeśli ty, Mary, nie udasz się w tę długą drogę sama. Randall będzie ci w niej towarzyszył!

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie!

- Wykluczone! - Stanowczy wykrzyknik lorda Randalla niemal zagłuszył słaby jęk sprzeciwu Mary. - Wykluczone - powtórzył. - Wyjeżdżam w piątek i będę musiał jechać bardzo szybkim tempem.

- Chyba nie tak szybkim, skoro będą ci towarzyszyły dwie karety?

- Ale ja będę jechał wierzchem.

- Jestem pewna, że Mary nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby jechać samej w jednej z nich.

- Nie zgadzam się - wtrąciła Mary, czerwona jak piwonia. - Nie zamierzam narzucać swojego towarzystwa lordowi Randallowi.

- Nie bądź dziecinna - upomniała ją pani Bentinck. - Przecież to wspaniała okazja. Co prawda, będziesz musiała wyruszyć dzień wcześniej, niż zamierzałaś, ale popłyniesz prywatnym jachtem, który czeka na lorda Randalla w Folkestone. Czy to nie wygodniejsze niż podróż statkiem pocztowym z Dover?

- Nie chcę tracić ostatniego dnia z wami - oponowała stanowczo Mary.

Randall wymownie patrzył na siostrę, by zaprzestała tej farsy, ale ona nie zwracała na niego uwagi.

- Naturalnie, będzie im przykro, ale pan i pani Bentinck pocieszą się tym, że wyruszysz w podróż nie sama, lecz w męskiej eskorcie.

- Nie potrzebuję męskiej eskorty, Harriett, jestem kobietą niezależną.

- To oczywiste, ale jesteś jednocześnie kobietą rozsądną. Teraz, kiedy Wellington przeprawia na kontynent takie ilości wojska, możesz napotkać trudności ze zdobyciem miejsca na statku, nie mówiąc o kłopotach na kontynencie. Justin ma mnóstwo wolnego miejsca w swoich dwóch karetach, sama widziałam w dniu jego przyjazdu. Justinie, powiedz coś.

Randall rozejrzał się po twarzach obecnych w pokoju. Odmowa byłaby grubiaństwem i czymś sprzecznym z jego poczuciem honoru. Z drugiej strony widział, że cała ta sytuacja była nie na rękę Mary. Jedyne, na co potrafił się zdobyć, to sztywny ukłon.

- Jeśli panna Endacott zgodzi się zająć miejsce w mojej karecie, będę zaszczycony, że nadarza mi się sposobność eskortowania jej do Brukseli.

Mary spiorunowała go wzrokiem. Miała nadzieję, że on zasłoni się jakimś niepodważalnym argumentem. Gdyby teraz odrzuciła jego propozycję, kuzynka i Harriett zaczęłyby dociekać dlaczego i nie spoczęłyby dopóty, dopóki nie poznałyby prawdziwej przyczyny jej odmowy.

Przedłużające się milczenie przerwał pan Graveney.

- Biedna panna Endacott. Przecież wszyscy znamy jej zasady. Akceptacja pomocy ze strony mężczyzny jest wbrew nim. Nie dość, że to mężczyzna, to jeszcze hrabia. Wiem, że wolałyby pani samodzielnie odbyć tę podróż.

- Otóż to.

- Ale moja żona ma rację. W obecnej sytuacji w Europie nie jest bezpiecznie i rozsądnie zrobi pani, przyjmując propozycję lorda Randalla. Wszyscy będziemy spali spokojniej.

- Nie upieraj się, Mary - poprosiła Hattie. - Znasz motto Latymorów. *Semper Laurifer*. Zawsze zdobi nas wieniec laurowy. Z nami nie wygrasz.

- Panno Endacott - odezwał się do Mary lord Randall. - Wiem, że znamy się od bardzo niedawna i różnymi poglądami. Proszę mi jednak wierzyć, że w tym, co tu zostało powiedziane, jest sporo racji. Czasy są niespokojne i niebezpieczne dla podróżującej samotnie młodej kobiety. Jeśli obdarzy mnie pani zaszczytem swojego towarzystwa w tej podróży, będzie pani traktowana z szacunkiem i kurtuazją. Daję pani słowo.

Mary wiedziała, że nawiązywał do incydentu w ogrodzie i przekonywał ją, że może mu zaufać.

- A zatem przyjmuję pańską propozycję, milordzie, i dziękuję. - Skinęła głową.

Po pokoju przeszedł pomruk zadowolenia, jak gdyby wszyscy obecni czekali z zapartym tchem na jej zgodę. Harriett zaklaskała w dłonie.

- No to załatwione. Randall zabierze cię ze sobą. Podróżuje z dość liczną świtą w dwie karety, z lokajem i masztalerzem. Jestem pewna, że tak przyjemnie jeszcze nigdy nie podróżowałaś.

Mary przypomniała sobie słowa Harriett, kiedy wczesnym rankiem w piątek wsiadła do eleganckiego ekwipażu lorda Randalla. Kareta była dobrze resorowana, siedzenia i oparcia grubo tapicerowane. Co do wygód, nie miała najmniejszych wątpliwości, ale po tym, co zaszło między nią a hrabią, nie czuła się w jego obecności zanadto swobodnie. Jedynym pocieszeniem było to, że hrabia podróżował konno, więc nie będzie musiała rozmawiać z nim w drodze.

Jechali w zawrotnym tempie, zatrzymując jedynie na bardzo krótkie postoje. Mary nie zawsze zdążyła nawet napić się kawy i zjeść herbatnika, lecz kiedy hrabia uprzejmie zapytał, czy nie życzyłaby sobie dłuższych odpoczynków, zaprzeczyła.

- Ostrzeżono mnie, że podróżuje pan w takim tempie, milordzie - powiedziała, kiedy prowadził ją do karety. - Jestem przygotowana.

- Muszę jak najszybciej dołączyć do swoich żołnierzy. Zasiedziałem się w Anglii.

- Proszę więc nie zważać na mnie. Nie chcę pana opóźnić - dodała lekko poirytowana.

- Nie opóźnia mnie pani.

- Nie liczę na szczególne względy.

- Więc nie rozczaruje się pani.

Z zaciśniętymi ustami Mary wsiadła do pojazdu. Nieznośny człowiek, pomyślała. Uwziął się, żeby ją denerwować. Dobrze, że przynajmniej w drodze nie musi znosić jego towarzystwa.

Naraz drzwi karety otwały się gwałtownie. Lukę wypełniła postać lorda Randalla.

- Panno Endacott, przed nami jeszcze długa droga. Żadne z nas nie chciało tej sytuacji, ale powinniśmy starać się zachowywać wobec siebie uprzejmie.

- Ma pan rację, milordzie - poczuła się zmuszona odpowiedzieć.

- Zazwyczaj podróżuję sam, dlatego nie jestem przyzwyczajony do oglądania się na wygody innych. Jeśli ma pani jakieś potrzeby, proszę mi o nich mówić. Nie chciałbym, żeby czuła się pani niekomfortowo.

- Dziękuję, będę o tym pamiętała.

Zamknął ponownie drzwi, a Mary usadowiła się na poduszkach. Uśmiechnęła się do siebie. Zaskoczył ją. Nie wątpiła, że mówił szczerze. Wysunął do niej tę gałązkę oliwną dokładnie w momencie, w którym uznała, że jest nieznośny i despotyczny.

Do Folkestone dotarli tuż przed kolacją. Właściciel gospody bez mrugnięcia okiem przyjął wiadomość, że lord Randall potrzebuje drugiego pokoju dla panny Endacott. Jeśli nawet wydawało mu się dziwne, że samotna dama podróżuje z hrabią bez przyzwoitki, chociażby w osobie pokojówki, nie okazał niczego i poprowadził ich do prywatnego saloniku.

- Domyślam się, panno Endacott, że zechce pani chwilę odpocząć i odświeżyć się przed posiłkiem. - Lord Randall wyciągnął zegarek. - Godzina wystarczy?

- Godzina to aż nadto. - Mary pokiwała głową.

- Doskonale. - Spojrzał wymownie na oberżystę, a ten ukłonił się nisko.

- Kolacja będzie gotowa za godzinę, milordzie.

Mary podążyła za służącą do przeznaczonego dla niej pokoju. Lord Randall nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem od chwili, kiedy pomógł jej wysiąść z karety. Możliwe, że jej towarzystwo go krępowało, ale Mary zaczynała sądzić, że tego rodzaju oschłość po prostu leży w jego naturze. W pokoju umyła twarz i ręce i zabrała się do szczotkowania potarganych w podróży włosów.

Gdy gdzieś w głębi domu zegar wybił godzinę, Mary zaczęła pospiesznie upinać wyszczotkowane włosy. Zaraz zje kolację w obecności hrabiego i nie będzie mogła okazać skrępowania.

- Czy pokój odpowiada pani?

- Owszem, dziękuję bardzo.

Przytrzymał jej krzesło, kiedy siadała do stołu. Nie widziała jego twarzy, czuła tylko jego obecność za plecami. Potem było jeszcze gorzej. Usiadł naprzeciwko i wbił w nią swój przenikliwy wzrok. Aby na niego nie patrzeć, zaczęła sprawdzać zawartość poustawianych na stole półmisek.

- Czy to rozsądne jeść kolację, skoro wypływamy o północy?

- Cierpi pani na chorobę morską, panno Endacott?

Dobrze, że nie zwraca się do niej po imieniu, chociaż jedli bez asysty służby. Mary postanowiła nie denerwować się. Przecież dał słowo, że będzie ją traktował z szacunkiem.

- Jak do tej pory nie miałam złych doświadczeń, ale też nigdy nie płynęłam podczas sztormu. - Wskazała w stronę okien, którymi szarpał wiatr. Hrabia wzruszył ramionami.

- To zaledwie lekka bryza, nic poważnego. Rozmawiałem z kapitanem, gwarantuję nam szybką podróż. - Podał jej półmisek. - Niech pani spróbuje kurczaka, jest wyborny. Zapewniam panią, że po dobrej kolacji poczuje się pani znacznie lepiej.

Mary wcale nie była tego pewna, ale poczęstowała się kurczakiem. Dołożyła so-

bie jeszcze ryżu i jarzyn. Atmosfera była dość przyjemna, rozmowa nie zbaczała na żadne kłopotliwe tematy. Jedzenie smakowało, wino jeszcze bardziej, więc kiedy posprzątało ze stołu i pojawiły się na nim słodczyce, poczuła się w towarzystwie hrabiego zupełnie swobodnie.

- Wspomniała pani o swoich poprzednich doświadczeniach. Czy to znaczy, że często pani przekracza Kanał?

- Nie, robię to po raz trzeci.

- Od dawna mieszka pani za granicą?

- Od około siedmiu lat. Pojechałam do rodziców do Brukseli tuż po ukończeniu nauki na pensji panny Burchell.

- Ale pani rodzina pochodzi z Anglii?

- Tak. Papa, korzystając z pokoju zawartego z Napoleonem w Amiens, postanowił przenieść się na kontynent. Ponieważ miał przyjaciół w Brukseli, wybrał właśnie to miasto.

- Jego radykalne poglądy budziły kontrowersje w rodzinnym kraju, jak się domyślam.

W głosie lorda Randalla nie było śladu potępienia, Mary odpowiedziała więc tak szczerze, jak to miała w zwyczaju tylko w gronie najbliższych przyjaciół.

- Tak. Jego poparcie dla rewolucyjnego rządu we Francji przysporzyło mu rozgłosu, na który nie zasługiwał. Owszem, nie krył swoich opinii, popierał nowy rząd i redystrybucję dóbr, lecz kiedy stwierdził, że demokracja, prawdziwa demokracja, jest łamana podczas rządów terroru, wypowiadał się przeciwko nim równie stanowczo, co przedtem w obronie ideałów rewolucji. Niestety, za późno. Jego nazwisko zbyt szybko już skojarzyło się z rewolucją. Mama mocno to przeżywała, zwłaszcza po... śmierci mojej siostry.

- Musiało być pani bardzo trudno.

- Owszem. - Mary uniosła serwetkę do ust. Temat był wciąż bardzo bolesny, chociaż od tamtego czasu upłynęło wiele lat. - Ojciec narobił ponadto dość dużych długów i jedynym sposobem uniknięcia więzienia była ucieczka za granicę. Rodzice założyli szkołę dla dziewcząt w Brukseli, opartą na założeniach programowych Mary Wollstonecraft, ale nie odnieśli sukcesu. - Zdobyła się na niewyraźny uśmiech. - Brukselczycy nie byli bardziej postępowi niż Anglicy. Nieliczni uważali, że należy dawać dziewczętom takie samo, a nawet lepsze wykształcenie niż chłopcom, więc papa był zmuszony obniżyć loty i włączyć do programu więcej lekcji tańca i gry na fortepianie kosztem łaciny i greki. Po przyjeździe do rodziców zostałam nauczycielką w ich szkole.

- Doprawdy? Przecież była pani prawie dzieckiem.

- Miałam siedemnaście lat. I wystarczająco dobre kwalifikacje, by uczyć młodsze od siebie dziewczęta, wręcz doskonałe, zapewniam pana. Pańska siostra była w tej samej szkole, co ja. Na pewno pan wie, jak gruntowną edukację zapewnia pensja panny Burchell.

- Harriett wyniosła z niej wiele niebezpiecznie postępowych idei.

- Uczenie kobiet samodzielnego myślenia nie jest czymś niebezpiecznie postępowym! - Roześmiała się. Wiedziała, że się z nią nie zgadzał.

- Przejęła pani szkołę po śmierci ojca? - zapytał.

- Tak. Ojciec nalegał, bym po przyjeździe do Brukseli kontynuowała naukę, więc do tego czasu byłam przygotowana do nauczania także starszych dziewcząt.

- Kiedy umarł?

- Cztery lata temu. Matka zmarła rok wcześniej, zostałam więc sama. Przejęłam szkołę, nie pozostawało mi nic innego. Gdybym ją sprzedała, nie uzyskałabym tak dużych pieniędzy, żeby mogły mi długo starczyć na utrzymanie.

- Nie brała pani pod uwagę zamążpójścia?

Mary czuła się już w obecności lorda Randalla na tyle pewnie, że postanowiła rzucić mu wyzwanie.

- Doradzałby mi pan małżeństwo, podczas gdy sam nie bierze go pan pod uwagę dla siebie? Czy to nie hipokryzja, milordzie?

- W żadnym wypadku. Przy odrobinie szczęścia możliwe są dobrane związki małżeńskie. Hattie i jej mąż są ze sobą bardzo szczęśliwi.

- Wydaje mi się, że nie jest to kwestia odrobiny szczęścia. Dobry związek wymaga pracy i poświęcenia obu stron.

- Zapewne ma pani rację. Ale jeśli nie myślała pani o małżeństwie, to w gronie pani radykalnych znajomych nie znalazł się nikt, kto mógłby panią... wesprzeć?

- Nigdy nie miałam dla nikogo tyle uczucia, żeby zrezygnować ze swojej niezależności.

- Dla nikogo? Nawet gdyby w grę wchodził tylko krótkotrwały związek?

- Pyta pan, czy miałam kochanka? - Wytrzymała jego wzrok. - Nie miałam, lordzie Randall.

Jeśli Mary spodziewała się, że wprawi go w zakłopotanie i usłyszy przeprosiny, to myliła się.

- Nie o to pytałem. Wiem, że musiałyby to być ktoś bardzo wyjątkowy, żeby dostać taką nagrodę, jaką jest pani, panno Endacott.

Nie spodziewała się komplementu i zaczerwieniła się. Żeby zyskać na czasie, sięgnęła po paterę ze słodyczami. On zaś kontynuował jak gdyby nigdy nic.

- Więc została pani przełożoną szkoły. Zapewne nie było pani łatwo.

- Rzeczywiście, podjęłam się bardzo trudnego zadania, ale przecież włączyłam się w prowadzenie szkoły natychmiast po przyjeździe do Brukseli i wiedziałam, na czym to polega. Zrezygnowałam z najradykalniejszych elementów programu, które papa wprowadził, i skoncentrowałam się na tym, czego potrzebują młode oświecone kobiety. Uczymy angielskiego, francuskiego i włoskiego, arytmetyki, geografii, historii naturalnej, a także tańca, śpiewu, gry na harfie i fortepianie. Byłam zmuszona, wbrew swoim przekonaniom, włączyć elementy wychowania religijnego, ale dla równowagi wprowadziłam w starszych rocznikach wstęp do filozofii. Dobra opinia o szkole rozniosła się i jest ona teraz najważniejszą placówką oświatową w Brukseli. Oprócz dziewcząt z miejscowych rodzin, kształcimy sporo Angielek - dodała z uśmiechem. - Mój ojciec nie był jedynym Anglikiem, który ze względu na swoje finanse musiał uciekać z Anglii. Dbam jednak o to, żeby chesne było opłacane z góry.

- Podziwiam pani zmysł organizacyjny. Trzeba wiele odwagi i determinacji, żeby odnieść sukces.

- Teraz, kiedy zaangażowałam właściwy, kompetentny personel, idzie mi o wiele łatwiej... Co ja takiego powiedziałam? Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

- Zastanawiam się, jakie słowo scharakteryzowałoby panią najdokładniej.
- Zawzięta? - podpowiedziała. - Bezczelna? Irytująca?
- Nie... Raczej nieustraszona.

Znowu ją komplementował i nie wiedziała, jak zareagować. Kiedy tylko poczuła się swobodnie w jego towarzystwie, wytrącił ją z równowagi. Przypomniała sobie motto Latymorów. *Semper Laurifer*. On zawsze musi być górą? Kątem oka zauważyła, że sięgnął po zegarek.

- Wysłałem karety z naszymi bagażami do portu. Sami przespacerujemy się tam piechotą. Ponieważ mamy jeszcze ponad godzinę, proponuję, żebyśmy położyli się do łóżka... Och, nie! Nie razem, proszę pani - dodał, widząc jej zaalarmowane spojrzenie. - Twierdzi pani, że jest osobą inteligentną, proszę więc używać mózgu.

- Używam, milordzie. I wciąż pamiętam o pańskiej propozycji!

- Wynikła z nieporozumienia. Od tamtej pory traktuję panią z należnym szacunkiem. Jestem żołnierzem, panno Endacott, i wyrażam się prosto. Jeśli to obraża pani wrażliwość, przepraszam, ale proszę nie oczekiwać ode mnie poetyckich, omownych sformułowań.

- Zaczynam to rozumieć - wyjąkała. - Ma pan rację. Godzina odpoczynku bardzo mi się przyda, gdyż obawiam się, że na morzu nie zmruję oka.

Mary wyszła z pokoju z hardo uniesioną głową, lecz kiełkowało w niej podejrzenie, że lord Randall mógł pomyśleć, że ustąpiła mu pola. *Semper Laurifer!* Nigdy nie przegrywa. Cóż za irytujący człowiek!

Kiedy wychodzili z gospody, Mary z zadowoleniem stwierdziła, że wiatr nieco ucichł. Na niebie pojawił się wielki księżyc. Wszystko było skąpane w jego srebrzystym świetle. W porcie trwał ożywiony ruch. Szli nabrzeżem ku wysmukłemu statkowi z wysokim masztem, którego sylwetka odcinała się od nocnego nieba. Lord Randall wprowadził ją przez wąski trap na pokład. Tam czekał na nich kapitan.

- Witam na pokładzie, milordzie. Zgodnie z poleceniem, przygotowałem kabinę dla pani. Boy zaprowadzi panią.

Podeszli do dużego, ciemnego otworu, w którym zniknął chłopak. Mary zawahała się, zanim zeszła po stromej drabinie.

- Pani pozwoli?

Zanim zdążyła zaprotestować, lord Randall uniósł ją w górę i zarzucił sobie na ramię. Jego zachowanie było na tyle nieoczekiwane, że Mary zaniemówiła. Przytrzymując ją jednym ramieniem za uda, zszedł pod pokład. Postawił ją na podłodze. Na szczęście pod pokładem było dość ciemno. Mary miała nadzieję, że czekający na dole boy nie mógł widzieć jej skrępowania. Wydawało się jej jednak, że uśmiechał się do siebie.

- Tędy, proszę pani - wskazał drogę.

Kabina była mała, lecz wygodna. Mary wyciągnęła się na koi. Powoli dochodziła do siebie po upokorzeniu doznanym ze strony hrabiego.

Jacht kołysał łagodnie. Mary położyła się na boku z dłonią pod policzkiem. Żeby chociaż przeprosił, mówiła sobie w duchu. Niemożliwy człowiek. Pozbawiony manier i wyczucia. Nic dziwnego, że musi płacić za swoje przyjemności, jak je nazywa. Żadna kobieta nie chciałaby mieć z nim do czynienia... Na tę myśl przypomniała so-

bie, jak błyszczały jego niebieskie oczy, kiedy ją całował, i ponownie spłonęła rumieńcem.

- Panno Endacott! Niedługo wpływamy do Ostendy.

Ze snu wyrwał Mary okrzyk boya. Przeciągnęła się, rozkoszując się ciepłem i wygodnym posłaniem, ale natychmiast wróciła do rzeczywistości. Podkreśliła knot lampy przymocowanej do ściany i zaczęła doprowadzać do porządku ubranie. Suknia była niemiłosiernie wygnieciona, ale na to nie mogła nic zaradzić. Narzuciła na ramiona pelerynę, odnalazła torebkę i wyszła z kabiny. Przed schodkami zebrała w garść spódnice i wspięła się po stopniach. Na szczęście nikt na nią nie patrzył, bo wszyscy, włącznie z hrabią, byli już na pokładzie.

Wstawał szary dzień. Srebrny księżyc zniknął. Szarość nieba i wody zlewała się ze sobą. Mary otuliła się szczelniej peleryną, którą zrywał z niej wiatr. Na wschodzie rysowała się linia brzegowa. Od nieba odcinały się dwie budowle - wieża kościelna i latarnia morska. Kiedy podpłynęli bliżej, znaleźli się pomiędzy innymi statkami zmierzającymi do portu.

Wśród krzątającej się na pokładzie jachtu załogi Mary dostrzegła lorda Randalla. Stał przy burcie. Ruszyła ku niemu.

- W porcie jest duży ruch. Jacht musi poczekać na swoją kolej, zanim przybije do nabrzeża - wyjaśnił sytuację. - My dostaniemy się na brzeg szalupą i udamy do gospody. Widzi pani jej szyld z wymalowanym statkiem? Zjemy śniadanie, a w tym czasie załoga wyładuje nasze karety i bagaże.

Mary wyjrzała za reling. Wzdłuż kadłuba kołysała się na wodzie mała łódka. Marynarze u wiosł czekał na pasażerów. Mary z przerażeniem patrzyła na sznurową drabinkę, która była zupełnie prostopadła do powierzchni wody. Już schodził nią ordynans lorda, Robbins. Drabinka huśtała się niebezpiecznie z każdym jego krokiem.

- Proszę się nie martwić - powiedział Randall. - Zniosę panią.

- Znowu? Co to, to nie! - Cofnęła się, ale nie dość szybko. Tak samo jak wieczorem po prostu zarzucił ją sobie na ramię. Próbowwała stawiać opór, ale trzymał ją w żelaznym uścisku, wolną ręką odgarniając z twarzy jej obfitą pelerynę i spódnice.

- Lepiej niech pani ze mną nie walczy, tylko dobrze się mnie trzyma - doradził i przerzucił nogę za reling.

Oczywiście miał rację. Mary zamknęła oczy i przywarła do niego. Drabinka kołysała się przerażająco pod ich ciężarem. Randall niezmordowanie spuszczał się po niej w dół. W końcu wrzucił Mary bezceremonialnie do szalupy i sam usiadł obok. Mary była zbyt oburzona, żeby cokolwiek powiedzieć. Kulila się pod peleryną, podczas gdy marynarze wiosłowali ku piaszczystej plaży. Ale tam czekał ją dalszy ciąg upokorzeń. Łódka osiadła na dnie kilka stóp od suchego lądu. Hrabia zdjął buty, oddał je Robbinsowi i wskoczył do wody. Sięgała mu do kolan. W milczeniu odwrócił się do Mary. Jedno spojrzenie na jego nieprzejeđnaną twarz wystarczyło, by zrozumiała, że nie warto się sprzeciwiać. Wyciągnął ją z szalupy. Tym razem przynajmniej nie niósł jej na ramieniu jak worek.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i od razu poczuła jego zapach, mieszaninę wody kolońskiej, potu, brandy i wody morskiej. Szedł pewnie ku plaży, ani razu się nie zachwiał, chociaż o jego łydki rozbijały się kolejne toczące się ku brzegowi fale. Miała

przed oczami jego profil z długim nosem i wyrazistą brodą. Niezaprzeczalnie był mężczyzną obdarzonym siłą charakteru. Pomyślała, że znalazłaby się niejedna kobieta, która uznałaby go za atrakcyjnego. Naturalnie nie ona!

Wreszcie postawił ją na lądzie.

- Już po wszystkim. Przynajmniej ma pani względnie suche buty.

Nadal obejmował ją w talii. Patrzył na nią z góry roziskrzonym wzrokiem, na ustach błąkał mu się uśmiech, który bynajmniej nie uśmierzył jej irytacji. Czy on myśli, że mnie ułagodzi takimi uprzejmościami?

Gdy tylko poczuła grunt pod nogami, wyrwała mu się i z wysoko uniesioną głową pomaszerowała do gospody.

Co, u diabła, dzieje się z tą kobietą, zadawał sobie pytanie Randall, patrząc za odlatającą się Mary. Wiatr nadymał jej obszerną pelerynę. Drobne stopy pozostawiały ślady na piasku. Chyba nie wolałaby sama brodzić w słonej wodzie?

- Proszę, panie pułkowniku. - Robbins podał Randallowi ręcznik. - Mam też parę suchych skarpetek w kieszeni.

Gospoda należała do raczej drogich przybytków tego rodzaju i Randall zastanawiał się jak jej właściciel, Gaston, przyjmie drobną, skromnie ubraną Angielkę. Zdążył dość do gospody na czas, by usłyszeć, jak tłumaczy ona swoją obecność. Zrobiła to nienaganną francuszczyzną. Gaston kłaniał się jej tak nisko, że niemal dotykał nosem kolan.

Wprowadzono ich do prywatnego saloniku, gdzie stał już stół zastawiony mięsem, chlebem i pieczywem, które oberżysta przyniósł, kiedy tylko zobaczył jacht milorda u brzegu. Zaraz też pojawiło się wino. Wychodząc, zapewniał, że pozostaje na każde wezwanie, gdyby milord i *mademoiselle* życzyli sobie jeszcze czegoś.

Randall ponaglił gadatliwego gospodarza i zamknął drzwi. Oparł się o nie plecami i obserwował Mary, która zdążyła zdjąć pelerynę i teraz nerwowymi ruchami, chodząc po pokoju, ściągała rękawiczki. Gdy zorientowała się, że na nią patrzy, zatrzymała się.

- Jak śmiał pan potraktować mnie w taki sposób? I to na oczach ludzi? - wybuchła.

- Chciała pani w sukni schodzić ze statku po drabinie sznurowej, panno Endacott?

- Chciałam mieć możliwość zastanowienia się, jak mam zejść.

- Próbowала pani kiedykolwiek tego wcześniej?

- Nie, ale...

- Nie niosłem pani dla własnej przyjemności, proszę mi wierzyć.

- Nigdy nie doznałam większego upokorzenia.

- Pani upokorzenie byłoby jeszcze większe, gdyby spróbowała pani zejść po tej drabinie samodzielnie. Wiatr uniósłby pani suknie. Marynarze mieliby niezłą uciechę. Zobaczyliby znacznie więcej niż pani podwiązki.

Patrzył z satysfakcją, jak dociera do niej sens jego słów.

- Właśnie - dodał z ponurą miną. - Oni tracą rozum, gdy błysnie im przed oczami kawałek ciała jakiegokolwiek dziewczyny, a co dopiero takiej pięknej kobiety, jak pani.

Randall zamilkł, zdumiony śmiałością swoich słów. Czyżby postradał zmysły? Była to raczej nieodpowiednia chwila na prawienie komplementów, nawet tak zawołowanych. Wiedział jednak, że nigdy nie zapomni chwili, w której zarzuciła mu ramiona na szyję. Uczyniła to nieśmiało, jak gdyby bała się obejmować go za mocno. I ten jej zapach... Subtelny, cytrusowy, który wypełnił mu nozdrza, gdy złożyła głowę w zagłębieniu jego szyi.

- Przepraszam pana.

Powiedziała to głosem ledwo dosłyszalnym, uwagi Randalla nie uszło jej zawstydzienie. Zrobiło mu się bardzo przykro. Chciał do niej podejść, objąć ją, pocieszyć...

Pokręcił nieznacznie głową zaskoczony tokiem własnych myśli. Nigdy nikogo nie pocieszał, nawet swoich sióstr. Gdy zastanawiał się, co jej odpowiedzieć, ona uprzedziła go.

- Pańskie zachowanie było bardzo niekonwencjonalne, ale przyznaję, że mogłam doznać jeszcze większego upokorzenia, gdybym próbowała sama schodzić po tej drabince. Jeszcze raz przepraszam za wybuch. Tak długo walczyłam o niezależność, że zapomniałam, jak okazywać wdzięczność.

Randall podziwiał odwagę, z jaką patrzyła mu w oczy i przepraszała. Gdybyśmy byli kochankami, wziąłbym ją teraz do łóżka, pomyślał.

- Nie wracajmy do tego - mruknął. Podszedł do bocznego stolika i nalał wina do dwóch kieliszków. - Powinniśmy się wzmocnić przed dalszą podróżą.

- Tak, oczywiście. Nie jedliśmy nic od wczoraj.

- Dobrze pani spała na jachcie?

- Bardzo dobrze. Przespałam całą drogę. Wiem, że panu spieszno do pańskich żołnierzy. Nie chcę pana opóźnić.

Jej oczy miały teraz delikatny zielony kolor jak angielskie ogrody wczesną wiosną. Randall stwierdził, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby go opóźniła. Zaniósłby ją do łóżka, zanurzyłby twarz w jej gęstych, płowych włosach albo wtulił się między jej uda, które obejmował, kiedy przerzucił ją sobie przez ramię.

Poczuł przyływ pożądania. Odsunął się od niej zaalarmowany swoją reakcją. Sądził, że wyrósł już z tak gwałtownych porywów namiętności. W jego życiu kobiety nie odgrywały żadnej roli. Od czasu do czasu dostarczały tylko miłej odmiany od codzienności.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Pani może mnie nie opóźni, ale brak środka lokomocji na pewno. Ci głupcy wciąż nie uporali się z podstawieniem naszych karet. Wyjdę i zobaczę, co się tam dzieje.

Opróżnił kieliszek, chwycił kapelusz i wyszedł, zadowolony, że znalazł dobry pretekst pozwalający uwolnić się od burzącej jego spokój bliskości panny Endacott.

Mary opadła na krzesło przy stole. To, co wyczytała we wzroku Randalla, wstrząsnęło nią do głębi; aż ugięły się pod nią nogi. Czuła się tak, jakby popatrzyła w błękitne płomienie ognia. Ujrzała w nich obietnicę niewypowiedzianych rozkoszy, z całą pewnością jeszcze jej nieznaną. Jego wzrok buzował pożądaniem. Widziała go już w takim stanie w ogrodzie Harriett, wtedy jednak miał o niej fałszywe mniemanie, sądził, że jest kobietą doświadczoną.

Dopijała drobnymi łydkami wino i analizowała niedawną scenę. Lord Randall, naturalnie, nie odpowiada za reakcje swojego ciała. W końcu jest mężczyzną, a męż-

czyżni są podatni na bodźce zmysłowe. Wstrząsająca natomiast była jej własna reakcja. Mary studiowała nauki swojej imienniczki, Mary Wollstonecraft, na temat miłości i wydawały się jej one takie rozsądne. Mężczyzna i kobieta poznają się i zakochują się w sobie. Ich leżący w obopólnym interesie, zbudowany na zaufaniu i szacunku związek, nie wymaga błogosławieństwa żadnego Kościoła. Tymczasem jej, gdy patrzyła w pałające namiętnością oczy lorda Randalla, przychodziła do głowy tylko czysto fizyczny relacja. Miała ochotę wyciągnąć do niego ramiona i znowu posmakować jego ust, poczuć jego ciało tuż przy swoim. Nawet teraz, gdy o tym myślała, robiło się jej gorąco i przenikał ją przyjemny dreszczyk.

Na szczęście Randall w porę wyszedł, inaczej mogłaby ulec swojemu pragnieniu.

- Musisz panować nad sobą, Mary Endacott. Lord Randall już ci powiedział, jakiego rodzaju kobiety wpuszcza do swojego życia, a ty nie staniesz się jedną z nich. Zbyt wiele miałabyś do stracenia.

Szkoła była jedynym źródłem jej utrzymania. Jeśli utraciłaby reputację, nikt nie powierzyłby jej edukacji swoich córek. Mogłaby zostać na jakiś czas kochanką Randalla, ale co potem? Co zrobiłaby, jeśliby się nią znudził? Musiałaby poszukać innego protektora, a potem kolejnego, aż zestarzałaby się i zbrzydła i żaden mężczyzna nie zechciałby już na nią spojrzeć... chyba że w jakiejś ciemnej uliczce.

Wzdrygnęła się i spróbowała otrząsnąć z przerażających myśli.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Do powrotu lorda Randalla Mary zdążyła odzyskać równowagę. Przyjęła jego pomocną dłoń przy wsiadaniu do karety i dzielnie odwracała od niego wzrok, gdy jego koń znajdował się w polu widzenia. Wiedziała, że jest pod urokiem hrabiego. To, co go do niej przyciągało, sprowadzało się jednak do czysto fizycznego zainteresowania, które postanowiła w duchu zwalczać ze wszystkich sił.

Z uczuciem ulgi zauważyła, że lord Randall ze swojej strony z równą determinacją starał się nie okazywać zainteresowania jej osobą. Podczas krótkiego postoju potrzebnego do zmiany koni był wobec niej uprzedzająco grzeczny, ale chłodny, a kiedy zatrzymali się na noc, myślał wyłącznie o jej wygodach do tego stopnia, że zapłacił służącej, żeby jej pomagała i spała w jej pokoju.

- Oby tak dalej - mruknęła do siebie, kiedy się obudziła następnego ranka. - Dzisiaj wieczorem znajdę się z powrotem na Rue Haute i nigdy już nie będę miała do czynienia z lordem Randallem.

Ożywiona tą zachęcającą perspektywą udała się na dół. Gospoda była skromna, lecz hojność hrabiego przekonała jej właściciela do oddania im osobnej jadalni. Kiedy do niej weszła, hrabia już jadł śniadanie. Mary zawahała się przez chwilę przy drzwiach. Zauważyła, że zmienił cywilne ubranie na ciemnoniebieski mundur.

Serce Mary zabiło gwałtownie.

- Dzień dobry, panno Endacott. - Wstał i podał jej krzesło.

- Dzień dobry. Spodziewa się pan, że już dzisiaj dotrzemy do Brukseli?

- Tak. - Podał jej filiżankę kawy i wrócił na swoje miejsce. - Kazałem karecie bagażowej jechać prosto do szkoły i tam zostawić pani kufer. My tymczasem zatrzymamy się w Roosbos, gdzie obozują moi ludzie. Zalecałbym, żeby pani nie wysiadała z karety. Potem odwiozę panią na Rue Haute.

- Nie ma potrzeby, żeby pan się trudził. Jestem pewna, że pański stangret znajdzie drogę bez pana.

- Nie wątpię, lecz obiecałem Harriett, że dowiozę panią pod same drzwi, i ona nie wybaczyłaby mi, gdybym nie dotrzymał słowa.

Mary już się więcej nie sprzeciwiała. Oboje mieli swoje obowiązki. On dowodził oddziałem artylerii, ona kierowała szkołą. Ich drogi rozejdą się na Rue Haute i nigdy znowu się nie skrzyżują.

Kiedy wychodzili z gospody, z ołowianego nieba lały się strugi deszczu.

- Chyba nie zamierza pan jechać konno podczas takiej ulewy? - zapytała. - Przemoknie pan do suchej nitki.

- Mam dobry kapelusz i płaszcz.

- Niech pan powie prawdę, gdyby nie ja, wsiadłby pan do karety?

- Tak, ale...

- Więc niech pan to zrobi, milordzie. - Spojrzała mu przelotnie w oczy. Nie chciała, żeby pomyślał, że nalega z innych powodów niż praktyczne. - Chyba wytrzyma-

my w swoim towarzystwie przez kilka godzin. Pańska siostra nie wybaczyłaby mi, gdyby nabawił się pan przeze mnie przeziębienia – dodała żartobliwie.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie jestem tak delikatny, jak pani sądzi, ani tak uparty.

Wsiedli. Mary wydawało się, że wypełnił sobą całe wnętrze karety, i zaczęła zastanawiać się, czy postąpiła rozsądnie. Kareta z turkotem wytoczyła się z dziedzińca gospody. Zapanowało między nimi krępujące milczenie. Mary pospiesznie szukała tematu, który pozwoliłby je przerwać.

– Wiem, jak fatalną opinię mają pańscy podkomendni, ale czy oni naprawdę są tacy źli?

– Gorszi, niż pani myśli. To zbieranina najgorszych szubrawców w całej armii. Złodzieje i rzezimieszki. Służba w moim oddziale jest ich ostatnią szansą, a dla większości alternatywą byłaby banicja lub stryczek.

– Pan daje im możliwość odkupienia win. To bardzo szlachetne.

– Nie ma to nic wspólnego ze szlachetnością. Wszyscy są wyśmienitymi artylerzystami. Dopóki słuchają rozkazów, będę ich trzymał w swoim oddziale.

– A oficerowie?

– Podobnie. Złoczyńcy albo bękarci.

– Chyba nie deprecjonuje pan ludzi z tego powodu, że pochodzą z nieprawego łoża?

– Oczywiście, że nie. Stwarzam im okazję do wykazania się. Moi żołnierze to desperaci i potrzebują desperatów, którzy by nimi dowodzili. Wszyscy razem tworzymy doskonałą jedność.

Mary obserwowała go wciśnięta w róg siedzenia.

– Jest pan z nich dumny – zauważyła cicho.

– Owszem, jestem. – Jego twarz złagodniała, ale tylko na moment. – Na wojnie nie ma miejsca na sentymenty, panno Endacott. To złoczyńcy, więc radziłbym pani stanowczo trzymać się od nich z daleka.

Od ich pułkownika też? – chciała zapytać, ale ugryzła się w język. Znała odpowiedź: zwłaszcza od ich pułkownika.

Pod koniec dnia przestało padać, a kiedy wjeżdżali do lasku w Roosbos, zaświeciło nawet słońce. Kareta zjechała z głównego gościńca na polną drogę i wkrótce zatrzymała się przed obozem oddziału hrabiego. Oczom Mary ukazały się rzędy namiotów i wozy taborowe, między którymi stały konie. Lufy dział spoczywających na lawetach błyszcząły w promieniach słońca. Lord Randall wyskoczył z karety i ruszył ku najbliższemu ognisku, przy którym siedzieli żołnierze. Wszyscy zerwali się na równe nogi, kiedy do nich podszedł.

Po doświadczeniu na jachcie Mary nie próbowała sprzeciwu, opuściła tylko okno, żeby orientować się, co się dzieje. Głos hrabiego słyszała całkiem wyraźnie.

– Sierzancie, gdzie major Flint?

– Poszedł na spotkanie z majorem Bartlettem, panie pułkowniku. Mam go sprowadzić?

– Nie trzeba, Hawkins. Porozmawiam z nim, kiedy wrócę po odnalezieniu swojej kwatery w Brukseli.

Gdy to powiedział, z głośnym szczekaniem wyskoczył ku niemu wielki, kudłaty

pies. Mary wstrzymała oddech. Spodziewała się, że pies zaatakuje Randalla. Ale tak się nie stało.

- Siad! - krzyknął hrabia i zwierzę usiadło przed nim, dysząc. Następne słowa hrabia wypowiedział cicho:

- Co, u diabła, robi tutaj to zwierzę?

- To nasza nowa maskotka, panie pułkowniku - odparł jeden z żołnierzy. - Major Flint go znalazł i przygarnął.

- Hm... No dobrze. Uważajcie tylko, żeby mi nie wchodził w drogę.

- Major już idzie, panie pułkowniku.

Słowa żołnierza utonęły w radosnym skomlaniu psa. Oficer szedł swobodnym krokiem, jak gdyby wcale mu się nie spieszyło do przełożonego. Mary pomyślała, że oficer jest tak samo zarośnięty jak jego pies. Kiedy stanął przy hrabim, zauważyła, że łączy ich wielkie podobieństwo.

Rozmawiali przez jakiś czas, po czym Randall wrócił do karety. Mary odsunęła się od okna i ruszyli.

- Czy major Flint jest pańskim krewnym, milordzie? - zapytała niewinnie.

Zauważyła, jak zacisnął szczękę.

- Jest moim bratem przyrodnim.

- Aha, jednym z owych... bękartów, o których pan wspominał?

- Tak.

Jego ostry ton ostrzegał, by o nic więcej nie pytała, ona jednak nie potrafiła powściągnąć ciekawości.

- Mówił pan, że na wojnie nie ma miejsca na sentymenty, przypuszczam więc, że major Flint jest dobrym oficerem?

- Powiem tak: wolę go mieć po swojej stronie niż przeciwko sobie. - A kiedy zauważył, że Mary mu się przygląda, dodał niecierpliwie: - Nie wychowywano nas we wzajemnej miłości, więc proszę nie myśleć, że w grę wchodzi jakieś rodzinne uczucie. Flint jest jednym z wielu bękartów, których spłodził mój ojciec. Nie potrafił przepuścić żadnej kobiecie, czy to damie, czy praczce.

- Typowy arystokrata.

Spojrzał na nią wyniośle.

- Nie, panno Endacott, wcale nie typowy.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Uważam, że ludzi należy oceniać po czynach, a nie na podstawie pozorów. A jak pan myśli?

- Czy pije pani do mnie? Ponieważ osądziłem panią po pozorach?

- Uderz w stół, nożyce się odezwą.

- Jak udało się pani dożyć swojego wieku i nikt pani jeszcze nie udusił...

- Niech pan się nie złości, lordzie Randall. Jeszcze godzina i pan się ode mnie uwolni.

Do Brukseli zajęchali późnym popołudniem.

- Imponujący - zauważył lord Randall, patrząc na nieco odsunięty od ulicy budynek.

- Dziękuję. Jestem bardzo dumna ze swojej szkoły - odpowiedziała Mary.

- Prowadzi pani również internat?

- Większość mieszka w internacie, kilka dochodzi z miasta. Zaprosiłabym pana na mały poczęstunek, ale...

- Muszę odnaleźć swoją kwaterę, a potem niezwłocznie wrócić do Roosbos.

- Zatem, do widzenia, lordzie Randall. I dziękuję bardzo. - Wyciągnęła do niego rękę, a on ujął ją z ukłonem, tak jak wymagało tego dobre wychowanie. Nawet nie ścisnął jej palców.

Mary stała i patrzyła na zabłocony pojazd odjeżdżający Rue Haute.

Już po wszystkim, pomyślała. Odjechał i nigdy się nie spotkają. Ona nie miała żadnych kontaktów ze środowiskiem wojskowych w Brukseli i nie utrzymywała więzi towarzyskich z angielskimi rodzinami zamieszkałymi w mieście. Anglicy mogli posyłać swoje córki do jej szkoły, ale nie traktowali jej jak równej sobie. Jej krąg znajomych bardzo się różnił od kręgów, w których bywał hrabia.

Nie, pomyślała, prostując ramiona, nigdy się już nie zobaczą.

Randall opadł na poduszki oparcia i zamknął oczy. To koniec. Spełnił swój obowiązek, dowiózł pannę Endacott do domu i nigdy już nie zobaczy tej irytującej kobiety. Kiedy karetka podjeżdżała pod kwaterę przy Rue Ducale, jego umysł był już zajęty wyłącznie sprawami służbowymi. W kwaterze czekały na niego pilne dokumenty, w tym od samego Wellingtona. Musiał na nie odpowiedzieć przed powrotem do Roosbos. Z radością odnalazł się w roli żołnierza i dowódcy.

Dopiero po położeniu się do łóżka pomyślał o Mary Endacott, ale nie dlatego, że chciał. Pojawiła się w jego wyobraźni nieproszona. Był bardzo zmęczony. Zamknął oczy i wtedy ją ujrzał, jej nieśmiało uśmiechnięte oczy, przechyloną w bok głowę, jakby o coś pytała. Próbował odegnać ten widok od siebie, ale kiedy wreszcie zasnął, we śnie znowu go nawiedziła. Pocałował ją, a ona drżąc w jego ramionach, przytuliła się do niego i oddała pocałunek tak jak w ogrodzie w Somervil. Ale na tym we śnie się nie skończyło. Ich pocałunki stawały się coraz gorętsze, aż wreszcie uniósł ją w górę, zamierzając zanieść na rękach do łóżka, lecz wtedy ona zbladła i rozplynęła się w powietrzu. Został z niczym, a wielki, nieznośny żal długo ścisnął mu serce.

Przewrócił się na bok. Pierwsze szare oznaki świtu wpełzały do pokoju. Przykrył oczy dłonią, świadomy mglistego niedosytu, jaki pozostał po niespełnionym śnie. Z jękiem odrzucił przykrycie i wyskoczył z łóżka. Czekало go dużo pracy. Dzięki niej nie będzie myślał o Mary. Kiedy opuszczał kwaterę Wellingtona na Rue Montagne du Parc, zatrzymał się na dźwięk kobiecego śmiechu. Obejrzał się, spodziewając się zobaczyć Mary, ale to nie była ona.

- Oszalałem... - powiedział do siebie i pospiesznie się oddalił. - Mam obowiązki względem swoich żołnierzy i względem kraju. Nie mogę się rozpraszać.

Tymczasem stwierdził, że idzie w kierunku Rue Haute.

Personel powitał Mary z radością. Podczas jej nieobecności nazbierało się trochę spraw administracyjnych. Z przyjemnością rzuciła się w wir pracy. Kiedy następnego dnia po przyjeździe wszedł do klasy szkolny woźny, Jacques, i oznajmił, że ma gościa, była lekko rozczarowana, że to nie hrabia czeka na nią w bawialni, która jej służyła również za biuro.

- Bertrand, co za niespodzianka. Jak się pan miewa?

Doktor Lebbecke uklonił się i wręczył jej wielki bukiet wiosennych kwiatów.

- Dziękuję, bardzo dobrze, panno Mary. Dowiedziałem się, że jest pani spodziewana w tych dniach, wpadłem więc, by zostawić to na pani powitanie.

- Miło z pana strony, dziękuję. Przyjechałam dzień wcześniej, niż pierwotnie zamierzałam. - Weszła pokojówka z wazonem z wodą.

- Cała przyjemność po mojej stronie, *mademoiselle* Mary. Tęskniła pani za swoimi brukselskimi przyjaciółmi? Mam nadzieję, że z tego powodu przyspieszyła pani powrót.

Znaczenie jego słów było równie wymowne, co płomienne spojrzenie ciemnych oczu. W ostatnim roku zaprzyjaźnili się i Mary domyślała się, że Bertrand Lebbecke teraz liczył na więcej. Mary nie robiła mu jednak nadziei.

- Panie Bertrandzie...

- Lord Randall, panienko.

Mary podskoczyła na dźwięk zapowiedzi Jacques'a i poczuła, że się czerwieni.

- Witam, lordzie Randall - odezwała się do wchodzącego. Na więcej nie było jej stać. Wyglądał tak imponująco w ciemnoniebieskim mundurze, że zaschło jej w gardle. Rozejrzał się posępnym wzrokiem po pokoju i zatrzymał wzrok na Bertrandzie. Mary chrząknęła.

- Panowie się znają? Doktor Lebbecke jest po prostu nieoceniony, kiedy do naszej szkoły zawita jakaś choroba.

- Nie, nigdy się nie spotkaliśmy. - Hrabia skłonił lekko głowę przed lekarzem. - I nic dziwnego, albowiem do Brukseli przyjechałem dopiero wczoraj.

- W samej rzeczy - potwierdził grzecznie Bertrand i oddał ukłon.

- Przyszedłem zobaczyć, jak pani się czuje. Czy nie zmęczyła pani za bardzo wczorajsza podróż?

Bertrand zrobił zdziwioną minę, więc Mary pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Lord Randall był tak miły, że przywiózł mnie z Anglii swoją kareta. Spotkaliśmy się przypadkiem w Susseksie, gdzie gościłam u kuzynów. Jestem koleżanką szkolną jego siostry, niech pan sobie wyobrazi.

Spokojnie, Mary, nie gadaj tyle, przywołała siebie do porządku. Tłumaczenie, chociaż bez sensu, zaspokoilo widać ciekawość Bertranda, bo zwrócił się do hrabiego.

- Służy pan w koalicyjnej armii?

- Tak. W artylerii. A pan jest lekarzem? Obawiam się, że będziemy potrzebowali pańskich usług w najbliższych miesiącach, chociaż wolałbym, żeby do tego nie doszło.

- Będę w gotowości - zadeklarował Bertrand. - Znam się trochę na obrażeniach wojennych. Przez dziesięć lat, do czasu abdykacji Napoleona, służyłem we francuskiej marynarce jako lekarz okrętowy. Mam nadzieję, że to mnie nie dyskwalifikuje?

- Pańskim powołaniem jest ratowanie życia, nieprawdaż? - wtrąciła Mary pospiesznie.

- Tak jest, panno Mary - odpowiedział z uśmiechem. - Bez względu na przynależność narodową.

Mary odwzajemniła uśmiech. Zauważyła, że mina Randalla stała się jeszcze bardziej ponura. Podszedł do okna i stał tam, wypatrując czegoś. Mary miała wrażenie,

że siedzi w pokoju z dwoma psami, które za chwilę skoczą sobie do gardeł.

- Niech pan usiądzie, hrabio. Poproszę o podanie czegoś do picia.

- Jeśli o mnie chodzi, to dziękuję - odezwał się Bertrand. - Mam umówioną wizytę, muszę już iść.

Po wyjściu lekarza Randall nie mógł powstrzymać się od pełnego przekąsu komentarza.

- Uosobienie galijskiego uroku.

- On pochodzi z Flandrii, nie jest Francuzem, milordzie.

- Nie moja sprawa... Kim on jest dla pani?

Mary miała na końcu języka odpowiedź utrzymaną w tym samym tonie - że to nie jego sprawa.

- Przyjacielem - odparła trochę wyzywająco, ale dodała zaraz nieco uprzejmie: - Proszę usiąść, milordzie, zadzwonię po...

- Niech pani się nie trudzi, nie mogę zostać. Wybieram się na kolację do Hôtel de la Paix wraz z innymi oficerami artylerii.

- Wobec tego dziękuję, że zadał pan sobie trud i mnie odwiedził.

- Drobiazg. Pozwoli pani, że ponownie złożę pani wizytę w przyszłości...?

Zabrzmiało to jak rozkaz, nie pytanie. Rozsądek nakazywał Mary odpowiedzieć wymijająco, ale nie umiała.

- Bardzo proszę.

Igrasz z ogniem, dziewczyno, pomyślała. Wiedziała o tym, ale było już za późno na odwrót. Randall zareagował tak, jakby nie dosłyszał. Po krótkiej chwili skinął jednak głową.

- Dziękuję.

Ruszył w kierunku drzwi; po drodze sięgnął jeszcze po kwiat z bukietu przyniesionego przez Bertranda.

- To nie w moim stylu, Mary - powiedział. - Nie potrafię być taki czarujący. Nie usłyszysz pani ode mnie fałszywych komplementów, nie będę też przynosił pani kwiatów. Dobrze, żeby pani o tym wiedziała od początku. - Skłonił się i wyszedł.

Od początku czego? - zadała sobie w duchu pytanie, choć domyślała się odpowiedzi.

Zamknęła oczy. Czyżby niczego się nie nauczyła z doświadczenia swojej siostry? Biedna, oszukana Jane, która zaufała mężczyźnie z arystokratycznego rodu i zapłaciła za to najwyższą cenę.

Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Poinstruuje woźnego, aby zawsze mówił lordowi, że nie ma jej w domu. Przy odrobinie szczęścia wkrótce zapomną, że kiedykolwiek się spotkali.

- Przepraszam, milordzie. Panny Endacott nie ma w domu.

Angielszczyzna woźnego była bliska doskonałości. Nic dziwnego, pomyślał z goryczą Randall. Zdążył się już nauczyć tej formułki, ciągle ją powtarzając. Był tu już trzeci raz i ciągle słyszał to samo.

- Życzy pan sobie zostawić wizytówkę?

- Nie, nie tym razem. - Kolejny raz już się nie wybierze.

Mary unikała go i dłużej nie mógł udawać, że tego nie widzi. Sam nie wiedział,

dlaczego ciągle przychodzi. Co miał nadzieję osiągnąć, interesując się kobietą, która jest za porządna, żeby być jego kochanką, a której on nie może zaproponować niczego więcej? Wabiła go jednak jak syrena.

Śmieszna sytuacja, skomentował w duchu. Była szanowaną kobietą, nawet jeśli niewłaściwie odczytał sygnały, które mu wysyłała. Na pewno też nie mylił się co do tego, co mówiły jej oczy. Podobał się jej. Pragnęła go tak bardzo, jak on pragnął jej, mógłby się założyć o wszystko. Wiedział jednak, jak oceniliby ją świat, gdyby uległa jego zalotom. Nie mogła narazić na szwank swojej reputacji, jeśli nadal zamierzała prowadzić szkołę. Dlaczego więc przychodzi pod jej dom? Żeby ją zobaczyć? Porozmawiać z nią, podyskutować, usłyszeć, jak się śmieje?

- Weź się w garść, stary głupcze - mruknął do siebie. - Przecież znasz ją zaledwie od dwóch tygodni. Łatwo o niej zapomnisz, zwłaszcza teraz, kiedy masz tyle do roboty.

Przez kolejnych kilka dni całą energię poświęcał służbowym obowiązkom, ale w wolnych chwilach ciągle myślał o Mary. O tym, że chętnie porozmawiałby z nią o swoich żołnierzach, o codziennych frustracjach i komicznych sytuacjach jak chociażby ta, w której dowiedział się, jak jego podkomendni nazwali psa, kudłatą mąskotkę pułku. Dali mu na imię Bennington Dog, co było oczywistym nawiązaniem do nazwiska pułkownika Benningtona Ffoga, którego groteskowe wąsy i spodnie tak wąskie, że żeby je wciągnąć, musiał sobie smarować tłuszczem nogi, były przedmiotem kpin w całej Brukseli. Kiedy mu mówiono, jakie imię jego żołnierze nadali psu, Randall musiał zachowywać powagę, nie chciał bowiem okazywać braku szacunku oficerowi, zwłaszcza że był on dowódcą pułku kawalerii, w którym służył jego brat, Gideon. Chętnie jednak pośmiałby się z tego razem z Mary...

Niestety, nie będzie mu to dane. Aż nadto wyraźnie dała mu do zrozumienia, że uważa ich znajomość za zakończoną.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Bardzo pani dzisiaj milcząca, panno Mary.
- Przepraszam. Mówił pan coś, panie Bertrandzie?

Spacerowali po parku. Ilekroć Mary napotykała oficera w niebieskim mundurze, jej myśli bieły ku Randallowi.

Od dwóch tygodni nie dawał znaku życia, choć nie powinna się dziwić, skoro nakazała woźnemu, żeby go odprawiał. Nie przestawała jednak o nim myśleć. Za dnia, kiedy absorbowała ją praca, było nie najgorzej, lecz wieczorem, gdy gasiła świeczkę, wracał i zakłócał jej sny.

- Wydawało mi się, że spacer sprawi pani przyjemność. Dlatego panią do niego namawiałem. Niestety, widzę, że jest pani nieobecna duchem.

- Przepraszam - powtórzyła. - Nie potrafię przestać myśleć o pracy. - Mary pocieszała się, że nie do końca mija się z prawdą. - Wojna wisi na włosku. Niektórzy rodzice już zabrali swoje córki, inni uczynią to lada moment, ale jest mnóstwo dziewcząt, których rodzice przebywają za granicą i te pozostaną pod moją opieką. Na wszelki wypadek muszę przygotować się do wyjazdu z Brukseli.

- Od wielu tygodni uprzedzałem, że należałoby się przygotować na taką ewentualność, ale pani nie chciała słuchać.

- Nie rozumiem zarzutu. Przecież pan wie, że wynajęłam dom w Antwerpii. W odpowiednim czasie przeniosę się tam z całym personelem i uczennicami. Kwestią otwartą pozostaje tylko termin przeprowadzki, o ile będzie rzeczywiście konieczna. Panuje przekonanie, że Napoleon nie zaatakuje Brukseli.

- Z nim nigdy nic nie wiadomo. Jeśli coś postanowi, zrealizuje to szybko i z bezwzględną skutecznością. Rozsądek nakazywałby zawczasu opuścić miasto.

- Wiem. Proszę się nie martwić. Przygotuję personel i uczennice do wyjazdu. Szkoła będzie gotowa do opuszczenia miasta w każdej chwili. Pozostaną jednak tak długo, jak długo książe będzie zapewniał, że miasto jest bezpieczne.

- Obawiam się, że za dużo pani wierzy w Wellingtona.

- Owszem, wierzę.

- I w jego oficerów. Takich chociażby jak pani przyjaciel, lord Randall.

- Widziałam go tylko raz po powrocie do Brukseli. Tego dnia, kiedy i pan przyszedł mnie odwiedzić, pamięta pan?

- Jak mógłbym zapomnieć? Zorientowałem się wtedy, że mam poważnego konkurenta.

- Głupstwa pan plecie! - Roześmiała się z przymusem.

- Zwyczajnie się boję, że pojawił się rywal do pani serca...

Zatrzymała się i puściła jego ramię, na którym się wspierała.

- Bertrandzie, ustaliliśmy, że nie będziemy o tym rozmawiali. Cenię pańską przyjaźń, ale proszę nie liczyć na więcej - powiedziała stanowczym głosem.

- Naprawdę? - zapytał ze śmiechem.

Mary musiała przyznać, że był bardzo przystojny, tak przynajmniej myślała do czasu ostatniego pobytu w Anglii. Nic do niego jednak nie czuła oprócz prawdziwej sympatii. Nie wywoływał w niej przyspieszonego bicia serca i tęsknoty tak silnej, że z ledwością powstrzymywała łzy, kiedy o nim myślała.

- Niestety... I nie wracajmy już do tego tematu - dodała ze smutkiem.

- *Eh bien...* - Westchnął. Sięgnął po jej dłoń i umieścił ją na swoim ramieniu. - Ale pozostaniemy przyjaciółmi?

- Naturalnie. Mam nadzieję, że na zawsze - odpowiedziała.

- W takim razie zapraszam panią w przyszły poniedziałek na wielki przegląd kawalerii w Grammont.

- Nie mogę, mam mnóstwo pracy.

- Sama pani mówiła, że wiele uczennic wyjechało ze szkoły. Nauczycielki poradzą sobie bez pani przez jeden dzień.

- Skoro pan tak uważa, chyba nie mogę odmówić.

- Właśnie. A zatem postanowione. Przyjadę po panią rano kabrioletem.

Dzień przeglądu wojsk w Grammont wstał jasny i słoneczny. Mary cieszyła się z przejażdżki. Bertrand przyjechał wcześniej. Do południa dotarli nad rzekę Dender, na której płaskich brzegach miały rozlokować się oddziały. Wojska zdążyły już zająć wyznaczone pozycje. Barwne formacje huzarów i ciężkich dragonów malowniczo prezentowały się na tle ciemnej linii lasów na horyzoncie. Okazało się, że w przeglądzie bierze udział nie tylko kawaleria. Między jej oddziałami widać było baterie konnej artylerii. Artylerzyści czyścili działa, aby lśniły podczas przeglądu.

Z Brukseli przybyło wielu widzów, którzy gromadzili się na wyniosłości, z której roztaczał się widok na nadrzeczne błonia. Bertrand też ustawił tam swój powozik. Wśród publiczności uwagę zwracała para jeźdźców: chwacki oficer kawalerii i dama w jasnoniebieskiej amazonce. Oboje dosiadali śnieżnobiałych koni. Mary zwróciła uwagę na łudzące podobieństwo młodego oficera do Randalla. Domyśliła się, że musiał to być jego młodszy brat, Gideon Latymor. Harriett wspominała, że służył w kawalerii. Damą zaś mogła być tylko jego bliźniacza siostra, lady Sarah.

Mary rozejrzała się nerwowo, czy w pobliżu nie ma również hrabiego. Czy wiedział, że lady Sarah jest w Brukseli? Na pewno nie byłby zadowolony. Wolałby, żeby siostra nie znajdowała się za blisko przyszłego teatru działań wojennych. A jeśli wie, to być może zaraz się tu zjawi. Trudno sobie wyobrazić, żeby nie zauważył Mary siedzącej w otwartym powozie z Bertrandem. Mary osłoniła się parasolką od strony pięknej pary w nadziei, że jeśli hrabia się zjawi, nie zobaczy jej.

- Mamy jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia. Nie miałyby pani ochoty rozprostować nóg, jak to wy mówicie, Anglicy? - zapytał Bertrand.

- Dobry pomysł, chętnie rozprostuję nogi! - Roześmiała się. Para na siwych koniach odjechała do stojącej w oddali grupy oficerów kawalerii. Mary wybrała przeciwny kierunek, żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo natknięcia się na lorda Randalla. Wydawało się jej, że wśród przygotowujących się do pokazu pododdziałów rozpoznaje ciemnoniebieskie mundury żołnierzy hrabiego i charakterystyczne czerwone szarfy, którymi byli przepasani jego oficerowie.

Bertrand zapytał, czy nie zechciałaby z bliska obejrzeć stanowisk artylerii.

- Raczej nie, chyba że pan ma na to ochotę - zaproponowała, ale ucieszyła się, kiedy pokręcił przecząco głową.

- Widziałem szkody, jakie potrafią wyrządzić te wojenne maszyny. Nie budzą mojej fascynacji.

- Całkiem zrozumiałe. Wyglądają niewinnie, ale wycelowane w nieprzyjaciela... wolę o tym nie myśleć.

- Niech pani nie myśli. Przyjechaliśmy, żeby podnieść się na duchu. Niech Bonaparte zobaczy, z kim będzie miał do czynienia.

Doszli do skraju wzgórza i musieli zawracać.

- Co pan zamierza? - zapytała Mary. - Jeśli dojdzie do wojny, zostanie pan w Brukseli?

- Oczywiście. Lekarze będą bardzo potrzebni, bez względu na to, która strona zwycięży - odpowiedział bez swojej zwykłej wesołości.

Mary nie wiedziała, jak się do tego odnieść, więc szli w milczeniu. Wrócili już prawie do kabrioletu Bertranda, gdy zauważyła wielkiego rumaka kłusującego wprost ku nim. Dosiadał go jeździec w ciemnoniebieskim mundurze ze złotymi galonami i szkarłatnymi wyłogami. Spodnie miał tak nieskazitelnie białe, że przy nich nakrapiany koń wydawał się zwyczajnie brudny.

Mary mogła być pacyfistką i nie lubić wojskowych, jednak nie potrafiła patrzeć bez podziwu na Randalla. Wyglądał wspaniale, wprost powalająco. Pozwoliła sobie rzucić przelotne spojrzenie na jego twarz. Jak zwykle była nieodgadniona. Mary odwróciła wzrok, ale wciąż czuła na sobie jego świdrujące niebieskie oczy. Na pewno zauważył, jak się zarumieniła i jak nierówno oddycha, i wyciągnął stosowne wnioski.

Ośloniła się wachlarzem, upokorzona, że jej reakcja jest taka jednoznaczna.

- *Bonjour*, lordzie Randall. - Bertrand nie stracił przytomności umysłu.

- Witam, doktorze Lebbeke.

- Zauważyłem pański oddział, milordzie, złej sławy Zabijaków Randalla.

- Owszem, biorą udział w przeglądzie... Co się dzieje? - odwrócił się w stronę grupy powozów, skąd dobiegały odgłosy poruszenia.

- Ktoś chyba zasłabł - zauważyła Mary. - Bertrandzie, mógłby pan...

- *Mais oui*. Zobaczę, co się tam dzieje.

- Jakaś dama zemdląca...

- Na Boga, toż to powóz Blanchardów - wykrzyknął Randall. - To musi być moja siostra, Augusta.

Wokół powozu, w którym doktor cucił damę, utworzył się pierścień gapiów. Mąż damy razem ze stangretem podnosili budę nad siedzeniem. Mary zaproponowała Randallowi, że przytrzyma mu konia, by mógł sprawdzić, co stało się siostrze. Po kilkuminutowej rozmowie ze szwagrem Randall wrócił.

- Nic poważnego. Blanchard niepotrzebnie wywołał panikę.

- Niech pan nie ocenia go zbyt surowo, martwi się o żonę. Nie każdego stać na zachowanie zimnej krwi w krytycznych sytuacjach. Tak jak pana.

- To zarzut, panno Endacott? Pani wie, że jestem żołnierzem. Szkolono mnie, żeby nie robić wiele hałasu o nic.

- Ale to sytuacja wyjątkowa, chodzi o pańską siostrę!

- A co to ma do rzeczy? Zresztą dogląda jej pani doktor.

- To nie jest „mój” doktor. - Zaciśnęła usta, zastanawiając się, dlaczego poczuła, że musi to zaakcentować.
 - Ale zwracacie się do siebie po imieniu.
 - Przyjaźnimy się. Tylko tyle. - Mary miała nadzieję, że Bertrand zaraz wróci i będzie mogła uwolnić się od krępującego towarzystwa hrabiego.
 - Nie spodziewałem się spotkać pani dzisiaj - powiedział. - Przypuszczam, że pani również nie wiedziała, że tu będę.
 - Nie wiedziałam. - Nawet nie próbowała kłamać. - Nie sądziłam, że pańscy ludzie dostąpią zaszczytu udziału w przeglądzie, jeśli to prawda, co się o nich opowiada.
 - Najprawdziwsza prawda, panno Endacott. Musiałem grozić im batem, żeby doprowadzili się do ładu i nadawali się do pokazania księciu i jego otoczeniu.
 - Nawet oficerowie?
 - Zwłaszcza oficerowie.
 - A co z ich maskotką? Tym kosmatym psem, którego widziałam w Roosbos?
 - Jest tutaj, uwiązany do lawety armatniej. Jest nieobliczalny. Mógłby rzucić się na Blüchera albo, co gorsza, na samego Wellingtona. Na szczęście to tylko pies.
 - Pan zapewne wolałby, żeby cywile też nie wchodzili wojsku w drogę?
 - Z wyjątkiem pani. Co do mojej siostr... moich sióstr - poprawił się - to uważam, że byłyby bezpieczniejsze w Anglii. Z niezadowoleniem dowiedziałem się, że Blanchard przywiózł Gussie i Sarah do Brukseli. Byli w Paryżu, kiedy rozeszła się wiadomość o ucieczce Napoleona z Elby. Radziłem matce, żeby wezwała ich do domu, ale, jak widać, jej apele nie poskutkowały.
 - Bruksela jest teraz w modzie. Cały wielki świat się tu gromadzi.
 - Ich nie powinno tu być, zwłaszcza że Gussie spodziewa się dziecka. A co pani zamierza? - zainteresował się po chwili. - Wyjedzie pani z Brukseli?
 - Już poczyniłam przygotowania do przeniesienia szkoły do Antwerpii.
 - Bardzo rozsądnie.
 - Szkoła jest dla mnie wszystkim. Poza nią nic nie mam - powiedziała, a w myślach dodała, że dlatego nie zamierza podejmować żadnego ryzyka związanego z jego osobą.
 - Justinie! Co się dzieje, dlaczego wokół powozu Gussie tłoczy się tyle ludzi?
- Pytanie zadała dama w błękitnej amazonce, kłusująca w ich stronę na siwym koniu. Tym razem nie towarzyszył jej gracki oficer kawalerii, lecz czerwony na twarzy pułkownik z mocno wypomadowanymi czarnymi włosami i monstrualnymi wąsami, dosiadający czarnego jak kruk konia.

- Nasza siostra zasłała. Nic poważnego. Zresztą jest przy niej lekarz - odpowiedział Randall.

Więc Mary miała rację. Dama w niebieskiej amazonce była młodszą siostrą Randallą, lady Sarah Latymor. Mary skorzystała z okazji, by się jej przyjrzeć. Miała typowy nos Latymorów i takie same jak oni niebieskie oczy, które teraz patrzyły na Mary z nieskrywanym zainteresowaniem.

- A to kto, Justinie?

Randall dokonał prezentacji. Mary zauważyła, że zainteresowanie lady Sarah jej osobą wzrosło, kiedy wyjaśnił, że razem podróżowali z Anglii do Brukseli. Towarzy-

szący lady Sarah pułkownik pożerał Mary wzrokiem.

- Na pokładzie prywatnego jachtu? - wtrącił. - Bardzo dobrze, Randall. Naszym obowiązkiem jest dogadzanie paniom, prawda?

Hrabia zignorował grubiański dowcip.

- Panno Endacott, pani pozwoli, że jej przedstawię pułkownika Benningtona Ffoga - powiedział chłodno.

- Dowódca mojego brata - dodała lady Sarah, podczas gdy pułkownik złożył się w ukłonie na szyi swojego konia i omal nie spadł z siodła, kiedy zwierzę odskoczyło nerwowo w bok. - Pułkowniku, nic tu po nas - zwróciła się do oficera. - Wracajmy do pańskiego oddziału, pańscy ludzie będą się zastanawiali, gdzie się pan zapodział. Co by było, gdyby przyjechał książę, a żołnierze witaliby go bez dowódcy? Pojadę z panem, by zamienić jeszcze parę słów z Gideonem, a potem wrócę tutaj i zaopiekuję się siostrą.

- To ona miała opiekować się tobą - odezwał się Randall.

Lady Sarah skwitowała uwagę brata pobłażliwym uśmiechem.

- Gussie wie, że nic mi nie grozi. Czy mógłbyś pokazać mi swój oddział...

- Wykluczone!

Obie kobiety wymieniły zdziwione spojrzenie, że niewinna prośba lady Sarah spotkała się z tak kategoryczną odmową. Pułkownik Bennington Ffog podjął się wyperswadować siostrze Randalla jej pomysł.

- Odradzałbym, milady. Nieciekawi ludzie. Nie na darmo mają taką paskudną opinię w armii. Bezczelni, arogancy, nawet wobec mnie. Prawdziwe męty.

- Męty to w odniesieniu do nich delikatne określenie. Pułkownik ma rację - poparł Benningtona Randall. Nie tylko radziłbym ci trzymać się od nich z daleka, posunąłbym się nawet do zakazania ci zbliżania się do nich.

- Za późno - odpowiedziała lady Sarah. - Rozmawialiśmy już z niektórymi z nich z Gideonem. I przestań mnie zastraszać. Nie martw się, zanim zaczniesz się przeglądać, wrócę i zaopiekuję się biedną Gussie. Do widzenia, panno Endacott. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

- Raczej nie, milady. - Mary dygnęła. - Rzadko wychodzę ze szkoły. Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy.

Lady Sarah nie uwierzyła. Spojrzała na Mary, następnie na Randalla, a potem znowu na Mary i odjechała galopem. Pułkownik Bennington Ffog pogalopował za nią.

- Ta dziewczyna ma za dużo swobody - mruknął pod nosem hrabia.

- Jest jak młody ptak, którzy przed opuszczeniem gniazda rozkłada na próbę skrzydła. Zdaję sobie sprawę z tego, jak trudne musi być łączenie obowiązków głowy rodziny ze służbą wojskową.

- Niewiele miałem do czynienia z rodzeństwem. W Chalfont rządziła matka, a ja myślałem tylko o karierze. Do tej pory znakomicie się to sprawdzało.

- Chce pan powiedzieć, że dyktował im pan swoją wolę, a oni wszyscy byli jej posłuszni.

- W żadnym razie. Nie jestem despotą, za jakiego mnie pani uważa. Z drugiej strony, może rzeczywiście powinienem więcej interesować się rodziną - dodał po chwili wahania.

- Jeszcze pan zdąży. Po wojnie.

- O ile przeżyję.

Mary przeszył dreszcz, bowiem Randall powiedział to beznamiętnym głosem. Nie wiedziała, jak się zachować ani co powiedzieć. Krępująca cisza przedłużała się.

- Dlaczego pani mnie unika? - zagadnął nagle hrabia.

Mary spodziewała się tego pytania, wisiało w powietrzu od momentu powitania, co nie znaczy, że łatwiej jej przyszło znaleźć odpowiedź.

- Pan... - zamilkła, chcąc zebrać myśli, które miały tę nieszczęsną właściwość, że opuszczały ją w obecności hrabiego. - To... - spróbowała na nowo. - To mnie prze-
raża.

- Moja nieustraszona Mary. Nie sądzę, żeby pani się czegoś bała. Nawet Bona-
partego.

- Otóż myli się pan. A poza tym nie jestem pańską Mary!

Poczuła, że chwyta ją za łokieć. Zadrżała.

- Nie chcę, żeby pani się mnie bała.

Serce Mary ścisnął bolesny skurcz. Nie jego się bała. Bała się swoich własnych
uczuć. Pragnęła go bardzo, aż do bólu.

- Wpadnę do pani jutro, to porozmawiamy - szepnął jej do ucha.

Nie miała czasu odpowiedzieć, albowiem wracał już do nich uśmiechnięty Ber-
trand. Widocznie przynosił dobrą wiadomość.

- Pańskiej siostrze musiała zaszkodzić zbyt wysoka temperatura. Już czuje się do-
brze, lecz powinna do końca dnia unikać słońca. Radziłem lordowi Blanchardowi,
żeby ją odwiózł do Brukseli, ona jednak chce obejrzeć przejazd orszaku Wellingto-
na.

- Tego się obawiałem - stwierdził Randall. - Pójdę do niej. Może razem z Blan-
chardem przemówimy jej do rozsądku.

- Nie uda się panu - odrzekł Bertrand. - Ona uparła się, żeby zobaczyć księcia.

- A jakże! - wykrzyknął z irytacją Randall.

- Niech pan z nią porozmawia, milordzie. - Mary dotknęła jego ramienia - i wytłu-
maczy, że chce wyłącznie jej dobra. Jestem pewna, że doceni pańską troskliwość,
nawet jeśli pana nie posłucha. Potem niech pan wraca do swoich żołnierzy i przygo-
tuje ich do przeglądu.

Hrabia pomyślał chwilę i odszedł.

- *Bon*, bardzo wzruszające przemówienie, panno Mary - powiedział doktor.

- Czyżbym potraktowała hrabiego zbyt protekcyjnie? - złąła się.

- Ależ skąd. Pokazała pani, że leży jej na sercu dobro hrabiego.

Mary zasępiła się. Nie spodziewała się, że to aż tak widoczne.

Wśród publiczności na wzgórzu powstało poruszenie na widok kolorowej kawal-
kady przejeżdżającej w szybkim tempie przed gotowymi do inspekcji wojskami.

- Książę - domyślił się Bertrand. - Wsiądźmy do powozu, będziemy mieli lepszy
widok.

Z całego orszaku Mary widziała tylko jednego pułkownika na siwym, nakrapianym
koniu. Rozpamiętywała każde słowo, które do niej dzisiaj skierował, każdy jego
gest.

- No, panno Mary, dość już się pani napatrzyła?

Pytanie przywróciło Mary do rzeczywistości. Księżę był już daleko. Inspekcja dobiegała końca.

- Oddziały dostaną wkrótce rozkaz powrotu do swoich obozów. Wracajmy do miasta, zanim goście zaczną się rozjeżdżać i na drodze zrobi się tłoczno.

- To było interesujące widowisko, dziękuję panu, Bertrandzie - powiedziała Mary, rezygnując z ostatniego spojrzenia na lorda Randalla. - Czuję się zobligowana zrewanżować za pańską uprzejmość - dodała impulsywnie. - Zje pan z nami kolację dzisiaj wieczorem?

- Z nami?

- Ze mną i moimi nauczycielkami, oczywiście. Nie wypadałoby mi jeść tylko z panem.

- A nie jadała pani z lordem Randallem podczas waszej podróży z Anglii?

- Tak, ale to co innego.

- Naprawdę?

Mary nie miała odwagi tłumaczyć mu, na czym polegała różnica.

- Lord Randall towarzyszył mi, żeby zadośćuczynić prośbie swojej siostry. Nie chciała, bym podróżowała do Brukseli samotnie. Hrabia zgodził się zabrać mnie ze sobą bardzo niechętnie, zapewniam pana. - Mary przypomniała sobie, jak się sprzeczekali w drodze. - To nie jego zapraszam dzisiaj na kolację na Rue Haute, lecz pana. Co pan odpowie?

- Odpowiem, że przyjdę z przyjemnością, *mademoiselle*. I dziękuję za zaproszenie.

Randall jechał w orszaku księcia przesuwającym się wzdłuż kolorowych szeregów wojska, lecz był nieobecny myślami. Nie mógł się doczekać końca inspekcji. Po jej zakończeniu udał się do swojego oddziału, żeby porozmawiać z oficerami. Zamierzał następnie podjechać do Mary i uspokoić ją, że jej nie odwiedzi, ale w drodze dogonił go adiutant lorda Uxbridge'a z zaproszeniem. Randall pamiętał o kolacji i wybierał się na nią.

- Jego lordowska mość życzy sobie pańskiego towarzystwa w tej chwili. Chciałby, aby pan odprowadził jego znamienitych gości do Ninove.

Nie było wyjścia. Randall podążył za adiutantem. Kiedy galopowali przed frontem publiczności na wzgórzu, rozglądał się za powozem doktora Lebbecke, ale nigdzie go nie dostrzegł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nauczycielki w szkole Mary były bardzo kompetentne, rzadko więc musiała sama udzielać lekcji w klasach. Wzorem ojca robiła jednak wyjątek dla zdolniejszych uczennic, które uczyła łaciny i greki. Następnego przedpołudnia po przeglądzie wojsk Mary nie zrezygnowała ze zwykłego rozkładu zajęć i przykazała woźnemu, Jacques'owi, żeby pod żadnym pozorem nie przeszkadzał jej w lekcjach. A jednak kiedy po południu wchodziła do bawialni, nie bardzo wiedziała, czy się cieszyć, czy smucić, że nikt tam na nią nie czekał.

Postanowiła odpisać na korespondencję, która zgromadziła się na biurku. Listy pochodziły głównie od zaniepokojonych rodziców. Niektórzy już zabierali córki ze szkoły, inni szukali rady, co robić. Niepewność była udziałem także Mary. Nie wiedziała, jaki będzie los jej szkoły. Wszystko zależało od wyniku nadchodzącego starcia.

Zaalarmował ją ruch przy drzwiach wejściowych. Nasłuchiwała z niepokojem. Randall. Serce Mary zabiło głośno. Wstała, kiedy usłyszała pospieszne kroki w holu i pukanie do drzwi. Hrabia nie czekał na zaproszenie. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i przystanął. Z surową miną i zaciśniętymi ustami zaczął zdejmować rękawiczki.

- Lordzie Randall...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Rzucił kapelusz i rękawiczki na biurko, wykonał dwa wielkie kroki i wziął ją w ramiona.

Jej dobre intencje uleciały i uniosła twarz do pocałunku. Jego usta były łapczywe. Instynktownie rozchyliła wargi i przywarła do niego, podniecona jego pożądaniem. Okrywał pocałunkami jej twarz, a ona wdychała znajomą woń - kombinację zapachu jego skóry i wody kolońskiej - męską i upajającą. Muskał teraz jej szyję w pieśczoście tak delikatnej jak dotknięcia motyla. Zadrżała, falujące piersi omal nie rozerwały staniczka sukni, tak bardzo pragnęły uwolnić się z jego krępującej niewoli i podać dotykowi Randalla. Była zdumiona, przestraszona i uradowana tym, co się z nią działo.

- Nie mogłem dłużej wytrzymać - szeptał pomiędzy pocałunkami. - Prześladowuje pani moje myśli. Musiałem panią zobaczyć.

- Och, Randall, ja też do pana tęskniłam.

Musiała usłyszeć własne słowa szeptane tuż przy jego policzku, żeby otrzeźwieć. Z wielkim żalem odepchnęła go. Zadawała sobie torturę, bowiem niczego bardziej nie pragnęła, niż trwać przytulona do jego piersi.

- Niech mnie pan zostawi.

Opuścił ramiona i odsunęła się od niego.

- Nic z tego nie będzie. Postanowiłam powiedzieć to panu dzisiaj.

Roześmiał się szyderczo.

- A ja miałem zamiar pożegnać się z panią, dopóki nie wszedłem i nie zobaczyłem

pani. Moje postanowienie wzięło w łeb.

Mary odwróciła się. Będzie jej łatwiej, jeśli nie będzie na niego patrzyła. Wyciągnęła chusteczkę i otarła łzy. Były oznaką słabości i nienawidziła ich. Jeden głęboki oddech i odzyskała dostateczną kontrolę nad mową.

- To tylko fizyczne zauroczenie, milordzie. Rozważyłam wszystko bardzo dokładnie i wiem, że nie łączy nas nic poza nim. Pochodzimy ze zbyt odległych światów.

- Nie zgadzam się z panią. Jest pani równie dobrze urodzona co ja.

- Jest pan szlachcicem, jakkolwiek nie ma nic szlachetnego w klasie, którą pan reprezentuje. Gardzę nią z całego serca. - Cisza, jaka zapadła po jej słowach, skłoniła Mary do wyjaśnień. - Wspominałam panu, że miałam siostrę. Jane. Zakochała się w młodym synu markiza, pochodzącym z tak zwanej arystokratycznej rodziny. Zalecał się do niej gorąco, ale namawiał do utrzymywania ich uczuć w tajemnicy. Przekonywał ją, że nasi rodzice, znani z postępowych poglądów, nie będą mu sprzyjali. To zresztą prawda, nasz ojciec nie byłby zadowolony z tego związku, jednak nie był tyranem i nie zabroniłby córce widywania się z uczciwym kandydatem do ręki. Tymczasem ten mężczyzna, szcycący się pochodzeniem, namówił Jane do ucieczki z nim do Tonbridge. Obiecał, że się z nią ożeni, ale po miesiącu jego uczucia ostygły. Porzucił ją bez grosza przy duszy. Na szczęście ojciec nie wyparł się córki. Kiedy do niego napisała i przedstawiła mu swoje położenie, pojechał po nią i sprowadził ją do domu.

- Była w okropnym stanie, nieszczęśliwa, ze złamanym sercem. Ojciec poszukiwał owego łajdaka, lecz on wyjechał za granicę w podróż poślubną. Okazało się, że w czasie, kiedy uwodził Jane, był już zaręczony.

- Co się stało z siostrą?

- Nigdy nie odzyskała równowagi. W końcu rzuciła się do Tamizy. Miałam wtedy trzynaście lat. Wydarzenia te zaciążyły na losach naszej rodziny. Czy dziwi pana, że gardzę przedstawicielami pańskiej sfery? Ale co to pana może obchodzić. Jestem przecież córką człowieka, który otwarcie kwestionował system przywilejów, jakimi cieszy się warstwa szlachecka. Jak pan widzi, nic nas nie łączy, a dzieli bardzo wiele.

Czekała w milczeniu, co on powie. Oburzy się na tamtego łajdaka, może nawet przeprosi. Patrzyła w jego twarz i przypominała sobie momenty, w których dobrze się czuli w swoim towarzystwie, i czekała z nadzieją, nietrwałą jak płatki śniegu, że może on znajdzie sposób przewyciężenia dzielących ich barier. Surowy wyraz jego twarzy nie wróżył jednak niczego dobrego.

- Ma pani rację, nasze światy są zbyt odległe - odezwał się wreszcie. - Powtarzałem to sobie dziesiątki razy w ciągu ostatnich dni.

Ciężar przytłaczający Mary stał się jeszcze bardziej przytłaczający. To koniec. Nigdy się już nie spotkają. Była zdziwiona, jak bardzo ta konstatacja ją boli.

- A więc ustaliliśmy - powiedziała bezbarwnym głosem. - Nie ma dla nas nadziei. - Zdradzieckie łzy napłynęły jej do oczu. Nie chciała, żeby je zobaczył. - Niech pan idzie, milordzie. Nie mam panu nic do zaoferowania.

Zamknęła oczy. Niechby już poszedł, zanim padnie na kanapę i utonie we łzach.

- Moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

- Słucham? - Otworzyła oczy. Czyżby przesłyszała się? W jego oczach wciąż pło-

nał ów błękitny ogień namiętności.

- Zostańmy przyjaciółmi, jeśli nie możemy być dla siebie nikim innym. I cieszymy się obecną chwilą.

- Nie wyobrażam sobie, milordzie...

Ze zmarszczonymi brwiami zaczął przechadzać się po pokoju.

- Moja obecność w Brukseli zapewne nie potrwa długo. Pokój utrzyma się może jeszcze tylko kilka tygodni. Jeśli dojdzie do najgorszego i Napoleon zagrozi Brukseli, pani schroni się w Antwerpii. Jeśli natomiast książę Wellington postanowi przenieść działania wojenne do Francji, wtedy ja wyjadę. To dla mnie zupełnie nowa sytuacja, Mary. - Zatrzymał się przed nią. - Nigdy nie czułem czegoś podobnego w stosunku do nikogo. Jestem szczęśliwy, kiedy nie wzywają mnie obowiązki i mogę spędzać czas w pani towarzystwie. Nie musiałbym być sam. Pani mogłaby zapewnić sobie jakąś przyzwoitkę - może pokojówkę, która byłaby cały czas przy pani. Nie chciałbym zaszkodzić pani reputacji. Po prostu jestem spragniony pani... bliskości.

- Chodzi panu o przyjaźń?

- Dlaczego nie? To chyba dość postępowy pomysł?

Mary poczuła ulgę, mimo że z niej żartował.

- Niczego pan nie będzie ode mnie wymagał, oprócz mojego towarzystwa?

- Tak jak powiedziałem.

Teraz Mary zaczęła krążyć po pokoju, ściskając dłońmi skronie.

- Pan mnie zadziwia, lordzie Randall. Na jednym z pierwszych naszych spotkań proponuje pan, żebym została pańską kochanką, a teraz deklaruje pan gotowość ograniczenia się do przyjaźni.

- Tak, ponieważ nie może nas łączyć nic więcej. Zbliży się wojna, Mary. Wszystko się zmieni. Mam niewiele czasu i chcę jego resztę spędzić z panią. Być może wszystko miało się zakończyć na przyjaźni. Nie jestem towarzyski... Brak mi przymiotów, które cenią kobiety...

- Nie wierzę.

- Bo pani mnie dobrze nie zna. Moje siostry mogą zaświadczyć, że to prawda. Nie cofam się, nie przepraszam. Mój nieprzejednany charakter, gdybyśmy zostali kochankami, stałby się w końcu źródłem cierpienia dla pani. Jako przyjaciółka może pani zachować upragnioną wolność. W odróżnieniu od pani biednej siostry będzie pani mogła rozstać się ze mną bez szkody dla swojej reputacji. Nie zamierzam powiedzieć pani do widzenia, panno Mary Endacott - dodał miękko.

Wiedziała, że to szaleństwo.

- Ja też nie, lordzie Randall.

- Więc spróbujmy. Co mamy do stracenia?

Tylko spokój mojego ducha, pomyślała.

- Nic, milordzie. - Wyciągnęła dłoń. - Więc między nami przyjaźń.

Uścisnął jej palce. Randall patrzył w zielone oczy Mary i miał nadzieję, że kiedy zaczną spędzać więcej czasu ze sobą, jego obsesja wypali się.

Wpuścił jej dłoń i odwrócił się, żeby nie spostrzegła, że nie o przyjaźń mu chodzi.

- Wybierze się pani jutro ze mną na konną przejażdżkę?

- Chyba tak.

- Ma pani konia?

- Mam. Wałacha Marrona, w stajni po sąsiedzku. Nie powinnam go trzymać, gdyż nie mam czasu jeździć tak często, jak bym chciała. Stajenni wyprowadzają go na padok, żeby nie stał beczynnym w boksie.

- Jutro rano wpadnę po panią. Wcześniej mam pewną sprawę do załatwienia, ale nie powinna mi zająć więcej niż kilka minut. Muszę skoordynować rozkazy z kolegami oficerami, kwaterującymi w małym zameczku pod miastem. Potem moglibyśmy pojechać do lasu, który w tamtej okolicy jest wyjątkowo malowniczy. Ma pani służącego?

- Nie.

- W takim razie ja wezmę kogoś, dla przyzwoitości.

Mary była oszołomiona nagłą zmianą zachowania hrabiego. Po ustaleniu szczegółów wyszedł, zaledwie skinąwszy głową w jej kierunku. Jak gdyby przyszedł w interesach. Jak gdyby ten gorący pocałunek nigdy się nie wydarzył.

Wróciła do biurka. Usiadła, wzięła do ręki pióro, umoczyła je w atramencie i spojrzała na zaczęty wcześniej list.

Jak mu się udało przeobrazić tak szybko z namiętnego kochanka w zwykłego znajomego? - zastanowiła się mimowolnie. Jej wciąż szumiało w głowie; od pocałunków i jego bliskości. Jak teraz uda im się zachowywać wobec siebie wyłącznie po przyjacielsku? Czy to możliwe?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Smutny uśmiech zagrał jej na ustach. Czy nie uprzedził jej, że nie jest mężczyzną, który będzie się do niej przymilał miłymi słówkami i małymi prezentami; niczego takiego więc się nie spodziewała, ale ostatnia propozycja był równie zaskakująca, co pierwsza.

Poranek był słoneczny i pogodny, gdy hrabia przyjechał na Rue Haute. Ordynans hrabiego, Robbins, kłusował za nim. Mary czekała usadowiona w siodle, wołała wcześniej dosiąść konia ze specjalnych schodków niż skorzystać z pomocy hrabiego. Uznała, że będzie im łatwiej pozostawać na gruncie przyjacielskim.

Droga wiodąca z miasta była zatłoczona. Dużą część ruchu stanowili wojskowi. Mary uświadomiła sobie wkrótce z zażenowaniem, że wystawia się na plotki, jadąc obok hrabiego, nawet jeśli towarzyszy im jego służący. Wielu wojskowych znało Randalla. Salutowali mu, witali się, ale patrzyli głównie na nią, wcale nie kryjąc ciekawości.

- To nie było rozsądne! - wykrzyknęła. - Cała Bruksela weźmie nas na języki.

- Czy to ma znaczenie? Nie robi pani nic niewłaściwego.

Jego wyniosła obojętność nie poprawiła jej samopoczucia.

- Nie pomyślałam o tym wczoraj, milordzie, dopiero dzisiaj przyszło mi do głowy, że pana nie widywano do tej pory w towarzystwie kobiet.

- Rzeczywiście mogą pojawić się komentarze, ale wkrótce jednak ucichną. Szybciej, niż pani myśli.

Jego spokój udzielił się w końcu Mary, jednak nie potrafiła cieszyć się z przejażdżki, dopóki nie zjechali z zatłoczonej drogi na leśny dukt, gdzie nie było nikogo w zasięgu wzroku. Kiedy dotarli do ślicznego zameczku, który był celem Randalla, zdała sobie sprawę z tego, jak szybko ucieka czas. Tak dobrze im się rozmawiało, że nawet nie zauważyła, kiedy dojechali.

Randall polecił Mary, żeby pozostała z Robbinsem na końcu alei wjazdowej, podczas gdy sam pojechał załatwić służbowe sprawy.

- Nie zaszkodziłoby, gdyby twój pan trochę mniej autorytatywnie formułował swoje życzenia - zauważyła Mary po odjeździe hrabiego.

- Lord Randall nawykł do wydawania rozkazów, proszę pani. I jest za stary, żeby się zmienić - usłyszała w odpowiedzi.

Mary zacisnęła usta. Zaczęła się zastanawiać, co ona takiego widzi w wyniosłym, despotycznym arystokracie, lecz kiedy po krótkiej nieobecności znów ku niej galopował, na widok jego dumnej, wyprostowanej sylwetki na moment zatrzymało się w niej serce. Lord Randall miał opinię człowieka zimnego i zdystansowanego. Sama też tak o nim myślała, kiedy go poznała. Wkrótce jednak nauczyła się rozpoznawać niezauważalne zmiany w jego zachowaniu, które sprawiały, że stawał się mniej niedostępny. Uśmiechał się nieznacznie, a jego wzrok stawał się ciepły i łagodny. Taką zmianę zauważyła w nim teraz i rozchmurzyła się.

- Załatwione?

- Tak. Jestem do pani dyspozycji. Przejedziemy się po lesie?

Znalazł drogę do nieodległej dolinki, a kiedy dojechali do jej dna, znaleźli się nad strumieniem, który z wesołym pluskaniem spływał w jej dół po skalistym podłożu.

- Jaki uroczy widok!

- Moglibyśmy się trochę przejść, jeśli pani sobie tego życzy.

Zsiadł z konia i pomógł Mary. Zawahała się, zanim zsunęła się w jego wyciągnięte ramiona. Zrobiła to tak, żeby nawet nie musnąć go ciałem, kiedy stawiał ją na ziemi. Zostawili konie pod opieką Robbinsa i ruszyli ścieżką wzdłuż strumienia. Szli bardzo blisko siebie, ale uważali, żeby się nie dotykać. Mary przypomniało się ich spotkanie w lasku w Anglii, kiedy posadził ją w siodle przed sobą i mocno obejmował ramionami. Było to przyjemne wspomnienie, niestety, już się nie powtórzy.

Westchnęła.

- Mam nadzieję, że nie odrywam pani od ważnych obowiązków w szkole - powiedział.

- Nie, skądże. W dzisiejszych niepewnych czasach wiele uczennic opuściło szkołę, mam więc więcej nauczycielek, niż potrzebuję. Będę musiała niektóre zwolnić, bo nie wszystkie pojedą ze mną do Antwerpii.

- Więc plan ewakuacji szkoły jest wciąż aktualny?

- Tak. Czekamy na rozwój wypadków.

- Moim zdaniem, powinna pani rozważyć jak najrychlejszy wyjazd.

- Coś pan wie? - przystanęła.

- Nie sądzimy, by doszło do większej bitwy w tych okolicach, ale uważam, że byłaby pani bezpieczniejsza, gdyby pani stąd wyjechała. - Mary spojrzała pytająco, więc dodał: - Gdyby to ode mnie zależało, wolałbym, żeby pani została, ale musi pani mieć na względzie również dobro swoich podopiecznych.

- Zrobię, co trzeba, milordzie.

- Czy moglibyśmy zwracać się do siebie mniej oficjalnie, kiedy jesteśmy sami?

- Nie jesteśmy sami - obejrzała się na Robbinsa, który szedł za nimi, prowadząc konie.

- Niech pani się ze mną nie droczy, Mary.

- A co mi pozostaje w tych smętnych czasach, kiedy wojna wisi na włosku?

- Wkrótce będzie po wszystkim.

Jego spokojny ton zirytował ją. Kiedy będzie po wszystkim, on wyjedzie.

- I myśli pan, że to dla mnie pocieszenie? Bardzo pana przepraszam. Czy nie uzgodniliśmy, że nie będziemy wybiegali w przyszłość, tylko cieszyli się swoim towarzystwem podczas pańskiego pobytu w Brukseli?

- Uzgodniliśmy. Myślę, że będzie mi bardzo trudno panią opuścić, Mary - dodał z wahaniem.

A mnie pana, odpowiedziała w duchu i uśmiechnęła się. Niech nie myśli, że ona jest tą słabszą stroną.

- Pochodzimy z różnych światów, Randall, które zaledwie zbliżyły się do siebie tylko na chwilę. Wkrótce jednak pożegnamy się i każde pójdzie swoją drogą.

- To oczywiste - potwierdził z udawanym przekonaniem. Jeśli przeżyje, być może wróci do Mary. Lubił jej towarzystwo i kiedy nie byli razem, nieustannie o niej myślał. Powiedziała, że ich światy bardzo są od siebie oddalone, ale czy tak jest w istocie? Czy byłoby im tak dobrze razem, czy znajdowałiby tak łatwo wspólny język, gdyby tak wiele ich różniło?

Rzucił jej ukradkowe spojrzenie. Wyobrazził sobie dreszcz emocji, z jakim rozpiąłby powoli guziki staniczka sukni. Ona drżałaby, gdy jego palce zsuwałyby jej z ramion cienką bawełnianą koszulę, odsłaniając gładkie, smukłe ciało. Jakże on jej pragnął! Ale obiecał, że nie przekroczą granic przyjaźni, i nie mógł złamać słowa. Mimo to nie potrafił powstrzymać się, żeby nie wyciągnąć ku niej ramienia.

- Wciąż możemy się cieszyć wspólnie spędzanym czasem, nieprawdaż?

Nieśmiało oparła dłoń na jego rękawie. Zwolnili. Uniosła oczy ku jego twarzy, niepewnie, trochę z obawą, ale on nieomylnie doczytał się w nich zachęty. Chciała, żeby wykorzystał chwilę.

- Hm... - doszedł do nich głos Robbinsa zza drzew. - Ścieżka staje się kamienista, milordzie. Może warto by wrócić na główny dukt.

Mary wciąż patrzyła mu w oczy, ale była w nich wesołość. Ona również była świadoma tego, do czego mogłoby dojść, gdyby nie obecność Robbinsa. Ale nie deprymowało jej to. Jego nieustraszona Mary! Spuściła ciemne rzęsy, ukrywając oczy, i odezwała się na swój rzeczowy sposób.

- Pański człowiek ma rację. Zaszliśmy wystarczająco daleko, jak sądzę.

Wracali pogrążeni w rozmowie. Mary odczuwała pewien niedosyt, ale tłumiała go skutecznie. Jeśli to było wszystko, na co mogli sobie pozwolić, powinna być zadowolona, tym bardziej że wyraz oczu Randalla potwierdzał, że on miał podobne odczucia. Na Rue Haute wyciągnęła do niego dłoń.

- Dziękuję, milordzie. Było mi milej, niż mogłam się spodziewać.

Uściskał jej palce.

- Jutro wieczorem jest recital w Wielkiej Sali Koncertowej. Jeśli znajdę wolny czas, zechce pani mi towarzyszyć?

- Z miłą chęcią. Ale zrozumieć, jeśli obowiązki uniemożliwią panu obecność.

Uśmiechnął się. Mary poczuła, że cienka pajęczyna wzajemnej sympatii staje się mocniejsza i zbliża ją do niego.

- Zatem jesteśmy umówieni, panno Endacott.

Mary włożyła na koncert nową suknię z brzoskwiнового jedwabiu z niewielkim trenem, obszytą ciemnozieloną lamówką. W komplecie z suknią był szal dla osłony przed wieczornym chłodem. Chodziła na koncerty już wcześniej, lecz dawniej jej obecność na widowni nie budziła niczyjej uwagi. Teraz, kiedy wkraczała do sali wsparta na ramieniu Randalla, czuła na sobie zdziwione spojrzenia wielu bywalców.

- Budzimy niemałe zainteresowanie - szepnęła do niego.

- Niech pani nie zwraca na to uwagi. Wkrótce ludzie przywykną do naszego widowiska.

Mary знаła niewiele osób spośród publiczności, postanowiła więc ignorować spojrzenia ciekawskich i skupić uwagę na recitalu, na który składały się włoskie pieśni miłosne w wykonaniu słynnej śpiewaczki operowej. Dała się porwać muzyce i była zachwycona, że Randall wydawał się również bardzo zadowolony.

- Nie przyszedł pan tutaj wyłącznie dla mojej przyjemności? - zaryzykowała pytanie po zakończeniu koncertu.

- Byłby to bardzo altruistyczny gest, panno Endacott, i pani wie, że raczej dla mnie niewykonalny.

- Wiem - powiedziała, tłumiąc śmiech. - Ale myślałam, że jest pan prostym żołnierzem.

- Żołnierzem, owszem, ale nie prostym, tylko wyedukowanym.

- Właśnie widzę.

Stali przed wejściem do sali w tłumie wychodzących.

- Potrwa całą wieczność, zanim mój powóz przebije się przez ten tłok - zauważył hrabia.

- Możemy pójść na piechotę - zaproponowała Mary. - Jest taki ciepły wieczór.

- Miałaby pani ochotę?

- Naturalnie. Mamy niedaleko i prawdopodobnie szybciej dojdziemy, niż dojedziemy.

- Chodźmy więc. - Wziął ją pod rękę i przeprowadził przez ciżbę. - Podobała się pani muzyka? - zapytał, gdy znaleźli się w spokojniejszej części ulicy.

- Bardzo! I dziękuję za zaproszenie.

- Pani zna włoski. Jestem pod wrażeniem.

- Mojemu ojcu zależało na tym, żebym poznała ten język na tyle dobrze, by móc go uczyć.

- Nauka włoskiego to zapewne część postępowej edukacji, jaką przewidział dla młodych dam?

- Nie. Znajomość języków uważał za czysto praktyczną umiejętność. Jeśli zaś chodzi o edukację, sądził, że dziewczęta powinny poznawać filozofię i nauki polityczne... generalnie te wszystkie dziedziny wiedzy, które pozwoliłyby im odnaleźć się w świecie.

- Lecz niekoniecznie odnaleźć się w małżeństwie - zauważył Randall, a po chwili wahania zapytał: - Jakie miejsce w świecie spodziewała się wypełnić pani siostra? Mam nadzieję, że rozmowa o siostrze nie jest zbyt bolesna - dodał szybko.

- Teraz już nie. Dobrze mi zrobiło, że panu o niej opowiedziałam. Tego tematu z nikim dawniej nie poruszałam. - Zamilkła w oczekiwaniu na znajome odczucie bólu, ale było ono dużo słabsze niż dawniej. - Mając siedemnaście lat, Jane nie za-

stanawiała się za wiele nad swoją przyszłością. Zawsze była romantyczką. Myślę, że po prostu musiała się zakochać.

- Niestety trafiła na łajdaka.

- Tak. Gdyby był uczciwym człowiekiem, papa zrezygnowałaby ze swoich zasad i udzielił zgody na małżeństwo.

- Nawet jeśli nie aprobował tej instytucji?

- Tak. W końcu sam się ożenił, żeby chronić rodzinę. Nigdy jednak nie zaprzestał walki o to, w co wierzył, czyli bardziej demokratyczne społeczeństwo.

- I o zniesienie tytułów arystokratycznych, takich jak mój.

- Ojciec uważał, że o zasługach ludzi decydują ich talenty, a nie urodzenie. Z całą pewnością nie robiłby na nim wrażenia pański tytuł. Jednak bardzo cenił artylerię, bo tam ranga idzie w parze z kompetencjami.

- Ulżyło mi, że pani ojciec dopatrzyłby się we mnie jakiejś dobrej cechy.

- Nie sądzę, by miało to dla pana jakiegokolwiek znaczenie.

Ni stąd, ni zowąd przyjacielski ton ich rozmowy ulotnił się. Mary ucieszyła się, gdy zamajaczył już przed nimi ciemny zarys budynku szkoły.

- Chciałbym wiedzieć, co pani naprawdę o mnie myśli - odezwał się, kiedy stanęli w bramie na dziedzińcu.

- Myślę - zaczęła ostrożnie - że jest pan zbyt poważny. Za długo pan służył w wojsku. Podejrzewam, że bardziej boi się pan żyć niż stanąć w obliczu śmierci.

Nie odezwał się. Mary przestraszyła się, że go uraziła.

- Randall, przepraszam...

- Niepotrzebnie... Może ma pani rację. Życie w wojsku toczy się od bitwy do bitwy... Nigdy nie wybiegałem myślami poza kolejną kampanię... Nigdy też nie zastanawiałem się nad innym sposobem na życie. Już za późno na jakąkolwiek zmianę, nie uważa pani?

- Nigdy nie jest za późno na zmianę - powiedziała tak cicho, że nie była pewna, czy dosłyszał.

- Dziękuję, droga przyjaciółko, za szczerość! - Uchwycił jej dłonie. - Musi mi pani pomóc przeżyć tę odrobinę wspólnego czasu, jaka nam pozostała.

- Pomogę, milordzie, jeśli zdołam.

Uścisnął jej palce, a kiedy otwarły się drzwi wejściowe, odwrócił się i odszedł, wtapiając się w ciemność. Mary wchodziła do domu z twarzą odwróconą od światła, żeby Jacques nie zauważył jej mokrych od łez policzków.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nastał czerwiec. Uporządkowane życie Mary należało do przeszłości, a swój rozkład dnia dostosowała do zajęć hrabiego. Poranne lekcje w klasach pozostawiła nauczycielkom, sprawy administracyjne szkoły załatwiała rano tak szybko, jak to tylko było możliwe. Potem czekała na wiadomość.

Hrabia był zajęty przez większość dnia, ale natychmiast po powrocie do kwatery wysyłał posłańca z propozycją wieczornego wyjścia do teatru, na koncert, wieczorek muzyczny w prywatnym domu lub po prostu na spacer po parku, jeśli dopisywała pogoda. Potem odprowadzał ją pod drzwi i odchodził, zadowolając się ucałowaniem dłoni na pożegnanie.

Był to słodko-gorzki czas radości zaprawionej smutkiem. Mary żyła spotkaniami z Randallem, chociaż nigdy nie bywali sami i zachowywali się z bezgraniczną poprawnością. Każde skierowane do niej słowo, każde pochwycone spojrzenie wzmacniały jej tęsknotę za czymś więcej, co nie miało szansy się zdarzyć, więc zadowolala się tym, co było. Pocieszała się, że Randall czuł to samo. Świadczyły o tym drobne gesty – cieplejsze spojrzenie, dłuższy dotyk dłoni wspartych na jej ramionach, gdy jej podawał okrycie.

Oprócz Randalla zjawiali się i inni goście. Najmniej spodziewanym była lady Sarah Latymor, która po pierwszej wizycie zaczynała odwiedzać Mary dość często.

– Wątpię, czy pani brat byłby zadowolony, że pani tu przychodzi – powiedziała jej kiedyś Mary.

– Dlaczego miałby być niezadowolony, przecież pani i on jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi?!

Mary początkowo nie wiedziała, co odpowiedzieć, w końcu znalazła argument.

– Pani jest damą, a ja muszę zarabiać na życie pracą własnych rąk.

– Bzdury! – wykrzyknęła lady Sarah. – Nikt już dzisiaj o to nie dba. Przecież pani jest dobrze urodzona?

– Tak, ale...

– Więc nie ma nic złego w tym, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

– Nie sądzę, by lord Randall się na to zgodził...

Sarah była innego zdania i wyszła, zapowiadając, że niebawem znowu wpadnie. Mary mogła jedynie mieć nadzieję, że Randall jej tu nie zastanie.

Wpadał także Bertrand Lebbecke. Proponował Mary a to wyjście do teatru, a to przejażdżkę powozem, a nawet kolację w gronie przyjaciół. Grzecznie odrzucała zaproszenia. Była zadowolona, że przyjmował odmowy z istic galijską pogodą ducha i humorem.

Raz jednak, wychodząc, zapytał:

– Jak pani podobał się wczorajszy koncert? Nie widziała mnie pani, była bowiem zapatrzona w swojego towarzysza.

– L-lord Randall zdobył bilety... – wyjąkała. – Muzyka Haydna cieszy się wielką

popularnością.

- Pani zaś była mu bardzo wdzięczna...

- Lord Randall jest moim przyjacielem, Bertrandzie, tak jak pan.

- Stara się pani być miła - powiedział z lekkim smutkiem - ale znam prawdę, nawet jeśli pani nie jest gotowa się do niej przyznać.

Słowa Bertranda długo dźwięczały Mary w uszach. Kiedy lord Randall przysłał jej wiadomość, że ma bilety do teatru, odpisała, żeby nie przychodził po nią do szkoły, lecz czekał przy wejściu.

Był tak wysoki, że nietrudno go było zauważyć w tłumie widzów tłoczących się pod teatrem. Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Co się stało, że zakazała mi pani pokazywać się w szkole? Coś panią zdenerwowało?

- Nie, skądże. Chciałam zaoszczędzić panu kłopotu.

- Przyjazd po panią, moja droga, nie sprawiłby mi najmniejszego problemu.

Wsparła dłoń na jego ramieniu i odnaleźli razem swoje miejsca.

Uwaga Bertranda skłoniła ją do zastanowienia się nad swoją sytuacją, choć nie robili niczego złego. Zainteresowanie, jakie okazywał jej Randall, nie wykraczało poza granice przyzwoitości. Nic nie można mu było zarzucić. A jeśli rzucone niekiedy gorące spojrzenie przyprawiało ją o przyspieszone bicie serca, jeśli niewinne muśnięcie dłoni powodowało przyjemny dreszczyk, to przecież oprócz niej nikt o tym nie wiedział. Zresztą niedługo wszystko miało się skończyć.

- Dostałam dzisiaj list z Antwerpii - oznajmiła radosnym tonem. - Tamtejszy dom jest już gotowy na przyjęcie uczennic. Wyjeżdżamy w najbliższy poniedziałek. Cały dzień spędziłam na pakowaniu się, mało brakowało, a musiałabym odrzucić pańskie zaproszenie.

- Byłbym niepokieszony, gdyby opuściła pani Brukselę bez pożegnania.

- Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła.

- Więc to jest nasze ostatnie wspólne wyjście.

- Mamy jeszcze jeden dzień - powiedziała, starając się nie okazywać, jak ją to cieszy. - Jutro jest niedziela. Rano idziemy z dziewczętami do kościoła, ale potem będę w domu. Może przyjdzie pan na herbatę albo przespacerujemy się po parku, jeśli będzie ciepło.

- Będę cały dzień w Roosbos... - Pokręcił głową. Mary postarała się ukryć rozczarowanie, ale on je wyczuł i chwycił jej dłoń. - Słyszałem pogłoski o zbliżającym się starciu. Muszę dopilnować, by mój oddział był w pełnej gotowości. W przeciwnym razie...

Uścisnęła go w ramię. Czuła przez jedwab rękawiczek i wełnę rękawa jego twarde mięśnie.

- Ma pan obowiązki, milordzie, i nie zamierzam pana od nich odrywać.

- Dziękuję.

Jej nagrodą był gorący błysk błękitnych oczu Randalla, który zrekompensował jej nieco narastający smutek z nieuchronnego rozstania. Przywołała na twarz najjaśniejszy uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Więc po teatrze pożegnamy się. Mam nadzieję, że przynajmniej sztuka będzie dobra.

Mary nie potrafiła skoncentrować się na toczącej się na scenie akcji, a kiedy w mroku panującym w audytorium Randall odnalazł jej dłoń, pomyślała, że zemdleje, jeśli nie rzuci mu się w ramiona i nie zdejmie z siebie maski przyjaciółki.

- Dobrze się pani bawiła? - zapytał po zakończeniu przedstawienia.

Czekali w foyer na powóz Randalla, który miał zajeżdżać po nich pod drzwiami. Foyer było rzęsiście oświetlone, więc Mary uśmiechała się, wiedząc, że kieruje się ku nim wiele ciekawskich spojrzeń.

- Bardzo dobrze.

- Kłamie pani. Ani razu się pani nie roześmiała.

- Przyznaję, że byłam nieobecna myślami.

- A zdradzi mi pani, co takiego panią zajmuje?

- Nie.

- Rozumiem. - Dotknął przelotnie jej palców spoczywających na jego rękawie.

I to jest najgorsze, pomyślała z przykrością. Gdyby tylko...

- Lord Randall!

Zatrzymał ich przeraźliwie piskliwy głos. Mary zobaczyła matronę w modnej sukni i turbanie ze strusimi piórami na głowie, którymi potrząsała gwałtownie.

- Lady Morrisey - odpowiedział Randall uprzejmie, chociaż bez entuzjazmu.

- Sir Timothy powiedział mi, że jest pan w Brukseli.

Dama przeniosła wzrok z Randalla na Mary. Hrabia uznał, że nie ma wyjścia, i dokonał prezentacji.

- Panna Endacott, miło mi poznać. Długo już pani bawi w Brukseli?

- Od około ośmiu lat. Mieszkam tutaj - dodała. - Prowadzę szkołę dla dziewcząt.

- Aha, to wyjaśnia, dlaczego nie znam pani nazwiska... nie mam córek. - Lady Morrisey roześmiała się perliście i z powrotem skupiła uwagę na Randallu. - Zaraz spotkam się z sir Timothyem u Appletonów. On nie przepada za teatrem, jak pan wie, woli partyjkę kart. Pan też się tam wybiera?

- Nie, proszę pani. Już wysłałem przeprosiny.

- Może pan jednak zmieni zdanie i przyjdzie? Z panną Endacott, oczywiście. Nikt nie miałby nic przeciwko temu, jestem o tym przekonana. Jest w tej chwili tylu oficerów w Brukseli, że na przyjęciach nieustannie brakuje pań! Proszę, niech pan powie, że pan wpadnie, milordzie! Sir Timothy'ego bardzo ucieszy pana widok, a przyjęcia u Appletonów są zawsze takie wesołe.

Randall spojrzał na Mary.

- Jest wciąż wcześnie, chciałyby pani pójść?

Mary zgodziła się. Lepsze to niż powrót na Rue Haute i rozstanie, pomyślała. Tam, w ciemnościach swojej sypialni, pozwoliłaby sobie na prawdziwe uczucia i wypłakałaby w poduszkę tęsknotę za mężczyzną, który nigdy nie będzie dla niej kimś więcej niż przyjacielem.

Appletonowie wynajmowali dom w pobliżu parku. W salonach było już tłoczno, a dominowały wojskowe mundury. Kiedy weszli, hrabiego witano ze wszystkich stron. To był jego świat, Mary dobrze o tym wiedziała. Pani Appleton jako wzorowa gospodyni zajęła się Mary, gdy Randall przyłączył się do grupy kolegów.

Mary nie była nieśmiałą debiutantką, potrafiła sobie radzić na gruncie towarzy-

skim. Nie zdradziła się, że wolałaby dotrzymać towarzystwa Randallowi niż konwersować o najnowszej modzie z przesadnie wystrojoną matroną i jej chichoczącymi córkami, z którymi zapoznała ją pani domu.

Było nieuniknione, że w kółku oficerów rozmowa zejdzie na zbliżającą się bitwę. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że jest ona nieuchronna, sprzeczano się tylko, jak szybko do niej dojdzie. Randall wdał się w dyskusję, ale nie spuszczał oka z Mary, która w towarzystwie pani domu robiła rundkę po salonie. Był z niej dumny. Zachowywała się pewnie, śmiała się i gawędziła z widoczną swobodą nie tylko z damą, która wyglądała jak dragon w spódnicy, ale również z nieśmiałą dziewczyną, zapewne po raz pierwszy w życiu uczestniczącą w tego rodzaju wydarzeniu towarzyskim. Prawdę powiedziawszy, była tu bardziej na miejscu niż on.

Dobry materiał na żonę, pomyślał i natychmiast się zganił. Żołnierzom jest lepiej bez żon, a libertyni w ogóle nie powinni się żenić.

Kiedy jego grupka rozproszyła się, ruszył w stronę Mary, zgarniając od przechodzącego kelnera dwa kieliszki wina. Jeden podał pannie Endacott.

- Proszę. Mam nadzieję, że nie nudziła się pani beze mnie. Nie zamierzałem pani porzucić.

- Ależ nie, milordzie. Wszyscy są tu bardzo mili.

- Naprawdę? Nigdy nie byliśmy razem w takim towarzystwie. Już stało się to tematem spekulacji.

- Ludzie uwielbiają plotkować. Jeśli już spekulują na nasz temat, to dobre wychowanie nakazuje im robić to w taki sposób, żeby nie dotarło to do moich uszu.

Randall skrzywił się z powątpiewaniem. Jego koledzy nie okazali się tacy dyskretni. Kiedy ją przedstawiał, rzucali mu zagadkowe spojrzenia, a kiedy odeszła, otwarcie kwestionowali prawdziwość jego zapewnień, że panna Endacott jest tylko dobrą znajomą. Ignorował wymowne spojrzenia i wyniosłą miną gasił niestosowne dowcipy, ale złościło go, że niemal każdy od razu podejrzewał Mary o wszystko, co najgorsze, tylko dlatego, że jest właścicielką szkoły.

- Nie powinienem przyprowadzać tu pani - mruknął.

Gdyby jednak tego nie zrobił, musiałby ją odwiedzić na Rue Haute i pożegnać pod drzwiami. Tymczasem wolałby zanieść ją do łóżka i kochać się z nią do rana. Coraz trudniej było mu trwać w roli przyjaciela.

- Ja zaś jestem zadowolona, że przyszliśmy. - Uśmiechnęła się tak, że miał chęć ją pocałować. - Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie? Nie chciałabym pomyśleć, że pan się mnie wstydzi.

- Wstydzić się pani? Do diabła, Mary, jest pani lepsza od większości obecnych tu kobiet. Żałuję, że nie mogę...

Uciszyła go uniesioną w górę dłonią. Zauważył mgiełkę, która przez moment przesłoniła jej wzrok, jakby doznała nagłego ukłucia bólu. Kiedy jednak odezwała się, jej głos brzmiał spokojnie i pogodnie.

- Umówiliśmy się, prawda? Możemy sobie nawzajem zaoferować tylko przyjaźń. Proszę, Randall, niech pan nie zepsuje naszego ostatniego wieczoru i odejdzie jak zwykle. Niech pan korzysta z towarzystwa swoich kolegów oficerów, a mnie pozwoli się bawić.

Odprawiła go. Oby nigdy się nie dowiedział, ile ją kosztowała ta swoboda tonu

i zachowania. Tak bardzo chciała przytulić się do jego ramienia i spędzić resztę wieczoru tylko z nim. Patrzyła, jak odchodził, wyprostowany, z elegancją w ruchach. Wszystko się jej w nim podobało.

Nagle zrobiło się jej zimno, jakby skrzepła w niej krew. Czyżby się w nim zakochała? Czy to uczucie, którym darzy tego oschłego, wyniosłego żołnierza, to miłość? Zdusiła szybko te niepokojące myśli i z uśmiechem na ustach nawiązała rozmowę z damą, która właśnie do niej podeszła.

Przyjęcie trwało w najlepsze. Mary i Randall obracali się w odmiennych kółkach towarzyskich. Rozmawiali, śmiali się, wymieniali opinie. Od czasu do czasu spotykali się i ponownie rozchodzili, jak gdyby rzeczywiście byli tylko przyjaciółmi. Mary wyjaśniała damom, które chciały słuchać, że prowadzi własną szkołę. Od innych, tych, które uważały, że dom Appletonów to dla niej za wysokie progi, trzymała się z daleka. Jej biznesowa natura podpowiadała, że nawiązane tu kontakty mogą okazać się użyteczne dla jej szkoły w przyszłości... Zimnej, ponurej przyszłości bez Randalla.

Było już dobrze po północy, kiedy poczuła się zmęczona. Zastanawiała się, jak długo jeszcze potrwa to przyjęcie i czy nie powinna odszukać Randalla i powiedzieć mu, że zamierza wracać do domu.

- Panna Endacott, prawda?

Obok Mary stanął oficer kawalerii. Znała go. Spotkała go podczas przeglądu wojsk, ale tamtego dnia, chociaż słońce porządnie przypiekało, jego policzki nie były takie czerwone jak obecnie. Skłonił się głęboko, oferując jej widok na swoje wypomadowane czarne włosy na głowie.

- Pułkownik Bennington Ffog, do usług. Jestem zachwycony, że Randall wreszcie wprowadził panią w towarzystwo.

- Miło mi - odpowiedziała zdawkowo. Nie zamierzała wdawać się z nim w rozmowę, lecz pułkownik najwidoczniej nie potrzebował większej zachęty. Chwycił ją pod łokieć i zaczął przepychać się przez tłum.

- Zawsze tu tak tłoczno. A pani jest nauczycielką, dobrze zapamiętałem?

- Tak. Mam własną szkołę dla dziewcząt.

- Nie dla chłopców? Na Jowisza, chciałbym być uczniem w pani klasie. Rozumiem, dlaczego Randall jest w pani taki zakochany.

- Nie wiem, o czym pan mówi, pułkowniku.

- O dyscyplinie! Nie mam wątpliwości, że trzyma pani krótko naszego aroganckiego hrabiego.

- Panie pułkowniku! - wykrzyknęła zgorszona.

Udało mu się wmanewrować ją we wnękę, w której nie byli widoczni ze środka zatłoczonego salonu. Mary nie miała dokąd wycofać się, za jej plecami była ściana.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo chciałbym wypróbować na sobie pani dyscypliny, panno Endacott. Poczucie bat na pośladkach! - Przyparł ją do ściany i chwycił za rękę.

- Niech pan mnie puści!

- W swoim czasie... Tylko jeden całus.

Poczuła jego wargi na policzku, tylko dzięki temu, że zdążyła odwrócić głowę. Inaczej pocałowałby ją w usta. Zaczęła się szamotać, ale był silniejszy. Śmierdział

alkoholem, pomadą do włosów i jakimiś słodkimi perfumami, od których ją mdliło. Zsunął jej z ramion suknię i dorwał się oślizgłymi ustami do jej szyi. Mary wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Dlaczego nikt nie przyjdzie jej z pomocą? – przeszło jej przez głowę. W pobliżu były dziesiątki osób, słyszała, jak się śmieją i rozmawiają. Ktoś mógłby wreszcie zabłądzić do tej odnogi korytarza. Nikogo nie widziała, pułkownik przesłaniał jej bowiem widok swoim ciałem. W pewnej chwili poczuła jego kolano pomiędzy swoimi udami. Nabrała w płuca jak najwięcej powietrza, żeby móc głośno krzyknąć.

– Co, do diabła, wyprawiasz? – usłyszała głos Randalla. Była uratowana. Randall odciągnął od niej napastnika za kołnierz. – Przepróż panią, natychmiast – dodał z furją.

Mary czuła się tak słabo, że bała się odsunąć od ściany, żeby się nie przewrócić. Drżącymi dłońmi nasunęła suknię na ramiona.

– Randall, bądź rozsądny. Skoro przyprowadziłeś swoją...

– Moją...? – podjął hrabia niebezpiecznie spokojnym głosem. Pułkownik zrozumiał niewypowiedzianą groźbę.

– Więc się pomyliłem... – zaczął się wycofywać. – Przepraszam...

– Przepraszaj panią, nie mnie. I miej się na baczności, jeśli ci nie wybaczy.

Pułkownik, czerwony jak burak, stuknął przed Mary obcasami i ukłonił się.

– *Madame*, szczerze przepraszam. Zdaje mi się, że błędnie oceniłem sytuację.

Mary spojrzała na Randalla. Jego błękitne oczy błyszczały morderczym blaskiem.

– Odnoszę wrażenie, pułkowniku, że dzisiaj wieczorem wypił pan trochę za dużo wina – odezwała się opanowanym głosem, chociaż trzęsała się ze zdenerwowania. – Wyjątkowo wybaczę panu.

Ulga, z jaką Bennington Ffog przyjął jej słowa, byłaby nawet dość komiczna, gdyby Mary było chociaż trochę do śmiechu.

– Bardzo pani łaskawa. – Ukłonił się ponownie.

– Właśnie – warknął Randall – i bardziej skłonna do wybaczenia, niż byłbym ja. A teraz odejdz, zanim udzielę ci nauczki za twoją bezczelność.

Zostali sami.

– Zrobił pani krzywdę? – zapytał w końcu Randall.

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale wytrącił mnie z równowagi. Nie spodziewałam się...

– Spotkała pani wprost niewyobrażalna impertynencja. Jest pani bardzo blada...

– Jego ton złagodniał. – Przynieść pani kieliszek wina?

– Nie, dziękuję. Chciałabym pójść do domu.

– Oczywiście. Może pani iść?

– Jeśli posłuży mi pan ramieniem. Proszę mnie pod żadnym pozorem nie wynosić na plecach.

Rozbroiła go tym żartobliwym nawiązaniem do sytuacji na jachcie. Mozolnie przedzierali się przez tłum gości, lecz Mary wiedziała, że pośpiech byłby niewskazywany. Wzmocniłyby tylko podejrzenia, których do tej pory udawało im się uniknąć.

– To nie do pomyślenia, że nikt nie przyszedł mi z pomocą – stwierdziła Mary, kiedy znaleźli się w powozie hrabiego. – Jak pan zdołał mnie znaleźć?

– Obserwowałam panią przez cały wieczór. Kiedy zobaczyłem, jak Bennington

Ffog wyprowadza panią z salonu, podążyłem za wami. Musiałem jednak poruszać się na tyle wolno, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Przystawałem co chwilę, by porozmawiać. Żałuję, że nie dotarłem do pani wcześniej.

Mary otuliła się szczerzej peleryną.

- Jestem panu wdzięczna.

Zapadło milczenie.

- Przykro mi, że spotkała panią taka zniewaga - odezwał się.

- To nie pana wina.

- Moja. - Odwrócił się ku niej, objął ją i przytulił. Z wdzięczności oparła mu głowę na piersi. Tak mocno biło jego serce. - Powinienem lepiej panią chronić.

Zamknęła oczy, czuła się bezpiecznie i wygodnie.

- Teraz to bez znaczenia.

- Niestety. Bardzo żałuję... - urwał, gdyż powóz się zatrzymał. - Jest pani w domu.

Wyprostowała się niechętnie. Pomógł jej wysiąść.

- Chciałbym coś pani wyjaśnić. Zaprosi mnie pani do środka?

Zawahała się. Czuła się bardzo zmęczona, ale odłożenie rozstania okazało się zbyt kuszące.

- Dobrze, niech pan wejdzie.

- Wrócę piechotą - rzucił stangretowi.

Drzwi otworzyła zaspana służąca.

- Therèse, zapal świece w bawialni - poprosiła ją Mary.

Randall poszedł za nią do ciemnego pokoju, gdzie oboje czekali w milczeniu, aż dziewczyna zapali wszystkie możliwe świece. Mary zdjęła pelerynę i powiesiła ją na oparciu fotela. Hrabia patrzył, jak zdejmuje i odkłada rękawiczki. Okienne były już zamknięte. Dziewczyna sprawdziła, czy dokładnie, i stanęła niepewnie przy oknie, nie chcąc opuszczać pani.

- Kładź się do łóżka, Therèse.

- A drzwi?

- Dam sobie radę, wypuszczę pana pułkownika. Idź do łóżka.

- Chodziło jej o pani reputację - zauważył Randall, gdy za służącą zamknęły się drzwi.

- Po dzisiejszym wieczorze niewiele już zostało z mojej reputacji.

- Bennington Ffog nie puści pary z ust, dopilnuję tego.

- Dziękuję, ale to naprawdę bez znaczenia. W poniedziałek opuszczam Brukselę.

- Spojrzała na zegar; było po północy. - To już jutro.

Randall milczał. Obiecał, że coś wyjaśni, ale nie przypuszczał, że będzie mu tak trudno znaleźć właściwe słowa. Przeszedł się po pokoju. Zatrzymał się przy stole, na którym stał wazon z kwiatami.

- Od doktora? - zapytał.

- Tak, od doktora Lebbecke.

- Powinna pani za niego wyjść.

Wzięła głośno oddech.

- Jak pan może tak mówić?

- Bo ja nie mogę się z panią ożenić.

- Ależ ja pana o to nie proszę, Randall.

- Chciałbym, żeby pani wiedziała dlaczego. Pani zna historię mojego ojca. Był libertynem i kobieciarzem. Gdziekolwiek się pojawił, zostawiał nieślubne dziecko. Życie mojej matki było koszmarem. - Zamilkł. Przypomniawszy sobie, gdy będąc nastolatkiem, zastał matkę we łzach. Stało się to tylko raz. Bardzo starannie ukrywała przed dziećmi zmartwienia. - Dawno temu postanowiłem, że nigdy się nie ożenię. Nie narażę żadnej kobiety na taki los, jaki on zgotował naszej matce.

- Co każe panu sądzić, że poszedłby pan w ślady ojca?

- Jestem o tym przekonany. Poza tym nie chciałbym się żenić bez miłości. Dlatego staram się nie wzbudzać w stosunku do swojej osoby oczekiwań, którym nie mógłbym sprostać.

Przemowa Randalla obudziła w Mary głęboki sprzeciw.

- Ale to wcale nie znaczy, że jest pan libertynem.

Czy uda się jej wyciągnąć z niego ów epizod z wczesnej młodości, z którego wynika, że on jest taki sam jak jego ojciec? Zbił jej argument:

- Nie mam stałej natury. Co prawda, odkąd panią poznałem, nie spojrzałem na inną kobietę, ale znamy się dopiero od tygodni. Gdybym miał panią poślubić, kto zaryczy, że po paru miesiącach, powiedzmy, że może nawet po roku, nie znudzę się panią?

- Takie ryzyko jest w małżeństwie zawsze.

- Jestem nieodrodnym synem swojego ojca, Mary. Jego zdrady łamały serce matce. Patrzyłem na to. Nie zaryzykuję, że tak samo mógłbym skrzywdzić panią.

W powietrzu zawisło ciężkie milczenie. Mary tak mocno zaciskała dłonie, że aż ją zabolęły.

- Mam zatem szczęście, że nie oczekuję od pana oświadczyń. Zna pan moje poglądy na małżeństwo. Ponadto nie łączy nas owa wspólnota intelektualnych zainteresowań, która uczyniłaby nasz związek możliwym do zaakceptowania.

Czy to prawda? Mary pomyślała o wspólnie spędzonych chwilach. Nie brakowało im tematów do rozmowy.

- Musimy się więc pożegnać - ciągnęła nienaturalnie spokojnym głosem. - Nie będzie dla nas przyszłości po wojnie. Ja wyjeżdżam do Antwerpii, a kiedy wrócę...

- Ja będę daleko stąd.

- Od początku wiedzieliśmy, że to nie ma szansy przetrwania, milordzie - odwróciła się, żeby nie widział jej słabości. Była bliska omdlenia. Z pomocą przyszła jej duma. - Chcę panu podziękować za... za przyjemność, jaką mi sprawiło pańskie towarzystwo. I za pańską wyrozumiałość. Zapewne powstaną jakieś plotki na nasz temat, ale kiedy wrócę do Brukseli, eleganckie towarzystwo przeniesie się gdzie indziej i będę mogła odbudować swój biznes tak, jakbyśmy się nigdy nie poznali.

- Mary!

- Nie!

Czuła się tak, jakby była z kruchej szklanej kuli. Jedno niewłaściwe słowo i jej wstrzeмиęźliwość rozpadnie się na kawałeczki.

- Jestem zaszczyczona pańskim zaufaniem, milordzie, i nie utrudnię panu i tak już trudnej sytuacji. Rozstańmy się jako przyjaciele, bez wzajemnej urazy.

Patrzył na nią pałającym wzrokiem. Wiedziała, że gdyby ją wziął w ramiona, nie

rozstались się. Z uniesioną głową podała mu dłoń.

- Do widzenia, lordzie Randall.

Słysząc było jedynie tykanie zegara. Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim sięgnął po jej wyciągniętą dłoń. Musnął ustami jej wierzch.

- Żegnaj, Mary. Z Bogiem, moja...

Nie dokończył. Odwrócił się i wyszedł. Nasłuchiwała jego kroków w holu, aż trzasnęły frontowe drzwi i zapadła zupełna cisza.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Randall wyjechał do Roosbos wczesnym rankiem. Była niedziela. Kiedy opuszczał miasto, biły dzwony kościelne. Wiedział, że Mary pójdzie ze swoimi protestanckimi uczennicami na nabożeństwo do dworskiej kaplicy. Musiał stoczyć ze sobą walkę, by nie zawrócić konia i nie pojechać tam, tak bardzo chciał ją jeszcze raz zobaczyć.

Ostatnie tygodnie należały do najszcześniejszych i jednocześnie najbardziej frustrujących w jego życiu. Zawsze bardzo pilnie strzegł swojej prywatności i nigdy nie afiszował się publicznie zażyłością z żadną kobietą.

Miał świadomość, że pokazując się otwarcie z Mary, wzbudzi plotki. Jednak chęć przebywania w jej towarzystwie była silniejsza niż obawa przed dostaniem się na języki plotkarzy. Mary była zupełnie inna niż wszystkie kobiety, z którymi do tej pory się przyjaźnił. Nie oczekiwała od niego niczego oprócz towarzystwa. Nauczył się szybko rozpoznawać jej emocje pod na pozór chłodną powierzchownością. Wkrótce odkrył, jak wiele mają ze sobą wspólnego wbrew temu, co wynieśli z rodzinnych domów. Dzięki tym różnicom mogli ze sobą dyskutować, a nawet sprzeczać się, by w końcu znaleźć konsensus, co zbliżało ich do siebie jeszcze bardziej.

Przyjaźń z Mary Endacott była gorzką rozkoszą. Już po tygodniu znajomości był pod jej urokiem. Podobała mu się jej mleczna cera i płowe włosy. Kilkakrotnie trzymał ją w ramionach, znosił z jachtu do szalupy i z szalupy na brzeg, był więc pewien, że pod sukniami kryje zgrabną figurę. Była zawsze opanowana, ale kiedy ją pierwszy raz całował w ogrodzie w Somervil, poczuł, że tli się w niej żar namiętności, która czeka przebudzenia. Od tamtej pory pocałował ją jeszcze tylko raz, co nie znaczy, że nie marzył o tym. W swoich marzeniach wyciągał szpilki z jej włosów i patrzył, jak opadają falującą kaskadą na ramiona. Nie miała obfitych kształtów, nie była też chuda. Na jego rozeznanie jej pierś mieściłaby się mu w dłoni. Gdy o tym pomyślał, poczuł przyływ pożądania i poruszył się niespokojnie w siodle.

- Dzięki Bogu wkrótce bitwa - mruknął pod nosem. - To mnie w całości pochłonie. A po bitwie Mary Endacott pozostanie tylko bladym wspomnieniem...

Odrzucił wewnętrzny głos, który ostrzegał go, że zapomnieć o Mary wcale nie będzie tak łatwo, jak się tego spodziewa.

Spędził cały dzień w obozie w Roosbos. Jeśli jego oficerowie zauważyli, że jest bardziej szorstki i wymagający, woleli nie pytać o przyczynę. Do Brukseli wracał już o zmroku. Zjadł samotnie kolację, padł do łóżka ze zmęczenia i zasnął kamiennym snem. Rano jednak znowu myślał o Mary. Powinna być w drodze do Antwerpii. Pożegnali się, ale gdy pisał listy, wydawał rozkazy i planował swoje obowiązki, jej obecność prześladowała go nieustannie.

Wieczór spędził na kolacji w gronie oficerów w Hotelu Angielskim. Po posiłku zostawił kolegów, którzy zamierzali pić do rana, i ruszył w drogę powrotną do swojej kwatery przy Rue Ducale. Jednakże nogi zaniósły go w inną stronę. I cóż w tym złego, mówił do siebie, idąc ciemnymi ulicami w stronę Rue Haute. Mary i jej szkoły

już nie ma, on sprawdzi tylko, czy z budynkiem jest wszystko w porządku. Kiedy jednak zadał sobie pytanie, dlaczego miałyby coś być nie w porządku, nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi. Powinien natychmiast zawrócić. Rano będzie miał odprawę u Wellingtona, musi się wyspać... Skoro jednak zaszedł już tak daleko, to rzuci tylko okiem i wróci.

Ciemna bryła budynku znalazła się wkrótce w zasięgu wzroku, odcinając się od nocnego nieba. Stał i pomyślał, że powinien o niej zapomnieć.

Miał już odejść, kiedy zauważył światło sączące się przez szparę w okiennicy. Zorientował się, że dochodziło z bawialni Mary. Rozum podpowiadał, że musiała zostawić w domu dozorcę, ale równie dobrze mógł to być włamywacz. Randall nie mógł odejść, nie sprawdzwszy tego. Zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom i załomotał w nie.

Nagle usłyszał zgrzyt otwieranej zasuwki i drzwi uchyliły się.

- Mary! Co, u licha! Odłożyła pani wyjazd?

Odsunęła się na bok i zrobiła mu przejście.

- Nie. Wszyscy wyjechali, jak zaplanowałam.

- A pani? - Radość, że ją widzi, ustąpiła zaniepokojeniu. - Jest pani sama?

- Nie, oczywiście, że nie. Został Jacques. Będzie się opiekował budynkiem, ale on poszedł już spać. Jest prawie głuchy, nie mógł słyszeć pańskiego kołatania.

- Dlaczego pani otworzyła? Przecież to mógł być każdy, nawet złoczyńca! - zapytał zdenerwowany.

- Wyrzałam przez okno. Pan ma charakterystyczną sylwetkę, nie mogłam się pomylić.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Mary, jest pani niepoprawna! - przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Milordzie, ostrożnie, poplamie panu woskiem mundur!

- Do diabła z nim - mruknął, ale ją puścił, zatrzymał tylko jej dłoń. - Moglibyśmy porozmawiać?

Wprowadziła Randalla do bawialni, tej samej, w której się poprzedniego wieczoru zegnali. Jej serce biło tak mocno, że bała się, że on to usłyszy. Postawiła świeczkę na stole. Odwróciła się ku niemu, wtedy on porwał ją znowu w ramiona. Pocałowali się pocałunkiem długim i gorącym. Rozproszył rozterki męczące Mary w ostatnich tygodniach.

- Nie mogłam wyjechać - szepnęła, kiedy w końcu uniósł głowę. Oparła policzek na jego piersi, wdychając znajomy zapach, zmieszany teraz z zapachem brandy i cygar. - Nie mogłam opuścić Brukseli, wiedząc, że pan wciąż tu jest.

- Mary...

Uciszyła go, kładąc mu palce na ustach.

- Pamięta pan, gdy powiedział, że wojna zmieni wszystko? Nie mogłam znieść myśli, że tak się stanie, a ja nigdy już pana nie zobaczę... nie poczuję, jak obejmują mnie pana ramiona. - Wzięła jego twarz w obie dłonie i dodała pospiesznie, zanim opuści ją odwaga: - Chcę zostać pańską kochanką, niech pan zanieś mnie do łóżka.

Spojrzał na nią oczami ciemnymi z emocji jak nocne niebo. Zniżył głowę i pocałował ją w usta. Rozchyliła wargi i pozwoliła połączyć się ich językom. Porwał ją

z podłogi w ramiona.

- Będzie tak, jak sobie życzysz, Mary. Nie mogę dłużej ci się opierać. Zaniosę cię do łóżka w tej chwili.

- Na schodach nie ma światła...

- Będziesz musiała nieść lichtarz. Tylko uważaj, nie oblej nas woskiem.

Wskazywała mu drogę do sypialni, a kiedy tam dotarli i postawił ją na podłodze, nagle zawstydzila się. Delikatnie wyjął lichtarz z jej dłoni i postawił go na komodzie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz, Mary? - spytał, położywszy ręce na jej ramionach. - Odwrotu nie będzie.

Wiedziała o tym. Zaryzykowała wszystko dla krótkiej chwili szczęścia i być może będzie tego do końca życia żałowała. Dzisiaj przynajmniej nie miała wątpliwości.

Uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, Randall.

Tym razem pocałował ją bardzo delikatnie i zaczął rozpinać staniczek sukni. Nie interesowało jej, w jaki sposób nabył wprawy w rozbieraniu kobiet, rozkoszowała się każdą chwilą, jaka miała nastąpić i stać się ich udziałem.

Suknia opadła bezszelestnie na podłogę. Pogłaskał ją po obnażonych ramionach i odwrócił tyłem do siebie, żeby rozwiązać tasiemki gorsetu. Robiąc to, muskał pocałunkami, lekkimi jak dotyk piórka, jej kark i ramiona. Uwalniane od krępującego gorsetu ciało Mary budziło się do życia. W końcu stała przed nim ubrana jedynie w cienką batystową koszulę i pończochy. Nigdy nie czuła się bardziej żywa, a kiedy odwrócił ją z powrotem twarzą do siebie i zobaczyła uśmiech na jego twarzy, jej obawy, jeśli je jeszcze miała, znikły.

Zdjął z niej koszulę i przytulił. Szorstkie sukno, z którego uszyty był jego mundur, drażniło jej skórę i nagle zapragnęła go rozebrać. Chciała poczuć dotyk jego nagiej skóry, zaczęła więc rozpinać guziki munduru, on tymczasem zaniósł ją do łóżka.

Prześcieradła były zimne, ale może tak się jej tylko zdało, bo jej skóra pałała. Stał nad nią i zaczął się pospiesznie rozbierać. W słabym świetle świecy ujrzała okrytą ciemnymi włosami pierś. Zaschło jej w gardle i wyciągnęła dłonie, chcąc jej dotknąć. Położył się obok niej i objął ją.

Kolejny pocałunek był długi i głęboki. Językiem penetrował wnętrze ust, dłonią gładził linię biodra. Mary spodziewała się, że przesunie dłoń na pośladek i przyciągnie bliżej siebie, ale jego dłoń powędrowała w dół brzucha i ześlizgnęła się w miejsce, w którym łączyły się jej uda. Sapnęła, kiedy wsunął palce do jej wnętrza, powoli i delikatnie. Zaczęła się rozluźniać pod wpływem pieśczości, jednocześnie narastało w niej niecierpliwe oczekiwanie.

- To twój pierwszy raz, Mary... - powiedział łagodnym głosem, odgarniając kosmyk włosów z jej twarzy. - Nie chciałbym cię przestraszyć.

Pogłaskała go po policzku.

- Nie boję się, Randall. Naprawdę tego chcę.

Odpowiedział pocałunkiem. Czuła jego podniecenie. Instynkt mówił jej, jak ma się zachować. Postarała się, by jej ciało dało mu znać, że go pragnie.

Uniosła biodra, otwierając się przed nim, gorąca, wilgotna... gotowa. Wsunął się w nią delikatnie, ale kiedy cofnęła się, zamarł w bezruchu.

- Nie zatrzymuj się, Randall, nie zatrzymuj się teraz! - szepnęła gorączkowo.

Zaczął poruszać się, za każdym razem wchodząc w nią trochę głębiej. Ból ustąpił i naraz zrobiło się jej bardzo przyjemnie. Teraz upajała się wrażeniami, jakich dostarczały jego rozmyślnie powolne, podniecające ruchy.

Odnalazł ustami jej usta, nieoczekiwanie przyspieszył i jednym ruchem wbił się w nią aż do końca. W tym momencie utraciła świadomość tego, co się z nią dzieje. Z okrzykiem odchyliła w tył głowę, a jej ciało kołysało się i pulsowało własną, nieznaną jej dotąd mocą. Naraz wycofał się i poczuła gorącą wilgoć na udach.

- Randall?

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Nie mogłem ci się oprzeć, ale nie chciałbym pozostawić ci pamiątki w postaci dziecka.

- Och... - Zamrugła powiekami, pod którymi zgromadziły się łzy. Jego czułość i troska o nią były wzruszające. Mimo wszystko poczuła delikatne ukłucie smutku, że taka ostrożność była konieczna.

Leżeli bez ruchu spleceni ramionami. Pierwszy poruszył się Randall.

- Zadowolona?

- Bardzo - Powiedziała prawdę. Nigdy nie czuła się spokojniejsza. - To z tego powodu moje zameżne przyjaciółki mają wypisane szczęście na twarzach?

Zaśmiała się cicho.

- Możliwe. Ale to jeszcze nie wszystko, co mam ci do zaoferowania.

- Nie wszystko? Niczego więcej do szczęścia nie potrzebuję.

- Zobaczysz, do pełni szczęścia jest ci jeszcze daleko.

Blady, szary świt wkradał się do pokoju przez uchylone lekko zasłony okienne. Mary otworzyła oczy i zaraz je zamknęła. Śniła o tej chwili przebudzenia w ramionach Randalla. Ale to nie był sen. Wziął ją jeszcze raz nad ranem i czuła się lekko obolała, lecz rozpierała ją radość istnienia. Nie chciała budzić go, ale gdy tylko o tym pomyślała, przygarnął ją do siebie i pocałował w policzek.

- Dzień dobry, panno Endacott.

- Dzień dobry, lordzie Randall. - Zaśmiała się i ciałem do niego przywarła.

- Jak się czujesz? Nie żałujesz?

- Nie. Czuję się wspaniale.

Uśmiechnął się beztrąsko. Nigdy go takim nie widziała. Schylił się i pocałował ją w czubek nosa.

- Cieszę się - odparł i się podniósł.

- Idziesz?

- Muszę. Bruksela zaraz się obudzi. Nie chcę być widziany w chwili, gdy opuszczam dom pewnej damy.

Mary naciągnęła przykrycie i nagle poczuła poranny chłód na skórze.

- Jestem wciąż damą po tym, co zrobiliśmy?

Wrócił do łóżka i spojrzał na nią roziskrzonym wzrokiem.

- Zawsze będziesz damą, Mary Endacott.

Było miło słyszeć te słowa, chociaż nie oddawały prawdy, ale ona nie chciała się w takiej chwili sprzeczać.

- Jeśli zachowamy ostrożność, twoja reputacja w żaden sposób nie ucierpi. Mimo

to chcę cię pokazać całemu światu. Richmondowie wydają w czwartek bal. Postaram się, żebyś dostała zaproszenie.

- Nie rób tego. Nauczycielka na balu księżnej Richmond, na dodatek zaproszona na prośbę lorda Randalla? Wezmą nas natychmiast na języki.

Już ubrany ukląkł przed łóżkiem, by ją pocałować.

- W takim razie sam również nie pójdę.

Pocałunek był długi, w końcu jednak zdołał się od niej oderwać.

- Muszę iść. Im dłużej zostanę, tym większa szansa, że ktoś mnie zauważy.

- A dziś wieczorem? Przyjdź, zjemy kolację. Wybieram się na rynek po zakupy.

- A kto ugotuje?

- Ja. Całkiem nieźle to potrafię.

- Nie wątpię. Ale co na to twoja służba? Nie boisz się plotek?

- Jacques jest z naszą rodziną od lat, Therèse też jest mi bardzo oddana. Mogę im zaufać.

- Dobrze więc. Do wieczora.

Po wyjściu Randalla Mary wstała z łóżka i podbiegła do okna, z którego mogła widzieć, jak dziarskim krokiem idzie w dół wyludnionej ulicy. Przypomniała sobie jego ostrzeżenie, ale niczego nie żałowała.

Wieczorem gotowała kolację. Służby nie było. Randall siedział w kuchni i patrzył. Kiedy jedzenie było gotowe, nie zjedli go w jadalni, tylko przy wielkim kuchennym stole, racząc się nawzajem co smaczniejszymi kęskami wyłowionymi z pysznego ragouit. Potem zaniósł ją do łóżka.

Kochali się w ciemnościach i Mary chętnie poddawała się jego pieścizotom, tak że ledwie zachowywał nad sobą kontrolę. A kiedy spleceni w objęciach ułożyli się do snu, Randall odkrył, że chciałby, aby tak było zawsze. Chciałby ją mieć u swojego boku przez resztę życia, jako towarzyszkę i kochankę. Matkę jego dzieci. Żonę.

Odkrycie to zbulwersowało go. Mary wywróciła jego świat do góry nogami. Nie był już panem swojego życia i nic nie mógł na to poradzić.

Mary poruszyła się na wpół śpiąca, gdy ubierał się o świcie.

- Musisz iść?

- Tak, jeśli zostanę, zrujnuję twoją reputację.

- Prawdopodobnie już jest zrujnowana.

- Nie mów tak.

- Dlaczego nie? - Usiadła, okrywając nagość prześcieradłem. - Wiedziałam, jakie ponoszę ryzyko, kiedy podejmowałam decyzję, aby pozostać w Brukseli. Nie myśl, że cię o cokolwiek winię.

- Sam siebie winię. - Przysiadł na skraju łóżka i chwycił ją za ramiona. - Mary, rozmawialiśmy o tym i chciałaś tego tak samo gorąco jak ja. Pamiętam jednak, co mi opowiadałaś o swojej siostrze...

Położyła mu palce na ustach i uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Nie jestem nią, a ty mnie nie oszukałeś. Wiem, że musimy się rozstać, i jestem na to przygotowana.

- Daliśmy się ponieść szaleństwu, Mary.

- Nie całkiem... - starała się, by zabrzmiało to lekko. - Zachowałeś się wobec

mnie bardzo odpowiedzialnie.

- Nie dość odpowiedzialnie. Powiniennem ci się oprzeć.

Nawet w mroku dostrzegł bolesny grymas na jej twarzy. Otoczył ją ramionami.

- Kochanie, nie chciałem sprawić ci bólu... - Pocałował ją w zmierzwiłone włosy. -

Ostatnie tygodnie były najszcześniejszym okresem w moim życiu.

- Ale żałujesz tego, co się wydarzyło.

- Nie! Jesteś dla mnie warta więcej niż własne życie, Mary, ale powinniśmy na tym poprzestać, zanim cię zranię.

- Nie zranisz mnie, Randall.

- Teraz zapewne nie. Z czasem jednak moje uczucie osłabnie i zacznę postępować z tobą nieuczciwie.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Mogę, bo to już się zdarzyło wcześniej. - Randall zaryzykował i otworzył przed nią serca.

- Byłem świeżo upieczonym kapitanem. Spędzałem urlop w londyńskiej rezydencji Latymorów. Wyjątkowo rodzice też wtedy przebywali w niej razem. Doszli wspólnie do wniosku, że trzeba mnie ożenić, i znaleźli mi kandydatkę na żonę - jedną z córek wicehrabiego Loxtona. Wszystko jedno którą. Mogłem sobie wybrać, wszystkie były na sprzedaż temu, kto zaoferuje najwięcej - dodał z niesmakiem. - I wtedy poznałem pewną wdowę. Teresa Carlotta di Rimini była piękna i egzotyczna. Nie potrafiłem się jej oprzeć. W ciągu tygodnia zostaliśmy kochankami. Myślałem, że łączy nas miłość. Poprosiłem ją o rękę. Obiecałem jej, że rzucę wojsko, bo nie lubiła wędrownego życia. Uważałem się za najszcześniejszego ze wszystkich ludzi na świecie. Któregoś dnia wpadłem do niej niezapowiedziany i zastałem ją w łóżku z innym... - Urwał, by kontynuować dopiero po chwili: - Nie tylko z nim mnie zdradzała. Odkryłem, że obdarzała względami wielu innych mężczyzn w Londynie, w tym mojego ojca.

- Och, Randall!

- Skończyłem z nią natychmiast i hojnie zapłaciłem za milczenie. Groziła, że mnie pozwie do sądu za złamanie umowy narzeczeńskiej... A nie mógłbym się bronić, nie wywlekając wszystkich pikantnych szczegółów...

Znowu zamilkł, tym razem na dłużej. Mary czekała.

- Mój ojciec... - podjął - ...śmiał się, mówił, że Latymorowie nie słyną ze stałości i wkrótce znajdę kolejny obiekt wzruszeń. I wiesz co? Miał rację. Po kilku gorących romansach nic już nie czułem do owej pięknej wdówki. Ale też żadna kobieta nie interesowała mnie dłużej niż kilka miesięcy. Widzisz więc, Mary, że nie mogę obiecać ci wierności. Nie jestem zdolny do trwałego uczucia. Nigdy mnie to nie martwiło. Postanowiłem bowiem, że nie ożenię się, żeby żadna kobieta nie cierpiała z mojego powodu tak jak moja matka z powodu mojego ojca, łajdaka.

Mary słuchała w milczeniu, jej serce rwało się do niego z pocieszeniem.

- Byłeś wtedy bardzo młody, Justinie... Dopiero co wyrosłeś z chłopięcych lat.

- To nie usprawiedliwia mojego zachowania.

- Zakochałeś się w doświadczonej, starszej kobiecie, która potraktowała cię haniebnie. Nic dziwnego, że chciałeś to sobie zrekompensować. Fakt, że od tamtej pory nie pozwalałeś sobie na igranie uczuciami przyzwoitych kobiet i że unikałeś

wzbudzania fałszywych nadziei, nie jest zachowaniem rozpustnika. Nie jesteś podobny do swojego ojca.

- Jesteś bardzo łaskawa.

- Łaskawa! Stwierdzam fakt. Gdybyś był zepsutym łajdakiem opowiadałbyś mi takie historie? Korzystałbyś bez skrpułów z tego, co ci daję, i pozwolił, bym sama martwiła się o konsekwencje. Tymczasem ty chcesz mnie przed nimi chronić, nawet kosztem rezygnacji z tych kilku dni szczęścia, które ci pozostają. - Wzięła w obie dłonie jego twarz i utkwiała w niej poważne spojrzenie. - Tego chcesz, Randall? Mamy się już rozstać?

- Wiesz, że nie.

- To wracaj do mnie, kiedy tylko pozwalają ci na to obowiązki. Chciałabym, żebyśmy wykorzystali cały czas pozostały do wybuchu wojny.

- Och, Mary. Jak ja mam zrobić to, co uważam za słuszne, kiedy tak mnie kusisz? Igramy z ogniem, moja droga, a świat jest bardzo niesprawiedliwy i to ty padniesz ofiarą jego okrucieństwa, jeśli zostaniemy odkryci.

- Wiem. Powiedzieliśmy sobie, że małżeństwo nie wchodzi w grę i jestem świadoma ryzyka.

Jego serce rwało się do tej dzielnej, nieustraszonej Mary, która wyglądała tak rozkosznie w chłodnym świetle poranka.

- Możesz utracić swoją szkołę.

- Dam sobie radę.

- Mógłbym wspierać cię finansowo...

- Nie! - odepchnęła go z nieoczekiwaną gwałtownością. - Chcę być twoją kochanką, milordzie, nie żoną ani dziwką. - Jak zawsze, gdy była na niego zła, zwracała się do niego formalnie, jak gdyby chciała podkreślić różnicę ich pozycji społecznej. - Pan mnie obraża!

- Nie chciałem.

- Więc nie mówmy o tym więcej. - Ogień przygasł w jej oczach. - Zobaczymy się wieczorem?

- To raczej niemożliwe. Wellington zaprasza na kolację i nie mogę odmówić. Po kolacji będzie za późno na odwiedziny.

- Nie dla mnie.

- Ale dla mnie. - Pocałował ją. - Jesteś dla mnie zbyt łaskawa, Mary.

- Jesteś wart tego ryzyka.

Nie chciał od niej wychodzić, ale nie miał wyboru. Szedł pustymi ulicami do swojej kwatery przy Rue Ducale i rozmyślał o ich ostatniej rozmowie. Jego wyznanie miało efekt oczyszczający, a spojrzenie, jakim go obdarzyła na do widzenia, sprawiało, że poczuł się jak władca świata. Nigdy nie był bardziej spełniony, a jednak ciągle mu było mało i nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie mógł do niej wrócić.

Może wysłać księciu przeprosiny i spędzić wieczór z nią? - przeszło mu przez myśl, ale zaraz się opamiętał: - Nie, to niemożliwe. Głupiec ze mnie!

I chociaż tak sobie urągał, przepełniała go radość, dzięki której z niezwykłą nawet jak na niego ochotą zabierał się do codziennych obowiązków.

Było po północy, kiedy, zmęczony jak pies, wracał na Rue Ducale. Sytuacja była niepokojąca. Francuzi szybko maszerowali ku granicy. Będzie musiał pójść z rana

do Mary i przekonać ją, by opuściła Brukselę, i na tę myśl zrobiło mu się smutno. Zaczął sobie tłumaczyć, że to nie musi oznaczać końca ich relacji, będzie bowiem mógł posłać po nią, gdy niebezpieczeństwo minie, lecz wiedział, że się okłamuje. Chociaż Mary zapewniała, że nie zależy jej na małżeństwie, jej sytuacja stanie się bardzo trudna, gdy świat dowie się, że są kochankami. Nie będzie mogła nadal prowadzić szkoły, poza tym jego rodzina i przyzwyczajone towarzystwo wyklną ją. Zejdzie do półświatka i zrówna się z wojskowymi markietankami. Dlatego byłoby najlepiej, gdyby się rozstali teraz, kiedy wciąż jeszcze cieszyła się nieskazitelną reputacją. Oczywiście będzie mu żal, ale to minie.

Kiedy jednak próbował sobie to wyobrazić, poczuł rozrywający serce ból, który podpowiadał mu, że tym razem będzie inaczej.

Robbins czekał na swojego pana zbulwersowany.

- Ma pan gościa, milordzie - oznajmił. - Ta dama czeka w bawialni.

- Dama?

- Próbowałem przemówić jej do rozsądku, milordzie, ale bez skutku. Przyszła zdecydowana na wszystko. Dobrze, że chociaż osłoniła się woalką.

Randall nie słuchał. Wpadł do bawialni. Mary siedziała i czytała książkę.

- Nie powinnaś tu przychodzić - powiedział, chociaż wiedział, że jego oczy zadają kłam słowom.

Wstała i wyciągnęła ku niemu rękę.

- Jacques słyszał dzisiaj na targu, że Francuzi się zbliżają. To prawda?

- Zdaje się, że plotki docierają szybciej niż szpiedzy księcia - parsknął szyderczo.

- Ale czy to prawda?

- Boję się, że tak. - Ucisnął jej dłonie. - Czas, żebyś opuściła Brukselę, Mary.

- Jeszcze nie. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, milordzie.

Na widok jej uśmiechniętej twarzy i błyszczących oczu opuściło go zmęczenie. Porwał ją w ramiona, pocałował i zaniósł do przyległej sypialni.

Kochali się z takim samym zapamiętaniem jak zawsze. Leżeli potem w ciemności nasyceni, kompletni, dopóki nie zmorzył ich sen. Obudzili się rano spleceni w niesłabnącym uścisku.

Kiedy Mary otworzyła oczy, dotarła do niej świadomość dwóch rzeczy. Po pierwsze, było zupełnie widno i Randall wciąż z nią był. Po drugie, nie leżała we własnym łóżku, tylko w kwaterze Randalla. Przyszła późnym wieczorem, osłonięta gęstą woalką. Jego ordynans rozpoznał ją i wpuścił. Woląta nie myśleć, co sądził o jej zachowaniu. Randall był zdziwiony jej widokiem, ale i ucieszony.

Przeciągnęła się i przytuliła do jego nagiego ciała. Spał, cicho posapując. Położyła mu nogę na udzie, rokoszując się dotykiem obnażonej skóry. To ciepło, ta bliskość, jak ja będę żyła bez tego? - pojawiło się w jej głowie po raz kolejny pytanie.

Godzinę później wciąż jeszcze leżeli w łóżku. Nasłuchiwali przez otwarte okno odgłosów miasta.

- Dobrze, że mam gęstą woalkę - powiedziała.

- Robbins sprowadzi dorożkę i odwiezie cię do domu.

- Zobaczę cię wieczorem, milordzie?

- Niestety, nie. Książę nalega na obecność oficerów na wieczornym balu. - Musiał zauważyć jej rozczarowanie, bo uściskał ją. - Muszę posłuchać, bo to rozkaz.

- Zapewne książę stara się podnieść morale wśród Anglików, zachowując się tak, jakby nie było powodów do niepokoju.

- Możliwe.

- A po balu będziesz mógł przyjść na Rue Haute?

- Nie wiem.

Wystarczyło. Mary zrozumiała, że widzą się po raz ostatni. Nie zdołała powstrzymać słów, których nie powinna wypowiadać na głos.

- Och, Randall, wolałabym, żebyś nie musiał walczyć. Oddałabym wszystko, żebyś znalazł się poza niebezpieczeństwem!

- Jestem żołnierzem, Mary. Walka to moje rzemiosło.

- Oczywiście... - Uśmiechnęła się z przymusem, zawstydzona swoim wybuchem. - Nie chciałabym, żebyś był kimś innym.

Jej brawura została nagrodzona pocałunkiem, ale chociaż chciała, żeby nigdy się nie skończył, pierwsza oderwała usta.

- Robi się późno, milordzie. Powinniśmy się ubrać.

- Jak zwykle rozsądna Mary.

- Wolałbyś, żebyśmy wisiąca ci na szyi i lkała?

Ubierali się pośpiesznie i w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Mary przed małym ściennym lustrem szczotkowała i upinała włosy. Pochwyciła w szklanej tafli spojrzenie Randalla. Domyśliła się, że chciał powiedzieć coś ważnego.

- Mary, kiedy wojna się skończy... rozważyłabyś pozostanie ze mną...? Jako moja żona, oczywiście. Ciężą na mnie obowiązki, od których nie mogę się uchylić. Chciałbym, żebyś była u mojego boku w Chalfont. Myślisz, że zdobyłabyś się na to, żeby zostać moją hrabiną, mimo że jest to wbrew twoim zasadom? Mogłabyś zostać moją żoną?

Szczotka wypadła z ręki Mary. Odwróciła się.

- Nie zamierzałam o tym rozmawiać, milordzie - powiedziała powoli.

- Wiem, ale to jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, bo... ja nie mogę żyć bez ciebie. Będzie to wymagało kompromisu, wiem, ale ja nie zażądam, żebyś wyrzekła się swoich ideałów, w które wierzysz. Przeniesiesz walkę na terytorium wroga, że tak się wyrażę. - W jego oczach zamigotały iskierki wesołości, ale natychmiast spoważniał. - Nie chcę cię utracić, Mary. Obawiam się bowiem, że cię kocham.

Oczy Mary zaszyły łzami, zamrugowała gwałtownie.

- Och, Randall!

- Płaczesz! - zmartwił się. - Nie chciałem zrobić ci przykrości.

Roześmiała się niepewnie.

- Nie zrobiłeś. Fakt, że mnie kochasz, czyni mnie najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

- Uważasz, że ty też mogłabyś mnie pokochać?

- Już cię kocham. Randall, bardzo cię kocham.

- Naprawdę? Jak to możliwe!?! - Ujął w dłonie jej twarz, kciukami ocierał łzy

z oczu. – Nie stać mnie na słodkie słówka i miłe gesty.

– Nie czekam na nie. Jeszcze bardziej cię za to Kocham.

– Więc wyjdiesz za mnie?

Z przerażającą jasnością Mary uzmysłowiła sobie, że właściwie niczego nie pragnie goręcej, coś jednak powstrzymywało ją, jakieś niewytłumaczalne przecucie, że jeśli się zgodzi, jeśli sprzeniewierzy się wszystkiemu, w co wierzyła od dzieciństwa, zostanie ukarana.

– Zapytaj ponownie po bitwie.

– Zgódź się teraz, a ja napiszę do matki i jeśli coś mi się przytrafi...

Przyłożyła mu palce do ust, aby go uciszyć.

– Nie mów takich rzeczy. Boję się, że gdybym teraz się zgodziła, jakieś mściwe bóstwo odebrałoby mi ciebie.

Roześmiał się.

– Moi ludzie powiedzą ci, że chroni mnie magiczne zaklęcie, a raczej magiczna szabla. Spójrz, tam, przy moim mundurze, wisi tylko reprezentacyjna broń... noszę ją na takie okazje jak dzisiejszy bal. Ale mam też inną – podszedł do wielkiego kufra i otworzył wieko – o wiele starszą. Dekoracyjny ornament wytarł się, a pochwa jest mocno porysowana. To szabla mojego dziadka. Używał jej w każdej bitwie, w której brał udział, i ja robię to samo. Ta szabla gwarantuje mi bezpieczeństwo. Czy to cię uspokaja?

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś taki przesądny. To do ciebie niepodobne.

Rzeczywiście do końca w to wierzył, lecz zależało mu na rozproszeniu jej obaw, więc dodał z przekonaniem:

– Szabla Latymorów ma naprawdę szczególną moc. Do głowy by mi nie przyszło pójść na wojnę bez niej.

Owinął sobie wokół palca lśniący loczek włosów, który spoczywał na jej ramieniu. Na Boga, staje się sentymentalny, pomyślał, ale nie dbał o to. Uniósł jej loczek do ust.

– Doprowadź do ładu fryzurę, Kochanie. Wyglądasz tak, jakbyś dopiero co opuściła ramiona kochanka.

Udało mu się wreszcie przegnać smutek z jej oczu, które znowu rozbłysły wesołością.

– Właśnie mi się to przydarzyło.

Wyglądała tak rozkosznie, że nie mógł się powstrzymać i jej nie pocałować, zanim pozwolił jej usiąść przed lustrem. Gdzieś w oddali zegar wybił godzinę.

Dziewięta.

Robbins pewnie przestępuje z nogi na nogę, żeby zacząć go golić. Niech czeka. Nie będzie wyganiał Mary z mieszkania, bo może nigdy już jej ponownie nie zobaczyć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mary odkładała moment wyjścia tak długo, jak tylko mogła, wiedząc, że to ostatnie wspólne chwile z Randallem... Przynajmniej przed bitwą. Musiała być silna i cierpliwie czekać. Nie chciała być mu dodatkowym zmartwieniem. Miała ochotę błagać go, żeby jej nie opuszczał, żeby nie szedł na wojnę, wiedziała jednak, że on nie posłucha, bo żołnierski obowiązek był dla niego rzeczą świętą.

Pozostało narzucić pelerynę i włożyć kapelusz. I jeszcze jeden pożegnalny pocałunek.

- Żegnaj, mój kochany... - Dotknęła szorstkiego od zarostu policzka. Chwycił jej dłoń, przyciągnął do ust, odcisnął na niej pocałunek.

- Nigdy nie mów żegnaj. Jedź do Antwerpii, tam cię odnajdę.

- Oczywiście.

Żadne z nich nie ośmieliło się wyrazić na głos swoich myśli. Randall obawiał się, że Francuzi wygrają bitwę i wojna się przedłuży, Mary natomiast bała się, że on nie przeżyje.

- Poprosisz Robbinsa, żeby sprowadził dla mnie dorożkę? - powiedziała spokojnym głosem.

Wyszedł, by spełnić jej prośbę, ona tymczasem włożyła pelerynę i kapelusz. Twarz osłoniła gęstą woalką, żeby Randall nie zobaczył jej wilgotnych od łez policzków. Kiedy chciał ją na koniec uściskać, nie pozwoliła mu.

- Nie dotykaj mnie, proszę.

Bała się, że wówczas opuściłaby ją odwaga i rozpląnęłaby się we łzach.

Randall stał w oknie i patrzył, jak dorożka zabiera Mary na Rue Haute. Bóg jeden wie, kiedy się znowu spotkają. Czuł się tak, jakby Mary zabrała ze sobą jego serce, a w jego miejscu pozostawiła bolesną ranę.

Odszedł od okna. Czekają go obowiązki, więc zawołał Robbinsa, żeby przyniósł wodę do golenia. Bliżej południa pojechał do Roosbos. W obozie uderzył go sielankowy wręcz spokój. Ludzie siedzieli wokół ognisk lub, leżąc na lawetach dział, wygrzewali się w słońcu. Tymczasem niedługo mieli ruszyć do walki. Odszukał Flinta. Zwrócił uwagę na jego niekompletny mundur. Z góry przewidział, jaka będzie reakcja majora, gdy usłyszy rozkaz.

- Wielu oficerów oddałoby miesięczny żołd za zaproszenie na bal księżnej - warknął, gdy Flint oznajmił, że na bal się nie wybiera.

- Niech major Bartlett idzie - odpowiedział Flint tonem zakrawającym na bezczelność. - Albo jeszcze lepiej, Sheffield. On nie jest takim szubrawcem jak reszta z nas.

- Jeśli myślisz, że dopuszczę Bartletta w pobliże dam, to chyba odebrało ci do reszty rozum... a jeśli chodzi o Sheffielda...

Major Sheffield był najporządniejszym z jego oficerów, ale to właśnie stanowiło problem. Wciąż jeszcze nie zdołał narzucić swojego autorytetu żołnierzom, więc nie

należało go od nich odrywać tuż przed bardzo ważną bitwą.

- Nie - uciał i zmierzył Flinta spojrzeniem, które napędziłoby strachu niejednemu młodszemu oficerowi. - Pójdiesz ty. Umyj się i postaraj się wyglądać jak dżentelmen, dla odmiany.

- Ale...

- Doprowadź się do ładu! To rozkaz! - ryknął Randall. - Księżę nie jest może pedantem, ale ja jestem i prędzej mnie szlag trafi, niż pozwolę ci kwestionować moje polecenia!

- Tak jest!

Niebieskie oczy, tak bardzo podobne do jego własnych, patrzyły na Randalla bez obawy. Przyrodni brat w oddziale wciąż przypominał Randallowi o rozpuszczeniu ojca. Naszły go ponownie wątpliwości co do małżeństwa i obawy, że zawiedzie Mary. Flint wciąż czekał, aż Randall go odprawi.

Cholera! - zaklął w duchu. Chyba robi się już za stary na wojaczkę.

Wracając do Brukseli, Randall przypomniał sobie, że wysłał list do Benningtona Ffoga z prośbą o zwolnienie na wieczór Gideona. Bracia mieli mało okazji do spotkań, Randall uważał więc, że powinni porozmawiać, zwłaszcza przed nadciągającą zawieruchą. Więc kiedy znalazł się w kwaterze na Rue Ducale, jego pierwszym pytaniem było, czy nadeszła odpowiedź.

- Tak, milordzie, major Latymor przyjdzie na kolację. Powiadomił o tym niecałe pół godziny temu.

- Dziękuję, Robbins. Wieczorem będę potrzebował munduru galowego.

- Jest gotowy, milordzie.

Randall westchnął. Nienawidził pompy, jaka towarzyszyła gali. Z niechęcią pomyślał, że będzie musiał paradować po sali balowej jak jakieś zwierzę na pokazie. Przypomniał sobie, z jakim wstrętem Flint przyjął konieczność upodobnienia się do dżentelmena na dzisiejszy wieczór. Być może pod tym względem łączyło go z przyrodnim bratem więcej, niż byli obaj gotowi przyznać.

Gideon jak zwykle się spóźniał. Randall już zastanawiał się, czy nie odwołać kolacji, gdy brat się wreszcie zjawił. Przeprószył, oczywiście, ale niezbyt szczerze.

- Idziesz potem do Richmondów - domyślił się, widząc przygotowany mundur galowy. - Ja nie dostałem zaszczytu otrzymania zaproszenia.

- Nazywasz to zaszczytem? Wolałbym nie iść - stwierdził Randall, wręczając bratu kieliszek wina.

- To dlatego, że masz tytuł hrabiego. Księżnej zależało na utytułowanych gościach - zauważył z nutką złośliwości Gideon.

Randall nie skomentował uwagi brata, który niespokojnie chodził po pokoju, wyglądał na zdenerwowanego. Uznał, że lepiej nie mówić, że sam Wellington domagał się jego obecności.

Usiedli do obiadu. Randall przykładał się do rozmowy, chociaż z większą przyjemnością siedziałby z Mary Endacott. Nudziły go opowieści o wybrykach, na jakie pozwalali sobie oficerowie kawalerii. Starał się jednak być wyrozumiały. W końcu byli bardzo młodzi, ledwie wyrosli z chłopięcych lat. Nie tylko Gideon nie sprawdził się

jeszcze w polu.

Kiedy uprzątnięto ze stołu nakrycia i pojawiła się karafka z brandy, Gideon był zarumieniony z podniecenia, niebieskie oczy błyszcząły mu przesadnie. Randall nalał brandy do kieliszków i odstawił zakorkowaną karafkę na bok.

- Widziałeś się dzisiaj z Sarah? - zagadnął ni stąd, ni zowąd.

- Tak, jeździliśmy rano konno.

- Ona i Gussie powinny już wyjechać do Antwerpii.

- Ale nie wyjechały. Za bardzo się przejmujesz.

- Przypominam sobie, jak mi zarzucałeś, że nie dość interesuję się rodziną.

- Tak było, ale teraz jesteśmy już z Sarah pełnoletni.

- I co z tego. Wasz los jednakowo leży mi na sercu.

- Wątpię. Nawet nie pomyślałeś o tym, żeby mi kupić patent oficerski.

- Nigdy o to nie prosiłeś.

- Nie, ponieważ z góry wiedziałem, jak zareagujesz. Powiedziałbyś, żebym zaczął jeszcze parę miesięcy. Wówczas ominęłyby mnie te wszystkie atrakcje, jakie mieliśmy w Brukseli.

- Atrakcje?! Niech to diabli, Gideonie! Nie wystarczy ci, że aż dwóch mężczyzn z jednej rodziny idzie na tę okropną wojnę?

- Zaliczasz tego kundla, Flinta, do rodziny? Nie rozumiem, dlaczego pomagasz mu w karierze.

- Ponieważ jest dobrym oficerem, który dba o swoich ludzi. Ty jeszcze się tego nie nauczyłeś.

Gideon zerwał się z krzesła z przekleństwem na ustach.

- Ciągłe to samo! Nie można palcem kiwnąć bez twoich uwag. Mam tego dość. Urwałem się spod twojej władzy i zamierzam odznaczyć się w tej kampanii odwagą!

Randall patrzył na brata w milczeniu. Bezcelowe, a nawet szkodliwe byłoby przypominanie Gideonowi, że nigdy nie sprawował nad nim kontroli.

Gideon miotał się po pokoju jak dzikie zwierzę w klatce.

- Nie proponowałem ci służby wojskowej ze względu na twoje bezpieczeństwo.

- No wiesz?! To ty powinienesz siedzieć w Chalfont i pilnować interesów rodziny. Mama nie będzie się nimi zajmować bez końca.

- Wiem, ale ta aktywność trzyma ją przy życiu. A poza tym mamy doskonałego rządcę... Takie rozwiązanie sprawdza się od lat.

Randall zastanawiał się, czy powiedzieć Gideonowi, że zamierza wrócić do majątku po zakończeniu obecnej kampanii wojennej, lecz doszedł do wniosku, że lepiej nie uprzedzać faktów. Może nie przeżyć, a jeśli tak się stanie, Gideon będzie jego spadkobiercą.

- Nie jestem obecnie potrzebny w Chalfont - dodał nie tyle, żeby uspokoić Gideona, co siebie.

- Tak sądzisz? A wiesz, co myślą nasi ludzie? Myślą, że jesteś bardzo podobny do ojca.

- Bzdura. Nic o mnie nie wiedzą.

- No i w tym rzecz! Myślą, że trzymasz się z dala od Chalfont, bo się boisz, że wszystkie tamtejsze dziwki to twoje krewne - wypalił Gideon. - Powinienesz opuścić wojsko. Jesteś szóstym hrabią i twoje miejsce jest w Chalfont Abbey, nie tutaj. Gdy-

by to ode mnie zależało, zmusiłbym cię do zajęcia się tym, co do ciebie należy!

- Milordzie!

Wejście do pokoju Robbinsa zapobiegło ostrej odpowiedzi Randalla. Ordynans poinformował, że na dole jest adiutant księcia z ważną wiadomością. Randall był zadowolony, że wychodzi, inaczej straciłby panowanie nad sobą i powiedział coś przykrego bratu, a wolał tego nie robić, zwłaszcza przed bitwą. Zresztą Gideon miał rację co do jednego: zbyt długo już uchylał się od przejęcia pieczy nad rodowym majątkiem.

Kiedy wrócił, Gideon zdążył włożyć zdjęty wcześniej surdut i stał gotowy do wyjścia. Spoglądał na brata wyzywająco.

- Nie rozchodźmy się w gniewie. - Randall wyciągnął do niego dłoń. - Masz do pewnego stopnia rację, powinienem zacząć myśleć o opuszczeniu wojska i pozostawieniu dowodzenia młodszemu, takim jak ty. Nie wątpię, że dobrze byś się spisał, bracie.

- Tak... dziękuję. - Gideon uściśnął podaną dłoń.

- Dobranoc, Gideonie. Życzę ci powodzenia. Naprawdę szczerze.

Randall odniósł wrażenie, że brat chciał coś jeszcze powiedzieć, ale skinął tylko głową i wyszedł. Nasłuchiwał jego oddalających się kroków na schodach, po czym zawołał Robbinsa, poprosił o kapelusz i rękawiczki i udał się na Rue de la Blanchisserie, gdzie Richmondowie wydawali bal.

Mary bez apetytu jadła w samotności kolację. Wracając od Randalla, zauważyła wzmożony ruch na ulicach miasta. Nie ulegało wątpliwości, że starcie się zbliża, a wojsko jest reorganizowane. Jednak angielska śmietanka towarzyska nadal bawiła się w najlepsze. Mary pomyślała o tym, jak wspaniale będzie się prezentował w swoim galowym mundurze Randall. Równie wspaniale jak bez ubrania, w sypialni, kiedy kontury jego szczupłego, lecz muskularnego ciała podkreślało przytłumione światło świecy.

Odstawiła talerz. Położy się i postara zasnąć przed czekającą ją rano podróżą do Antwerpii.

Siedziała w bawialni, pisząc notkę pożegnalną do Randalla, kiedy Jacques oznajmił przyjście lady Sarah.

- Nie, nie wstawaj - krzyczała od progu - niepotrzebne te ceregiele. Przyszłam zaprosić cię na bal!

Spojrzenie Mary spoczęło na idącym za lady Sarah Jacques'u, który wniósł do bawialni wielkie pudełko i położył je na krześle, po czym wycofał się.

- Bal u księżnej Richmond - wyjaśniła Sarah. - Moja siostra jest niedysponowana i nie może pójść. Powiedziałam jej, że znalazłam bardzo odpowiednią przyzwoitkę. Ty nią jesteś, panno Mary Endacott.

- Nie wiem, czy ten pomysł przypadnie jej do gustu. Nie zna mnie.

- Wie, że jesteś wielką przyjaciółką Harriett i już widziała cię z Justinem.

Mary poczuła, że się czerwieni, na szczęście nie musiała nic mówić, bo lady Sarah terkotała bez przerwy.

- Szkoda byłoby nie wykorzystać zaproszenia. Ale Justin nie wie, że nadal jesteśmy w mieście. Przykazał wręcz Blanchardowi, żeby natychmiast wywiózł Gussie

i mnie z Brukseli, ale skoro książe Wellington polecił lady Richmond wydać bal, to przecież nie może być żadnego bezpośredniego zagrożenia, nie uważasz? Więc Gussie orzekła, że możemy jeszcze jakiś czas zostać. Bardzo chciała pójść na ten bal, lecz, będąc w wiadomym stanie, poczuła się nie najlepiej i jest załamana, że nie idzie. Biedactwo...! Więc ja pomyślałam, że ty mogłabyś pójść zamiast niej.

- Potrzebujesz moralnego wsparcia? - zauważyła Mary z powagą, chociaż zbierało się jej na śmiech.

- Nie chcesz iść?

Mary wahała się. Nie chciała, by wytykano ją palcami jako kochankę Randalla spoza eleganckiego towarzystwa, ale propozycja lady Sarah zmieniała wszystko. Poza tym kusząca była perspektywa spotkania się jeszcze raz z ukochanym.

- Widzę, że masz ochotę... - Klasnęła w dłonie lady Sarah. - Chodźmy, Mary. Powóz czeka przed domem.

- Nie jestem ubrana na bal, a to już prawie dziesiąta.

- Na takie bale nikt nie przychodzi wcześniej, Mary. Nie rób trudności.

- Nie robię, ale...

- Jeśli zamierzasz powiedzieć, że nie masz się w co ubrać, to informuję, że przywiozłam dla ciebie suknię. To tylko muślin, nic specjalnego. Ale będzie całkiem odpowiednia.

Mary ze zdumieniem patrzyła na pudełko, które podawała jej lady Sarah. Rozsądek nakazywał odmówić, ale nie mogła oprzeć się pokusie zajrzenia do środka.

- Och! - wyjęła sukienkę. Była uszyta z kremowego, cienkiego jak pajęczyna muślinu pokrytego wyhaftowanymi drobnymi białymi kwiatuskami. - Jaka piękna!

- Nigdy nie miałam jej na sobie, bo jest za krótka - wyznała nonszalancko lady Sarah. - Dla ciebie będzie w sam raz.

Mary pomyślała, że sukienka jest bardzo dziewczęca, jednak perspektywa ujrzania jeszcze raz Randalla przeważała.

- Daj mi dziesięć minut!

Przebieranie zajęło jej trochę więcej niż dziesięć minut. Z myślą o mundurze Randalla dodała do sukni ciemnoczerwoną szarfę i takiego samego koloru wstążkę wplotła we włosy. Na innej wstążce powiesiła na szyi jedyną ozdobę, jaką miała, niewielką kameę. Całości dopełniał przepiękny szal z Norwich.

Lady Sarah zaklaskała na jej widok w dłonie.

- Wyglądasz bardzo elegancko, Mary! Randall będzie do tego stopnia oczarowany twoim widokiem, że zapomni dać mi burę.

- Miejmy nadzieję - mruknęła pod nosem Mary.

Dom wynajęty przez księcia Richmond znajdował się w mniej modnej części miasta, ale był rzęsiście oświetlony i chociaż było już późno, wciąż podjeżdżały pod jego frontowe drzwi powozy z gośćmi. Mary spadł kamień z serca, że nie będą ostatnie.

Towarzyszyła lady Sarah do sali balowej, gdzie już trwały tańce. Pięknie wystrojone panie i panowie, głównie wojskowi, tworzyli lśniący i barwny spektakl. Niemal natychmiast dostrzegła wyniosłą postać Randalla w galowym ciemnoniebieskim mundurze ze złotym szamerowaniem i czerwonymi wyłogami. Uśmiech, jaki roz-

kwitł na jego twarzy, rozwiął wszelkie wątpliwości, jakie mogła mieć w związku ze swoim przybyciem.

Lady Sarah została otoczona przez grono rozbawionych oficerów kawalerii, Mary ruszyła zaś ku Randallowi, jakby wiodła ją ku niemu niewidzialna nić.

Skłonił się nad jej wyciągniętą dłonią.

- Przyszłaś... Zatańczysz ze mną?

- Są z pewnością damy, którym należy się przede mną pierwszeństwo... - Zaczerwieniła się.

- Nie dzisiaj. Zauważyłaś, że nigdy ze sobą nie tańczyliśmy?

- Zauważyłam.

Przepełniona szczęściem szła z nim na parkiet. Była mu jednak winna pewne wyjaśnienie.

- Żeby nie było między nami żadnych niejasności, milordzie, muszę wyjaśnić, że przyprowadziła mnie tutaj twoja siostra.

- Ach tak?

- Nie masz nic przeciwko temu? Radziłeś im wyjazd z Brukseli.

- Jak mógłbym mieć coś przeciwko, skoro fakt, że zostały, oznacza, że mogę z tobą tańczyć?

Mary pokraśniała z zadowolenia i przestała się przejmować, co pomyślą ludzie. Niech widzą, jak dobrze im jest dzisiaj ze sobą, bo jutro... Nie wiadomo, co się wydarzy.

Ustawili się w tanecznym kręgu, czekając na muzykę.

- Jest major Flint - zauważyła Mary. - Elegancko się prezentuje.

- Tak, robi konkię wśród pań. Będę cię trzymał od niego z daleka. Jesteś moja, Mary Endacott.

Te słowa i roziskrzone spojrzenie, które jej posłał, przepełniły Mary szczęściem. Tańczyła jak w transie. Gdy w kolejnej figurze znalazła się obok Sarah, ta skorzystała z okazji, żeby zwrócić uwagę na nieobecność Gideona.

- Bennington Ffog mi mówił, że dostali tylko kilka zaproszeń i oficerowie losowali je między sobą. Nie mam serca odmawiać tańca komukolwiek, przecież niedługo wyruszą na wojnę.

Mary nie poświęciła większej uwagi jej słowom, była bowiem zanadto zajęta Randallem. Prosił ją do tańca już trzykrotnie, w końcu musiała zaprotestować z obawy na plotki.

- Niech mówią, co chcą - odpowiedział lekceważąco. - Teraz to bez znaczenia.

Schodziła z parkietu pijana ze szczęścia, ale jej dobre samopoczucie popsuł widok zamieszania wokół osoby Wellingtona. Nie zdziwiła się, kiedy Randall po kilku minutach przeprosił, że ją zostawi na chwilę samą. Pozwoliła, nie chciała utrudniać mu sytuacji zmartwionym wyrazem twarzy lub, co gorsza, łzami.

Krążyła samotnie pod ścianami salonu, kiedy uświadomiła sobie, że jest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Damy, patrząc w jej kierunku, zasłaniały się wachlarzami i szeptały coś do sąsiadek. Mary starała się to ignorować, ale rozumiała, co się dzieje. Zbyt często tańczyła z Randallem. Ludzie zapewne widywali ich również w mieście, a może ktoś zauważył go, jak odwiedzał ją w jej domu, nie mówiąc o tym, że ktoś mógł skojarzyć ją z damą w woalce opuszczającą dzisiaj rano jego kwaterę.

Wszyscy podejrzewali, że jest kochanką Randalla.

Mary trzymała wysoko głowę. Niech świat myśli, co mu się podoba.

Tymczasem Randall wrócił do sali balowej. Otrzymał rozkazy. Musiał pożegnać Mary. Odnalazł ją wzrokiem i dołączył do niej.

- Dostaliśmy rozkazy. Nie mam czasu do stracenia. Posłałem umyślnego do swojej kwatery. Mogę udać się na pole bitwy w galowym mundurze, ale nie w butach do tańca.

Ludzie otoczyli go szczelnym pierścieniem. Chcieli wiedzieć, co się dzieje. Cywilom udzielał wymijających odpowiedzi, dla kolegów oficerów miał krótką wiadomość: Francuzi znajdują się w odległości kilku godzin marszu od miasta.

Mary pozostawiła go w spokoju. Była pewna, że pożegna się z nią, zanim opuści dom Richmondów, ale pamiętała, że był na służbie.

- Mary! - usłyszała głos lady Sarah. - Wszystko w porządku? Ty i Justin wyglądacie razem na bardzo szczęśliwych.

- Dlatego że tacy właśnie jesteśmy - odpowiedziała. - Randall, to jest, Justin, wytłumaczył mi, dlaczego miał niechętny stosunek do małżeństwa. Nie przyszło mu to łatwo, ale jestem przekonana, że stoczył już swoją ostatnią bitwę... - Roześmiała się beztrosko. - Będę jego hrabiną!

Dostrzegła zbliżającego się Randalla, ale nie podszedł do niej, bo jego uwagę skupił ktoś stojący we drzwiach sali. Skinął ku niej krótko głową i skreślił w tamtą stronę. Stojącą we drzwiach postacią był Robbins. Miał ponury wyraz twarzy.

Szczęście Mary pierzchnęło na myśl o krwawym konflikcie, który zbliżał się wielkimi krokami, ale starała się ukryć niepokój przed Sarah. Miała ona bowiem dwóch braci w wojsku.

- Będę na niego czekała - dokończyła poprzednią myśl.

Randall kłął pod nosem. Chciał pożegnać się z Mary, ale nie chciał tego robić w obecności siostry. Postanowił, że wróci do niej po spotkaniu z Robbinsem. Przeszli razem do przedpokoju. Tam Randall usiadł i zaczął wciągać heskie buty.

- Gdzie szabla Latymorów? - zapytał. - Przyniosłeś ją?

- Nie mogłem jej znaleźć, milordzie. Szukałem wszędzie. Wczoraj wieczorem była w pańskim kufrze. Wiem na pewno, bo wkładałem irchowe spodnie po wyszczotkowaniu z błota i musiałem ją na chwilę wyjąć. Od tamtej pory nie zaglądałem do środka.

Randall spozierał z niedowierzaniem na ordynansa. Jeszcze dzisiaj rano pokazywał ją Mary. I wtedy zadźwięczały mu w uszach jej słowa wypowiedziane do Sarah, które niechcący podsłuchał: „Jestem przekonana, że Randall stoczył już swoją ostatnią bitwę”.

Zimna obręcz ścisnęła mu serce, ale szybko otrząsnął się.

- To bez znaczenia, Robbins.

- Ależ, milordzie, przecież pan zawsze...

- Moja paradna szabla powinna wystarczyć tym razem. Tamtą musiałem przełożyć w inne miejsce i zapomniałem.

Kłamał. Tymczasem narastało w nim podejrzenie ciężkie jak ołów. Odprawił ordynansa i wrócił do sali balowej.

Mary nie pochodziła z rodziny wojskowych. Ojciec był zagorzałym antyroyalistą i zwolennikiem Rewolucji Francuskiej. Mówiła mu, że jest przeciwna wojnie, jednak nie mieściło mu się w głowie, by mogła zrobić coś, co powstrzymałoby go od udziału w bitwie. Nikt inny nie mógł szabli zabrać. Tylko ona. Jaki inny sens mogłyby mieć jej słowa skierowane do Sarah: „Jestem przekonana, że Randall stoczył już swoją ostatnią bitwę”?

Mary stała pod ścianą. Była sama. Przytupywała stopą w rytm muzyki, obserwując tańczących. Bliżej wyjścia pary żegnały się w pośpiechu. Młoda żona jakiegoś oficera ze łzami w oczach całowała męża, a kiedy zniknął za drzwiami, z płaczem rzuciła się w objęcia przyjaciółki. Spokój Mary rażąco kontrastował z tą sceną.

Randall poczuł, że ktoś dotyka jego rękawa.

- Pan mnie szukał, pułkowniku?

Major Flint.

- Zaczyna się, majorze. Jedź do Roosbos i stawiaj ludzi na nogi. Spotkamy się w Enghien.

- Nie jedzie pan ze mną?

Randall wciąż myślał o zaginionej szabli. Analizował zachowanie Mary przed opuszczeniem kwatery. Wysłała go, żeby poprosił Robbinsa o sprowadzenie dorożki. Kiedy wrócił do pokoju, była ubrana do wyjścia, na twarz miała spuszczonej woalkę. Był to jedyny moment, w którym pozostawała w pokoju sama. Trwał wystarczająco długo, żeby mogła zdążyć wyjąć szablę z kufra i przypasać ją sobie do talii. Z pewnością dlatego nie pozwoliła się objąć. Wysunęła dłonie, żeby się do niej nie zbliżał, chociaż on bardzo chciał jeszcze raz przytulić ją do piersi. Czy mógł być inny powód takiego zachowania?

Podejrzenia Randalla zmieniały się w pewność.

- Nie. Mam tu jeszcze coś do załatwienia - odpowiedział ponuro.

Kiedy ku niej szedł poprzez salę, przypomniał sobie jeszcze inną ich rozmowę, tę, w której mówił jej, czego oczekuje od swoich podkomendnych, i nagle wszystko ułożyło się w przerażająco logiczną całość.

Musiał ściągnąć ją spojrzeniem, gdyż odwróciła głowę i uśmiech zamarł jej na ustach. Na jej twarzy pojawił się strach. Zrozumiałe, jeśli odgadła, że ją przyłapał. Zaufał tej kobiecie, odsłonił przed nią swoją duszę, a ona tak mu odpłaciła. Gniew, który zawsze powstrzymywał z trudem, eksplodował.

- No, moja pani, naprawdę myślałaś, że zdołasz mnie powstrzymać od pójścia na wojnę razem z moimi ludźmi?

- Przyszłam na bal, gdyż chciałam cię zobaczyć, milordzie - odpowiedziała, uśmiechając się trochę niepewnie. - Czy to zbrodnia?

- Nie mówię o twojej obecności na balu. Mówię o szabli.

- Szabli?

- Nie pogarszaj kłamstwem swojej zdrady, panno Endacott. Mogłem ci opowiedzieć, że nie wybieram się na wojnę bez szabli Latymorów, ale to było tylko gadanie mające na celu uspokojenie twoich kobiecych nerwów. Nie wierzę w takie bzdurne przesady.

- Ani przez chwilę nie pomyślałam...

- Nie pomyślałaś? - wybuchnął. Nigdy nie był tak wściekły. Nie tylko zdradziła go, ale jeszcze się do tego nie przyznaje, chociaż przechwalała się tym przed Sarah. Nigdy jeszcze czyjaś zdrada nie bolała go tak bardzo. Do diabła z kobietami. Nie wolno im ufać, stwierdził w duchu.

- Przestraszyłaś się, że może ci uciec doskonała okazja na społeczny awans?! Czyż nie?

- Nie! Wiesz, że nic mnie nie obchodzi twój tytuł.

- Dziwne więc, że kiedy tylko ci się oświadczyłem, przyjęłaś propozycję. - Był niesprawiedliwy i wiedział o tym, lecz nie panował nad swoimi słowami. - Ryzyko, że mógłbym nie wrócić z wojny, żeby się z tobą ożenić, tak cię przerażyło, że postanowiłaś mnie zatrzymać, kradnąc moją szablę. Otóż wiedz, że nie uda ci się!

Wbiła w niego skonsternowane spojrzenie. Jeszcze przed chwilą miała rumieńce na policzkach, teraz była biała jak kreda.

- Myślisz, że zabrałabym twoją szablę?

Patrzył i oczom nie wierzył. Była obrazem skrzywdzonej niewinności. Nie podejrzewał, że jest aż tak dobrą aktorką.

- Ja nie myślę, ja wiem! I gdzie się podziały twoje postępowe przekonania, moja pani?

Mary miała wrażenie, że stoi przed nią ktoś zupełnie obcy. Była oszołomiona gwałtownością ataku i niezdolna do kontrowania oskarżeń. Jej umysł nie nadążał.

- Justinie! - usłyszała zadyszany głos lady Sarah. - Wszyscy wychodzą. Podobno Francuzi są blisko. To prawda?

Randall przeniósł swój pałający złością wzrok na siostrę, ale nie na długo.

- Ty także maczałaś w tym palce! Jestem o tym przekonany. Wkradłaś się w łaski mojej rodziny, żeby zyskać w moich oczach.

Mary nie potrafiła zebrać myśli, ale ostatnie oskarżenie było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Uniosła dumnie głowę.

- Nie mam żadnego planu, jak to nazywasz, i nie wkradałam się w niczyje łaski.

- Jesteś tak samo podłym babskiem jak inne. Wyrachowanym i bezwzględny. Nie mam cienia wątpliwości, że przez cały czas myślałaś tylko o tym, jak zostać hrabiną.

- Justinie, chyba sam w to nie wierzysz? - jęknęła Sarah.

- Nie daj się omamić pozorom jej skromnego zachowania, Sarah. Ta kobieta narzuciła swoje towarzystwo Hattie i tak nią manipulowała, że nie mogłem wymówić się od eskortowania jej do Brukseli, a po przyjeździe udawała, że niechętnie przyjmuje moje awanse. I udało się! Miała serce hrabiego u stóp. Dobra robota, jak na córkę upadłego radykała, prawda, panno Endacott?

- Nie zasłużyłam na to - powiedziała spokojnie Mary.

- Justinie, jestem pewna, że się mylisz - poparła ją lady Sarah.

- Wystrychnęła cię na dudka tak samo jak mnie! - zaatakował teraz siostrę i zamilkł. Mary obserwowała, jak nerwowo drga mięsień jego policzka. Kiedy się znowu odezwał, zrobił to spokojnym, opanowanym głosem.

- Wracaj do Gussie, Sarah. Powiedz Blanchardowi, że ma was obie wywieźć bezwzględnie z Brukseli. A co do ciebie... - zwrócił się do Mary - ...radziłbym, aby pani wyjechała z miasta, zanim powrócę.

Odszedł wyprostowany jak struna i z wysoko uniesioną głową.

Sarah dotknęła ramienia Mary.

- O co poszło? Co się stało?

- On myśli... - Mary zakryła dłonią usta, bo zrobiło się jej niedobrze - ...on myśli, że ukradłam jego szablę. Tę, którą zawsze bierze na wojnę.

- Szablę Latymorów? Ale po co?

- Bo to talizman.

- Przecież Randall nigdy nie wierzył w takie rzeczy.

- Nie, ale uwierzył, że go zdradziłam. - Mary nie mogła dłużej powstrzymać łez. - Idę do domu. Muszę znaleźć dorożkę.

- Odwiozę cię.

- Nie, dziękuję. Randall nie życzy sobie, żebyś utrzymywała naszą znajomość.

- Bzdura! - Sarah objęła Mary ramieniem. - Nie martw się, kiedy Justin ochłonie, zrozumie, że to nie ty wzięłaś tę jego głupią szablę. Robbins zapodział ją gdzieś. Moja pokojówka zawsze coś gubi, a potem to znajduje. Zobaczysz, że on wróci i będzie cię błagał o przebaczenie. Stanie się to szybciej, niż myślisz.

Mary wiedziała, że tak nie będzie. Randall nigdy nie wracał i nie przeproszał. Sam jej to powiedział. W milczeniu pozwoliła wyprowadzić się z sali balowej, narzuciła okrycie i nie odezwała się ani słowem podczas drogi powrotnej na Rue Haute. Nie mogła pogodzić się z niesprawiedliwością, jaka ją spotkała, ale w jej sercu gościło jeszcze większe zmartwienie, którym nie potrafiła z nikim się podzielić, zwłaszcza z lady Sarah.

Co z nią będzie, jeśli Randall nie wróci z wojny?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed domem czekał stajenny z koniem. Randall wskoczył na siodło. Co za ulga znaleźć się na grzbiecie wielkiego siwka i jechać przez spowite w ciemnościach miasto. Mógł wreszcie przestać myśleć o zdradzie Mary. Dostyc, powiedział sobie w duchu. Czas skoncentrować się na obowiązkach. Kiedy wyjeżdżał z Brukseli, wszędzie trąbiono na pobudkę. Jechał wolno, gdyż na drodze panował wielki chaos. Pomiedzy kolumnami maszerujących żołnierzy przeciskali się tam i z powrotem oficerowie i adiutanci z najświeższymi rozkazami księcia. Frustrację Randalla pogłębiał fakt, że kolejne rozkazy były ze sobą sprzeczne. Po przybyciu do Quatre Bras stwierdził, że jego oddział spóźnił się z zajęciem wyznaczonych mu tam pozycji.

Następnego ranka zamieszanie pogłębiło się, kiedy otrzymali rozkaz wycofania się z Quatre Bras i przemieszczenia się do Genappe. Baterie Flinta i Bartletta wyruszyły posłusznie pod ołowianym niebem, ale wśród ludzi Sheffielda doszło do wybuchu niezadowolenia, co opóźniło wymarsz. Sheffield był najmniej doświadczonym spośród jego oficerów i mógł potrzebować wsparcia, Randall jednak musiał zostawić go samemu sobie, bowiem został wezwany w trybie pilnym do sztabu.

Godzinę później galopem na przełaj przez pola gonił Sheffielda. Wyjechał z powrotem na drogę wychodzącą z małego miasteczka, na której spodziewał się spotkać jego baterie, ale ich tam nie było. Widocznie nie wyszły jeszcze spod zabudowań. Z niepokojem patrzył na ciężkie chmury. Deszcz znacznie opóźnił postęp artylerii, gdyż drogi po ulewie pokryją się błotnistą mazią.

Gdzie, do diabła, utknął Sheffield? – zaklął w duchu Randall, zawrócił konia i pogalopował do miasteczka. Dotarł do kwadratowego placu. Tam przed jego oczami roztoczył się przerażający obraz chaotycznej potyczki między brytyjską kawalerią a francuskimi szaserami. Szczękały szable, podkowy końskie dzwoniły o kamienny bruk. Lawety z armatami Sheffielda stały zablokowane w wąskiej bocznej uliczce wiodącej na plac. W gąszczu walczących Randall dostrzegł Benningtona Ffoga. Gideona przy nim nie było.

Randall pogalopował ku zakorkowanej w uliczce artylerii. Sheffielda nie było widać, artylerzystami komenderował oficer kawalerii. Randall rozpoznał go – Gideon.

– Co się tu, do jasnej cholery, dzieje? – wrzasnął.

– Lord Uxbridge rozkazał artylerii jechać za nim przez miasteczko, ale na rynku natknęliśmy się na Francuzów. Czekali na nas. Sheffield nie żyje. Trzeba wycofać te działa z uliczki. Rozkazałem zdjąć je z lawet, bo inaczej nie da się zawrócić. Cholernie tu wąsko.

– Masz rację – zaakceptował decyzję Randall. – To jedyny sposób. Gdzie jest Uxbridge?

– Odjechał. Mam nadzieję, że sprowadzi posiłki.

– Postarajmy się utrzymać Francuzów na dystans, podczas gdy będą zawracali działa.

Ustawili się jeden obok drugiego u wjazdu w uliczkę, gotowi do zatrzymania Francuzów. Na placu angielscy huzarzy walczyli dzielnie, ale co jakiś czas kilku szaserów wyrywało się i próbowało zaatakować artylerzystów. Randall i Gideon radzili sobie z nimi bez trudu, podczas gdy za ich plecami artylerzyści gorączkowo zawracali lawety i zaprzęgi końskie. Randall walczył paradną szablą, która sprawowała się całkiem nieźle, chociaż nigdy wcześniej nie używał jej do walki. Spojrzał na Gideona i zobaczył, że nie walczy zakrzywioną szablą kawaleryjską, ale inną, prostą – szablą Latymorów. I dlaczego dowodził artylerią? Musiał porzucić rozważania, bowiem szarżowało na nich czterech kolejnych szaserów.

W końcu działa znalazły się z powrotem na lawetach i zaczął się odwrót. W samą porę, gdyż Francuzi natarli liczniejszą grupą w uliczkę. Randall utracił Gideona z oczu, po chwili jednak dostrzegł go ponownie. Brat zsiadł z konia i pomagał wstać leżącemu na ziemi bombardierowi. Randall krzyknął do niego, żeby mu uzmysłowił, że jego koń ucieka, podążając za zaprzęgiem artyleryjskim. Na tym musiał poprzestać, albowiem został zaatakowany przez kolejnych Francuzów. Uliczka była tak wąska, że atakować mogło jednocześnie tylko dwóch jeźdźców. Jednak po wyeliminowaniu jednego, jego miejsce zajmował kolejny. Randall zagradzał swoim koniem środek uliczki i walczył z wielką zaciętością, ale sam nie mógł powstrzymać atakujących. Co najmniej dwóm udało się go wyminąć, ale zostali strąceni z koni przez Gideona, który posługiwał się szablą Latymorów z zabójczą skutecznością.

Francuzi atakowali niezmordowanie. Randallowi mdało ramię z przemęczenia, kiedy usłyszał znajomy dźwięk trąbki. Nadjeżdżali brytyjscy kawalerzyści. Francuzi byli w kłopotcie i Randall mógł sobie wreszcie pozwolić na odpoczynek. Zaczął padać deszcz, na który zbierało się od rana. Cichy, drobny deszczyk.

Spojrzał za siebie. W głębi uliczki zniknęły ostatnie działa. Za nimi galopowały francuskie konie bez jeźdźców, którzy leżeli martwi na bruku. Gideon klęczał ze spuszczoną głową i szablą w dłoni. Randall zeskoczył z siodła i zbliżył się do brata.

- Połóż się. - Podłożył bratu ramię pod plecy. Wprawnym okiem starał się ocenić, na ile rana jest poważna. Lewe ramię Gideona było rozplątane do kości. Na czerwonym, poszarpanym na strzępki mundurze zaczynały wykwitać ciemne plamy krwi.

- Uratowaliśmy działa? - zapytał Gideon.

Każde słowo przychodziło mu z trudem.

- Tak, uratowaliśmy. Dzięki tobie, bracie. - Randall zaczął rozpinać żakiet Gideona i modlił się, żeby rana nie okazała się śmiertelna.

- Dobrze. Ludzie wpadli w panikę, kiedy zginął Sheffield i nie wiedzieli, co robić... Nie taka prosta sprawa ta wojaczka. - Uśmiechnął się i jęknął.

- Faktycznie. Staraj się jak najmniej mówić.

Koszula pod żakiem była przesiąknięta krwią. Z każdą sekundą z Gideona uchodziło życie. Randall bezradnie popatrzył w jedną i w drugą stronę uliczki. Artylerzyści zniknęli, a kawalerzyści dobijali Francuzów na placu. Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc, choć rzęzący oddech brata świadczył o tym, że nic już nie można było zrobić.

- Robi się ciemno - wyszeptał Gideon.

- To z powodu deszczu. Chmury są bardzo nisko - skłamał.

- Nie pomógł mi twój talizman. Zabrałem ją... - prawą ręką uniósł szablę kilka centymetrów nad ziemię - ...kiedy jedliśmy w czwartek kolację. Ukryłem pod surdu-tem. Myślałem, że nie pójdiesz na wojnę bez niej. Głupiec ze mnie.

- Tak, beznadziejny głupiec.

- Zrobiłem to dla mamy. Ona się starzeje. Sama nigdy ci tego nie powie, ale potrzebuje ciebie w Chalfont.

- Wrócę do Chalfont, kiedy się to skończy. A ty trzymaj się, zaraz sprowadzimy ci doktora.

- Nie zdążycie. - Głos Gideona słabł. - Krwawa jatka ta wojna.

Randall nie odpowiedział. Miał ściśnięte gardło.

- Jesteś, Justinie? - zaniepokoił się Gideon; patrzył, ale nic nie widział.

- Jestem.

- Nieźle się spisałem, co?

- Spisałeś się bardzo dobrze. Jestem z ciebie dumny, bracie.

- Dobrze... - Gideon uspokoił się.

Randall zaklął pod nosem.

- Gdzie są wszyscy, do cholery?

- Dla mnie za późno. Powiedz Sarah, że dobrze się spisałem.

Gideon opuścił bezsilnie głowę w bok, jakby miał zasnąć. Niebo rozdarła błyskawica, po niej powietrzem wstrząsnął grzmot. Drobnny deszczyk zmienił się w ulewę, zmywał krew i brud z młodej twarzy Gideona.

- Nie martw się. Powiem jej, że może być z ciebie bardzo dumna.

Poprzez dudnienie deszczu o bruk Randall usłyszał ludzkie głosy. Przybył Flint z kilkoma ludźmi. Randall delikatnie położył Gideona na ziemi i wstał.

- Cholerny deszcz zalewa oczy - warknął w stronę Flinta.

Po niebie przetoczył się kolejny błysk, a za nim grzmot. Uniesionym głosem, żeby przekrzyczeć burzę, Randall wydawał polecenie Flintowi, by zajął się ciałem. Kiedy skończył, podszedł do swojego konia, dosiadł go i nie oglądając się za siebie, ruszył w głąb uliczki śladem artylerii.

Gideon miał rację. Krwawa jatka ta przeklęta wojna.

Randall nie miał czasu rozmyślać nad tym, co usłyszał od Gideona, i mógł tylko żałować ponieważ, że tak okrutnie i niesprawiedliwie potraktował Mary.

Jego oddział musiał wycofać się do Genappe. Tam zmył głowę Rawlinsowi za przekazanie baterii Sheffielda pod rozkazy oficera kawalerii, i więcej do tego incydentu nie wracał. W pewnym momencie na drodze spotkali główny korpus kawalerii przemieszczającej się w tym samym kierunku co oni. Od oddziału oderwał się Bennington Ffog i przygaloł do Randalla.

- Pułkowniku, przykro mi z powodu pańskiej straty. Pański brat zapowiadał się na znakomitego oficera.

Przyjął te słowa skinieniem głowy, nie zdobyłby się teraz na uprzejmą odpowiedź. Ffog na tym jednak nie poprzestał.

- Umarł jak bohater. Chociaż nie musiał. Mówiłem mu, żeby podążył za Uxbridge'em, ale on został i uratował pańskie działa. Dopilnuję, żeby Wellington się o tym dowiedział.

Tego było Randallowi za wiele i odparł zimno:

- Gdyby Uxbridge wykonał wydane mu rozkazy, mój brat mógłby teraz żyć, pułkowniku.

- Co? No tak, oczywiście. Nie zatrzymuję pana. Zapewne zechce pan zająć się swoimi ludźmi przed nocą. - Bennington Ffog zasalutował i odjechał.

- A ten czego chciał?

Randall nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że pytał Flint. Jego opryskliwy ton odpowiadał nastrojowi Randalla.

- Oferował kondolencje - powiedział. - Od ciebie mógłbym oczekiwać tego samego. Skąd się tu wzięłeś?

- Baterie Bartletta i moje są już przygotowane do postoju za rogatekami na przedmieściach Genappe. Wróciłem, bo chciałem odnaleźć Rawlinsa i pokazać mu objazd, aby mu oszczędzić trudu przebijania się przez rynek kolejnego miasteczka.

- Doskonale. Znajdźmy porucznika.

Zawrócił. Randall zauważył, że jego przyrodni brat trzymał bezpieczny dystans za jego plecami. Cecha Latymorów, pomyślał ponuro. Ostrożność. On też ją miał. A Gideon? Młodszemu bratu jej brakowało, był po prostu lekkomyślny.

- Wysunęli się znowu do przodu z Uxbridge'em. Natknęli się na Rawlinsa i jego ludzi usiłujących zawrócić działa.

- I biedny głupiec zapragnął chwili sławy.

- Miał szablę Latymorów. Musiał ją wynieść z mojej kwatery, kiedy przyjechał na kolację w czwartek.

- Nasi ludzie zauważyli, że pan jej wczoraj nie miał. A to pański talizman...

- Nie ma większej magicznej mocy niż kawałek drewna.

Gorzej, sprawiła, że utracił Mary.

- Z całym szacunkiem, pułkowniku...

Randall zmarszczył brwi. Flint nigdy nie okazywał mu przesadnego szacunku.

- To nieważne, co pan i ja wiemy. Ważne, co ludzie myślą. Założyłbym się, że to z powodu braku szabli Rawlins i jego ludzie spanikowali, kiedy padł Sheffield. I dlatego tak ochoczo poddali się rozkazom majora Latymora.

- Więc znowu ją przytroczyłem. - Randall uderzył się w bok. - Upewnij się, żeby ludzie się o tym dowiedzieli.

Popędził konia do galopu. Przeklęty Flint miał rację, ale nie umniejszało to bohaterstwa Gideona. Gdyby się tam nie znalazł, Bóg wie, co stałoby się z działami. A na Rawlinsa trzeba mieć oko dopóty, dopóki nie znajdzie się inny dowódca. Nie będzie to łatwe, bo jego artylerzyści zasłużenie cieszą się jak najgorszą opinią, ale pod odpowiednim dowództwem potrafią być tak samo dobrzy jak inne oddziały armii Wellingtona.

Następny ranek zastał artylerię Randalla na zajmowaniu pozycji na wzniesieniu dominującym nad drogą do Nivelles, gdzie już rozlokował się czworobok. Spoglądając w dół na porośnięte zbożem zbocze wzniesienia, Randall zauważył, że roi się od Francuzów, którzy wycofywali się pod niszczycielskim ogniem nacierających na nich strzelców. Nie trzeba było jednak długo czekać na to, by pozycje oddziału Randalla stały się celem ognia nieprzyjacielskiej artylerii przeciwległego wzniesienia.

- Pokażcie im, co potraficie, chłopaki! - ryknął do swoich żołnierzy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z zamkniętymi oczami leżała w łóżku. Nie spała, śniła na jawie. Tańczyła w ramionach Randalla, a on uśmiechał się do niej i patrzył na nią z miłością. Sen pierzchnął i wróciła pamięć. Jeżeli kiedykolwiek ją kochał, trwało to bardzo krótko.

Upłynęły dwie noce od owego nieszczęsnego wieczoru na balu u księżnej Richmond, a ona nie miała żadnych wieści o Randallu. Wróciła na Rue Haute zbyt wstrząśnięta doznaną niesprawiedliwością, by płakać. Najbardziej bolesne było to, że tak mało ją znał i tak mało jej ufał.

Następnego ranka po balu w mieście, w którym nocą panował nieopisany zamęt, było przeraźliwie cicho. Żadnych dźwięków trąbki, żadnego dudnienia o bruk kopyt końskich czy butów maszerujących oddziałów piechoty. Przez cały dzień bezskutecznie usiłowała znaleźć sobie miejsce. Randall opuścił Brukselę i nigdy już się nie zobaczy. Nie pożegnali się czułymi słowami i spojrzeniami, które mogłyby pozostać we wspomnieniach. Rozstali się w gniewie.

- Nie zrobiłam nic złego.

Powtarzała na głos te słowa wielokrotnie podczas owego niekończącego się piątku po balu, snując się bez celu po opustoszałym domu. Jacques i Therèse, która wróciła z Antwerpii, przynosili jej najświeższe plotki, którymi żyło miasto. Najpierw twierdzili, że Francuzi zostali odparci, potem że Brytyjczycy zostali rozbici w puch. Mary przyjmowała je obojętnie. Po kolacji kazała Jacques'owi pozamykać okiennice i położyła się. Ale nie mogła zasnąć. Drugą noc z rzędu przez długie godziny przewracała się z boku na bok, zapadając w krótkie drzemki, w których nawiedzał ją Randall, taki jakiego chciała zapamiętać - uśmiechnięty i kochający. O świcie wróciła rzeczywistość, a wraz z nią ból.

Do pokoju zapukała służąca.

- Przyniosłam panience gorącą czekoladę. Dobrze panienka spała?

- Dobrze - skłamała Mary.

- Jacques wyszedł wcześniej do miasta dowiedzieć się czegoś. Odgłosy kanonady artyleryjskiej, które słyszeliśmy wczoraj, pochodziły z Quatre Bras. Anglicy uciekają z Brukseli. Może chce pani, żebyśmy spakowała kufry?

„Radziłbym ci nie być w Brukseli, kiedy wrócę”.

Ostatnie słowa Randalla wryły się głęboko w pamięć Mary, ale ona nie zamierzała uciekać.

- Nie wyjeżdżam. Ty i Jacques chcielibyście wyjechać?

- Skądże, panienko. W Brukseli jest nasze miejsce.

- A jeśli miasto zajmą Francuzi?

- Już tu kiedyś byli. Francuzi, Brytyjczycy, co za różnica. Przeżyjemy to.

- W takim razie ja też.

- Pani byłaby bezpieczniejsza w Antwerpii.

Mary chciała krzyczeć, że jest jej wszystko jedno, co się z nią stanie, ale uznała,

że byłoby to głupie. Kiedy z Tamizy wyłowiono ciało jej siostry, Mary pomstowała na nią, że się poddała. Teraz może znalazłaby więcej zrozumienia dla biednej Jane, choć nie zamierzała iść w jej ślady. Nie załamie się.

- Zostanę dopóty, dopóki nie uzyskamy wiarygodnych informacji o sytuacji na froncie.

I o Randallu. Chciałaby usłyszeć, że jest bezpieczny.

Wstała z łóżka. Musi wydobyć się z tego letargu. Jest wiele do zrobienia. Na dole czekał Jacques. Był zmartwiony.

- Ludzie mówią, że Francuzi wejdą do miasta. Powinna pani wyjechać. Jeśli dowiedzą się, że jest pani Angielką...

- Zostaję. To tylko plotki. Nie wierzę w nie. - A jeśli to prawda? Może rzeczywiście powinna jak najszybciej wyjechać? - Na wszelki wypadek przyprowadź mojego konia ze stajni i umieść go w szopie w naszym ogrodzie. Teraz, kiedy wszyscy uciekają, nie byłabym zdziwiona, gdyby ktoś go sobie wypożyczył bez naszej wiedzy.

Jacques pospieszył po konia, Mary zaś poszła do bawialni. Leżała tam na biurku sterta listów, w tym trzy od oburzonych rodziców jej uczennic, którzy zdążyli dowiedzieć się o jej zachowaniu na balu księżnej i zawiadamiają, że wypisują swoje córki z jej szkoły. Mary nie była zdziwiona. Mogło się już rozejść po całej Brukseli, że została kochanką hrabiego Randalla. To, co uchodziłoby zapewne damie z wyższych sfer, było godne potępienia w przypadku skromnej nauczycielki. Zapewne będzie zmuszona zamknąć szkołę i wystawić na sprzedaż dom w Brukseli, choć zapewne niełatwo będzie znaleźć kupca.

A co potem? Miała niewielkie oszczędności, dość, by przeżyć przez jakiś czas, dopóki ludzie o niej nie zapomną. A potem otworzy nową szkołę. Może w Paryżu. Jej francuski był nienaganny i zapewne znajdą się starzy przyjaciele ojca, którzy zechcą jej pomóc. Albo w Anglii. Na północy, jak najdalej od dóbr Randalla. A zresztą co za różnica gdzie, pomyślała.

Na papier kapnęła łza. Mary otarła oczy dłonią.

- Nie roztkliwaj się nad sobą - przywołała się do porządku. - Melancholia minie i będziesz żałowała, że nie zabezpieczyłaś przyszłości.

Na dźwięk kołatki uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać odgłosów z holu. Serce zaabiło jej mocniej. Randall?

Otarła szybko łzy, wstała, obciągnęła spódnice.

- Och... Bertrandzie... Dzień dobry.

Bertrand Lebbecke, nawet jeśli zauważył jej rozczarowanie, nie dał niczego po sobie poznać.

- Wracam ze szpitala. Zauważyłem, że budynek szkoły jest pusty. Do tej pory powinno pani już nie być w Brukseli, Mary.

- Jak pan widzi, wciąż tu jestem. Wysłałam uczennice do Antwerpii. Szkoła działa tam beze mnie. - Poprosiła go, żeby usiadł. - Jakies wieści? Prawdziwe, a nie plotki, które ciągle znosi do domu Jacques.

- Francuzi wciąż jeszcze nie stoją u bram. - Uśmiechnął się nieznacznie.

- Wczorajszy dzień przyniósł jakiś przełom?

- Nie sądzę. - Pokręcił głową. - Sojusznicy walczyli dzielnie, mimo że artyleria nie dotarła na czas, żeby ich wesprzeć.

Więc Randall wczoraj nie walczył. Był bezpieczny. Mary doznała tak wielkiej ulgi, że z trudem skupiła się na następnych słowach Bertranda.

- Do Brukseli są zwożeni ranni żołnierze. Szpital jest już ich pełny. Pracowaliśmy przez całą noc, a rannych wymagających naszej opieki wciąż przybywa. - Mary dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest zmęczony. - Wielu jest opatrywanych na ulicach. Burmistrz zaapelował o przynoszenie do szpitali pościeli, żywności, materiałów opatrunkowych, wszystkiego, co ludziom zbywa. Potrzebne jest dosłownie wszystko.

- Nie wiedziałam, nie wychodziłam z domu od ostatniego czwartku - powiedziała tonem usprawiedliwienia Mary. - Mógłby pan wykorzystać ten dom, jeśli panu odpowiada. Sypialnie są puste, łóżka gotowe do użytku. Pomieściłoby się kilkunastu rannych, może nawet więcej.

- Poważnie? - rozjaśniła mu się twarz. - To byłoby coś wspaniałego.

- Więc niech pan korzysta. - W Mary wstąpiła energia. Była zadowolona, że zyska zajęcie. - Usuniemy z Therèse i Jacques'em wszystkie przedmioty należące do uczennic, jakie pozostały w sypialniach.

- Bardzo to miło z pani strony. A kiedy spodziewa się pani powrotu uczennic?

- Nie wrócą. Zamykam szkołę.

- Ach, tak. Wychodzi pani za mąż za lorda Randalla?

- Nie, nie ma o tym mowy. - Nie miała odwagi popatrzeć mu w oczy, podeszła do biurka i zaczęła porządkować przybory do pisania. - Postanowiłam przenieść się stąd po wojnie.

- Więc zerwaliście ze sobą, pani i angielski milord?

- Na litość boską, o czym pan mówi? To nigdy nie było na poważnie.

- Ale... mówiono mi, że pani i on... w czwartek w nocy...

- Tak... - Przerwała mu. - To była... lekkomyślność. Dlatego muszę zamknąć szkołę. Nie zachowałam się tak, jak powinnam.

- Mary, tak mi przykro. - Zbliżył się i chwycił jej dłoń.

- Nie, Bertrandzie, niech się pan nade mną nie użala. Wiedziałam, co robię. Postąpiłam niemądrze i muszę wyjechać.

- Nie musi pani. Może pani zostać i wyjść za mnie. Uczynię z pani... jak to wy, Anglicy, powiadacie... uczynię z pani uczciwą kobietę.

- Bardzo pan łaskawy, Bertrandzie, ale dziękuję, nie trzeba.

- Dlatego że pani radykalnie postępowe poglądy na to nie pozwalają?

Pokręciła głową. Była gotowa wyrzec się swoich poglądów, żeby wyjść za Randalla, i ją samą zaskoczyło, jak łatwo jej to przyszło. Takiej gotowości w sobie nie znalazłaby, gdy w grę wchodziło poślubienie Bertranda.

- Dlatego że pana nie kocham. Nie mogę wyjść za mąż bez miłości.

Ani zaufania. Sama miłość nie wystarczy. Nie może wyjść za kogoś, kto nie darzy jej zaufaniem.

- Oczywiście. - Wypuścił jej dłoń i odsunął się. - Kiedy pani wyjedzie?

- Nie wiem. Kiedy uporządkuję swoje sprawy albo skończy się ta wojna. Tymczasem niech pan przywiezie swoich rannych żołnierzy do mojego domu. Będziemy ich pielęgnowali, jak potrafimy najlepiej.

- Jestem o tym przekonany. Dziękuję, Mary. I niech pani pamięta, że w razie po-

trzeby zawsze może pani na mnie liczyć.

Skłonił się i wyszedł. Mary była mu wdzięczna za wyrozumiałość.

W ciągu kilku godzin dom zapełnił się rannymi. Mary starała się zapamiętać instrukcje sanitariuszy dotyczące ich pielęgnowania. Na zewnątrz objawiała spokój i powściągliwość, jednak w jej duszy szalał strach, nie o nią, lecz o Randalla. Brak wieści był nie do zniesienia. W głowie zadawała sobie wciąż dwa pytania: czy zginął i czy nie leży gdzieś ranny i się wykrwawia?

Całą swoją energię skierowała na wymagających opieki żołnierzy. Była to praca niemająca końca. Na miejsce opróżnione przez tych, którzy po opatrzeniu ran mogli opuścić prowizoryczny szpital lub nie przeżyli, pojawiali się następni. Kiedy Mary kładła się późnym wieczorem spać, była tak wyczerpana, że nawet dudnienie deszczu o okiennice nie przeszkadzało jej zasnąć.

Rano niepokój o Randalla dopadł ją na nowo. Ubrała się machinalnie. Pracy tego dnia było trochę mniej, bo wróciły zwolnione z powodu wyjazdu uczennic nauczycielki i pomagały w pielęgnacji rannych.

Późnym rankiem przyszedł Bertrand i zastał Mary szykującą się do wyjścia. Żartował z niej, kiedy mu powiedziała, dokąd się wybiera.

- Pani idzie do kościoła? Wiem, że musiała pani chodzić do kościoła z uczennicami, ale myślałem, że sama pani w takie rzeczy nie wierzy.

- W obecnej sytuacji szukam pomocy wszędzie - odparła szczerze. Zdziwiłby się, gdyby wiedział, jak żarliwie modli się o zdrowie Randalla. - Prawdę powiedziawszy, liczę też na zdobycie jakichś wiarygodnych informacji.

- Życzę zatem powodzenia, *ma chère*.

Na ulicach było tłoczno. Jezdniami sunęły transporty wojskowe. W eleganckiej dzielnicy, zamieszkaney przez Anglików, stały rzędy karet podróżnych gotowych do odjazdu. Mary poszła na Rue de Regence i tam dowiedziała się, że lady Sarah z siostrą wyjechały do Antwerpii.

W pewnej chwili usłyszała grzmot. Spojrzała w niebo, było błękitne i czyste. Kiedy rozległy się kolejne - drugi, trzeci i czwarty - zrozumiała. To dźwięk kanonady armatniej. Zawróciła pośpiesznie do domu. Zaczęła się bitwa o Brukselę.

Randall przetarł brudnym rękawem oczy. Tak właśnie wyobrażał sobie piekło. Było potwornie gorąco, kule świstały, ciała zabitych zaścielały ziemię, a pozostali przy życiu z zaciekłą determinacją na osmolonych twarzach odpalali kolejne salwy. Właśnie miał wysłać kogoś na rozpoznanie sytuacji, gdy przygalopował adiutant Wellingtona i wykrzyczał jednym tchem rozkazy.

Mieli zmienić pozycje. Randall podjechał do majora Bartletta, którego od stóp do głów pokrywało błoto.

- Przenosimy się na tamto wzgórze. - Wskazał kierunek. - Pamiętajcie, przyszlizmy stamtąd przez tę miejscowość... Jakże się ona nazywała? Hougoumont... Francuzi koncentrują ciężką jazdę pomiędzy *château* a drogą do Charleroi. Zajmijcie pozycje między dwoma czworobokami piechoty. Szybko.

Wydał rozkaz i nie pozostawało mu nic innego, jak patrzeć, jak jest wykonywany. Musiał oddać majorowi Bartlettowi sprawiedliwość, że przekształcił swój oddział

w bardzo skuteczną siłę bojową. Szkoda, że był takim libertynem. Widocznie nie spotkał jeszcze odpowiedniej kobiety...

A on? Kiedy zaczął myśleć, że mężczyzna może się tak radykalnie zmienić? Znał oczywiście odpowiedź. To zasługa Mary. Sposepniał. Jak się jej wytłumaczy, jeśli przeżyje to piekło? I czy ona zechce go wysłuchać?

Lawety mozolnie toczyły się przez podmokłe pole w górę łagodnego stoku wzgórza. Randall z uznaniem myślał o swoich żołnierzach-zabijakach. Nigdy nie zawiedli go. Mary też nie, ale jeśli ta rzeź potrwa dłużej, on może nie dożyć, by jej to powiedzieć.

Na wzgórzu Flint i Bartlett dołączyli do niego. Żołnierze zaczęli ustawiać działa na pozycjach strzeleckich. Wokół grzmiała kanonada, po polach przetaczały się tumany gęstego dymu. Biegająca grzbietem wzgórza droga dawała im pewną osłonę, lecz za nią znajdowała się otwarta przestrzeń i kiedy dym unosił się na przeciwnym wzniesieniu, widać było ciemną masę francuskiej jazdy.

- Przejadą się po nas - powiedział i gwizdnął Flint.

Jak gdyby na potwierdzenie jego przepowiedni ze świstem przeleciała między nimi kula armatnia i utknęła w grząskim gruncie, opryskując ich błotem. Tym razem tylko błotem.

- Wracajcie do swoich ludzi - odparł jedynie Randall.

Nie wątpił ani w swoich żołnierzy, ani w oficerów. Stawia czoło temu wyzwaniu tak samo, jak wszystkim innym do tej pory.

Zawrócił w dół zbocza, żeby ponaglić maruderów. Po powrocie na grzbiet przyjrzał się sytuacji czworoboków piechoty po obu stronach pozycji jego baterii. Były poddane nieustannemu ostrzałowi i kurczyły się w miarę tego, jak rosły wśród nich ofiary. Rannych wciągano do środka, zabitych usuwano na zewnątrz, a sierżanci uwijali się, nawołując do zamykania boków.

Widział pobladłe, przerażone twarze tych żołnierzy. Byli jeszcze niemal chłopcami, zapewne nie dość wyszkolonymi. Rozkazem księcia podczas szarży kawaleryjskiej jego ludzie mieli się schronić wewnątrz czworoboków, lecz Randall wiedział, że jeśli artylerzyści porzucą stanowiska przy działach i pobiegną szukać schronienia wewnątrz czworoboków, zapoczątkuje to panikę i czworoboki rozpadną się. Randall zauważył, z jaką nadzieją patrzą na niego żołnierze piechoty, i modlił się w duchu, by sąsiedztwo artylerzystów podniosło ich morale.

Pierwszym, który ustawił na wzgórzu swoje ciężkie działa, był Bartlett. Ledwo jego ludzie się z tym uporali, ruszyła kłusem francuska jazda.

- Spokojnie, chłopaki - krzyknął Randall.

Tymczasem Flint również meldował gotowość. Nawet Rawlins zdobył się na chwalebny pośpiech. W ciągu kilku sekund każde z wielkich dział odpaliło pierwszą salwę. Kule przeleciały nisko nad drogą i trafiły w przodowników zbliżającej się kawalerii. Gęsta masa zwolniła, lecz nie zatrzymała się. Jeźdźcy tratowali lub objeżdżali powalonych kolegów. Randall mógł już rozpoznać ich błękitne mundury. Wyssokie czapy na głowach sprawiały, że na koniach wyglądali na gigantów.

- Dobry Boże, stratują nas - krzyknął ktoś za plecami Randalla.

- Zabijaków Randalla nie stratują! - odkrzyknął Bartlett. - Zawsze zwycięzcy!

- Zawsze! - ryknął Randall i uniósł w górę wyciągniętą z pochwy szablę. - *Sem-*

per Laurifer! Gotowi... ognia!

Spuścił ramię, w ostrzu odbił się nagły błysk słońca. Ogłuszający huk dział wstrząsnął ziemią. Randall czekał z szablą w dłoni, gotowy do walki na śmierć i życie z szarżującymi na nich kawalerzystami. Wyczuł raczej, niż dostrzegł, moment zawahania w nacierającej masie i w ostatniej chwili przodownicy zmienili kierunek. Ale nie wszyscy jeźdźcy mogli za nimi podążyć. Ci, którzy utracili kontrolę nad oszalałymi od huku lub rannymi końmi, szarżowali prosto na linię artylerii, lecz nawet nie próbowali atakować obsługi dział i wkrótce znaleźli się na tyłach.

Dym osłaniał wszystko. Artylerzyści wyglądali jak duchy. Ładowali i odpalali kolejne śmiercionośne salwy. Gdy dym uniósł się na chwilę, Randall popatrzył, co się dzieje po drugiej stronie drogi. Francuzi zbici w gęstą masę nie postępowali. Na ich tyły napierały kolumny piechoty, oni zaś desperacko próbowali uciec spod nieustającej nawały ognia artylerii, która siała spustoszenie w ich szeregach.

Randallowi długo jeszcze dzwoniło w uszach, chociaż działa umilkły po załamaniu się ataku nieprzyjaciela. Słyszał okrzyki radości z mocno zredukowanych czworoboków piechoty, ale radość nie trwała długo. Na przestrzeni opuszczonej przez jazdę pojawili się harcownicy i zaczęli ostrzeliwać zbocze. I znowu lekko wyniesiona nad terenem droga osłaniała od ognia, ale niektóre strzały dosięgały celu. Sierzanci znowu mieli co robić, żeby pilnować zamykania kurczących się czworoboków. Bardziej doświadczeni żołnierze Randalla zaczęli przygotowywać działa do odpalenia kolejnych salw, a na latające w powietrzu kule zwracali nie więcej uwagi niż na dokuczliwe insekty. Gdy któryś padał trafiony, koledzy odciągali go na tyły. Randall wiedział, że z ochotą odpłaciliby pięknym za nadobne, lecz nie mogli marnować amunicji, gdyż jazda mogła zaszarżować ponownie w każdej chwili.

Randall wysunął się przed linię dział i przejechał kłusem przed swoimi ludźmi. Może to i było nierozsądne tak wystawiać się na kule, ale znał stare powiedzenie „im bliżej cel, tym łatwiej spudłować”. Koń parsknął, ale nie odmawiał posłuszeństwa. Był zaprawiony na wojnie i nie zwracał uwagi na odgłosy strzelaniny. Kule świstały blisko, jedna drasnęła Randalla w ramię, rozrywając rękaw munduru, druga przeleciała tak blisko policzka, że poczuł wywołany jej lotem ruch powietrza, ale on nadal jechał. Jego spokój udzielał się artylerzystom.

Francuska kawaleria zbierała się do kolejnej szarży. Harcownicy opuszczali pole. Ponieważ trawa i zboże były stratowane podczas pierwszego ataku, łatwo było wysledzić, dokąd się wycofywali. Wybrali sobie jako schronienie starą stodołę. Randall zauważył, że znajdowała się w zasięgu jego dział. Postanowił, że każe Rawlinsowi wycelować w tamtą stronę jedną dziewięciofuntówkę, ale później. Teraz stało przed nimi pilniejsze zadanie.

- Wracają, chłopaki - zawołał. - Nie spieszcie się, nie marnujmy kul.

- Ani nam w głowie. Jeszcze pan nie zna swoich zabijaków, pułkowniku? - odkrzyknął jeden z bombardierów.

Randall wykrzywił w uśmiechu usta. Nie odrywał wzroku od zbliżającej się jazdy. Atakowali wielką zwartą masą, tak wielką, że nie było widać końca ich kolumn. Uderzająca była cisza, z jaką się zbliżali. Nie wydawali żadnych okrzyków, posuwali się naprzód z nieubłaganą determinacją. Ziemia dudniła pod kopytami koni. Przypo-

minało to odległą burzę z grzmotami, złowrogą, śmiertelnie niebezpieczną i nie do zatrzymania.

Randall obejrzał się na swoich. Byli gotowi do odpalenia salwy. Spojrzał na czworoboki piechoty. One także stały w gotowości, ale ze wzrokiem utkwionym w jego zabijaków. Cholera, pomyślał, jeśli my się załamamy, załamią się i oni.

Jazda była już tak blisko, że Randall widział rząd złotych guzików na mundurze prowadzącego do ataku oficera, a mimo to nie opuszczał szabli. Wiedział z doświadczenia, że pierwsza salwa decyduje o zwycięstwie albo o porażce. Napięcie było wyczuwalne. Ziemia drżała.

Osiemdziesiąt metrów, siedemdziesiąt. Kiedy odległość nie przekraczała więcej niż sześćdziesiąt metrów od końskiej i ludzkiej masy, opuścił ramię. Ryknęły działa, plunęły ogniem i dymem, śmiertelne kule posypały się na nieprzyjaciela. Pierwszy rząd jazdy padł, impet ataku osłabł. Kule siały spustoszenie w napierającej masie, ale szarża nie zatrzymała się. Sunęła nieubłaganie do przodu. Artylerzyści ładowali z dobrze wyćwiczoną skutecznością, działa odzywały się raz po raz, podczas gdy czworoboki piechoty strzelały do atakujących ogniem zaporowym.

Francuzi wciąż napierali, przeskakując nad zaścielającymi ziemię martwymi końmi i ludźmi, tylko po to by nadzieć się na paszczę dział. Randall wysunął się do przodu, chcąc przechwycić kawalerzystę szarżującego na załogę jednego z dział. Zauważył, że atak stracił impet. Wielu kawalerzystów wycofywało się. Tylne szeregi rozpięzchały się na boki, nie chcąc się nadzieć na śmiertelne salwy. W końcu Randall rozkazał wstrzymać ogień.

Gdy tylko wycofała się jazda, odezwała się francuska artyleria. Nieprzyjacielskie działa wstrzelały się w cel i zaczynały zasypywać gradem pocisków pozycje Randalla. Randall przegalopował wzdłuż swoich linii, żeby ocenić straty. Był przy armatach Bartletta, gdy powietrzem targnął huk eksplozji.

Zrobiło się czarno. Leżał ogłuszony na ziemi. Sam nie wiedział, jak udało mu się wysunąć nogi ze strzemion konia. Zerwał się i podbiegł do niego. Jego siwy koń był martwy.

- Nie męczył się, dzięki Bogu - usłyszał głos Bartletta.

Major miał osmoloną twarz jak kominiarz, przez co jego zielone oczy błyszcząły jak oczy kota. Randallowi przypomniała się inna para zielonych oczu. Należały do Mary i patrzyły nań ze zgrozą i niedowierzaniem, gdy miotał oskarżenia w jej stronę.

- Nic mi nie jest, majorze. A panu?

Charakterystyczne, że Bartlett nie wziął zapytania osobiście do siebie.

- Mamy parę strat. Evans stracił nogę. Oddaliśmy go w ręce chirurga. Mam nadzieję, że przeżyje. Gorący dzień... - Roześmiał się.

- Faktycznie - potwierdził Randall. - Zaraz znowu zaatakują. Na stanowisko, majorze!

Żołnierze wyczuli, że tym razem szarża nie ma tego zdecydowania co poprzednia. Zwietrzyli okazję do rozbicia nieprzyjaciela. Powitali go jeszcze bardziej zabójczą salwą. Szary dym zaścielił grubą powłoką szczyt wzgórza, w jego kłębach świeciły płonące fragmenty opadających na ziemię szczątków umundurowania. Randall nie widział czworoboków piechoty, słyszał tylko, że ostrzeliwują się, wzmagając hałas,

który i bez tego był tak ogłuszający, jakby ryczały naraz wszystkie uwolnione z piekła demony.

I nagle nieprzyjaciel zniknął. Wyglądając spoza kłębow dymu, Randall dostrzegł oddalających się pojedynczych kawalerzystów na odległym końcu drogi i zachrypniętym głosem wydał ostatni rozkaz.

Działa umilkły. Randalla dopadło zmęczenie. Drogą biegnącą grzbietem wzgórza nadjeżdżała grupa jeźdźców. Patrzył zaskoczony na mężczyznę na czele grupy. Znał go. Ten wydatny nos był jeszcze większy niż charakterystyczne nosy Latymorów! Książę Wellington. Randall zamknął oczy. Chwała Bogu, że zaprzestali ostrzału. Wódz miał ponurą minę, jechał wolno, ignorując resztki francuskiej jazdy wciąż błakające się po polu bitwy.

Ludzie Randalla, którzy też rozpoznali księcia, zaczęli wiwatować na jego cześć. Zaraz doszedł ich miarowy, chociaż cichy, warkot werbli. Odwrócił się. W tyle, zza pleców jego ludzi, nadchodziła cienką linią piechota. Przemaszerowała obok czworoboków i obok pozycji artyleryjskich, przecięła drogę i powoli schodziła w dół zbocza ku pozycjom nieprzyjaciela. Ostrzał francuskiej artylerii z przeciwległego wzniesienia wciąż trwał. Niektórzy padali trafieni, ale linia przesuwała się nieustannie naprzód, wzmocniona o tych, którzy przetrwali w czworobokach.

- Wygraliśmy - odezwał się głos zza ramienia Randalla.

- Tak, majorze Flint. Wygraliśmy. Ale jakim kosztem? - Randall zauważył zabłąkanego konia bez jeźdźcy i krzyknął, żeby mu go przyprowadzono.

- Wielkim, ale tego się spodziewaliśmy. Podobno Bartlett jest ranny, ale chyba niegroźnie.

- Ten to ma szczęście. - Na przyprowadzonego mu konia wskoczył nie bez trudności. Był poobijany po upadku i na udzie miał niewielką ranę. Przez rozerwane spodnie widział na skórze zaschniętą krew pomieszana z błotem. Rana przestała krwawić, mógł więc na razie ją zignorować.

- Powiedz ludziom, że dobrze się spisali.

- Woleliby to usłyszeć od pana, pułkownika.

- Powiem im, kiedy wrócę. - Wykręcił konia i odjechał.

Nawała artyleryjska ustała, toteż dym zaczynał się rozpraszać i Randallowi rozjaśniało się w głowie. Ostatnie spojrzenie na jego ludzi ujawniło rozmiary zniszczeń, jakich doznali. Ci, którzy przeżyli, leżeli wyczerpani na lawetach zbyt zmęczeni, by móc się ruszać. Randall wątpił, czy będą mieli dość koni, żeby ściągnąć z pozycji wszystkie działa. Postanowił, że zastanowi się nad tym później, o ile Flint nie rozwiąże tego problemu, zanim on wróci. Dobry oficer ten Flint, pomyślał. Bardzo sprawny. Będzie godnym następcą na czele Zabijaków Randalla. Nie zaszkodzi mu o tym powiedzieć. Ucieszy się, bo ambitny z niego drań.

Pogalopował w stronę budynku, który zauważył wcześniej. Naprzeciwko niemu wyszła grupa żołnierzy w zielonych zakietach, świadczących o tym, że należeli do strzelców.

- Idziecie z tej stodoły? - zapytał, wskazując rozwaloną kamienną budowlę za ich plecami.

- Tak jest - zsalutował niedbale dowódca, ale Randall wiedział, że ci strzelcy są

równie zmęczeni jak on, więc nie przywiązywał do tego wagi. – Była pełna Francuzów. I nadal jest, ale teraz to martwi Francuzi.

To chciał wiedzieć. Wyobrażał sobie sytuację, w której cienka linia piechoty mogłaby się dostać pod ogień francuskich tyralierów, kiedy będzie przechodziła w pobliżu stodoły, wymiatając resztki nieprzyjacielskich oddziałów. Skoro to zmartwienie ustało, mógł wrócić do swoich. Przetarł dłonią oczy. Za chwilę. Poczł straszne pragnienie i przypomniał sobie, że przez cały dzień nie pił. Jego nowy koń nie miał butelki z wodą przy siodle.

Randall spojrzł w stronę kamiennego budynku. Zauważył teraz, że za nim znajdował się niewielki sad przecięty wstęgą bujnej zieleni i trzciny, co świadczyło o tym, że płynął tam strumień. Napije się i wróci do swoich. Cisza panująca wewnątrz stodoły nie martwiła go, tak samo świadomość, że pełno w niej martwych Francuzów.

Za stodołą rzeczywiście płynął strumień, a raczej sączyła się wąska strużka wody pomiędzy wysokimi trzcinami, ale to mu wystarczało. Zeskoczył z konia i padł na kolana, żeby się napić. Woda była smaczna i zimna. Opłukał twarz. Przez cały dzień dym zasnuwał pole bitwy na kształt ciemnych deszczowych chmur. Teraz, kiedy się unosił, widać było, że wieczór zapowiada się pogodny. Randall usiadł na piętach i rozpiął mundur, chciał, żeby owiał go letni wietrzyk. Zastanawiał się, czyby nawet nie pojechać wieczorem do Brukseli. Przyjedzie późno, ale może nie za późno, by wpaść do Mary. Musi ją przeprosić i się z nią pogodzić. Nie znajdzie spokoju, dopóki tego nie zrobi.

Spojrzał w błękitne niebo. Czy ona zechce się z nim zobaczyć? Przebaczy mu? Zamknął oczy. On na jej miejscu nie przebaczyłby. Jak mógł się tak pomylić? Powinien wiedzieć, że jej można zaufać. Choć uważał siebie za znawcę ludzkiej natury, tej kobiety nie potrafił odgadnąć od samego początku. Gdyby tylko zechciała wysłuchać go i dać mu szansę...

Miał wstać, kiedy jego uwagę zwrócił ruch w pobliżu stodoły. Ostrożnie wyciągnął w górę głowę i zauważył małego chłopca, francuskiego dobosza. Nie wiadomo, skąd się wziął, ale zmierzał w stronę drzwi. Randall wyobraził sobie, co za chwilę zobaczy w środku. To nie był widok odpowiedni dla oczu żadnego dziecka.

Wybiegł z sadu z krzykiem, żeby chłopiec zatrzymał się. Zrobił to, ale tylko na chwilę. Kiedy zobaczył biegnącego ku sobie angielskiego oficera, odwrócił się i uciekł. Randall chciał go gonić, lecz nie mógł ze zmęczenia. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, potykał się, wreszcie upadł tuż przed stodołą, a chłopiec zniknął. Nic mu nie będzie, pocieszył się w duchu.

Armia sojusznicza zwyciężyła, panował w niej dobry nastrój, który sprzyjał wielkoduszności. Miejmy nadzieję, że ktoś zaopiekuje się dzieciakiem.

Wstał. Nogi wciąż się pod nim uginały, więc oparł się dłonią o drzwi. Coś poruszyło się w trzcinie, bardzo blisko miejsca, w którym jego zdobyczny koń pał się spokojnie na trawie. Randall sięgnął do szabli. W tym momencie głośno gruchnęło i poczuł nagłe uderzenie w żebra.

– Co to?

Z trzciny wyłonił się francuski tyralier. Więc nie wszyscy zostali wybici... – pomyślał i zobaczył, że Francuz chwyta jego konia i wskakuje na siodło. Cholerna nie-

ostrożność! Jak mógł ją popełnić!

Wsunął dłoń pod rozpięty żakiet. Nie było wątpliwości, od czego lepią się jego palce. Na koszuli zaczęła wykwitać czerwona plama. Czerwona jak wino. Jak karkada, którą Mary przepasała balową suknię.

- Mary... - wyszeptał, nim ogarnęła go ciemność.

Zemdlał.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pielęgnowanie rannych skutecznie odwracało uwagę Mary od osobistych kłopotów. Przez cały dzień Jacques znosił do domu sprzeczne informacje na temat przebiegu bitwy. Ci ranni, którzy mogli mówić, byli przekonani, że Wellington wygra i ich optymizm kontrastował z katastroficznymi przepowiedniami służącego. Bertrand do późnego popołudnia opatrywał rannych, zaś wychodząc, obiecał podzielić się wszelkimi informacjami, jeśli dowie się czegoś o wyniku bitwy.

Mary jadła w samotności kolację. Zabroniła Jacques'owi wychodzić do miasta, mówiąc, że bez względu na to, czy wiadomości będą dobre, czy złe, i tak do nich dotrą, a wpływu na rezultat bitwy i tak nikt w mieście mieć nie może.

Świtało już, kiedy Mary obudziło walenie do drzwi. Ubrała się pospiesznie. W holu stał Bertrand.

- Francuzi pobici. Bruksela jest bezpieczna.

Mary zamknęła oczy. Bogu dzięki, pomyślała.

- Musimy przygotować sale lekcyjne, mam przed domem cały wóz załadowany najciężej rannymi.

- Oczywiście. Już wczoraj na wszelki wypadek poprosiłam Jacques'a o usunięcie ławek szkolnych.

Stała i patrzyła, jak żołnierze wnoszą rannych.

- To już wszyscy?

- To zaledwie drobna część. Ranni koczują na ulicach, ale oni i tak mają szczęście, bo setki, co ja mówię, tysiące wciąż oczekują transportu z pola bitwy. Każda godzina zwłoki pomocy zmniejsza ich szanse na przeżycie.

- Słyszał pan, jak poszło artylerii? - Mary wiedziała, że Bertrand domyśli się, że ona w gruncie rzeczy pyta o Randalla, ale nie mogła nie zapytać.

- Niestety, nie. Nie mam żadnych wiadomości dla pani.

Pokiwała głową. Gdyby nie pokłócili się, Randall przysłałby jej zapewne list, że jest cały i zdrowy. Albo poprosiłby kogoś, żeby ją poinformował, gdyby wieść była zła. W obecnej sytuacji nie mogła się niczego spodziewać.

- Bierzmy się do roboty. Trzeba ulżyć cierpieniu tych biedaków - powiedziała.

Była zajęta bandażowaniem kikuta ręki jednego żołnierza, gdy przyszedł Jacques i powiedział jej, że przed wejściem do domu czeka na nią kilku żołnierzy.

- Dziękuję, powiedz im, że zaraz przyjdę.

Mary spodziewała się, że przyjechał kolejny transport rannych. Tymczasem przed domem stało pięciu żołnierzy w podartych i zabłoconych błękitnych mundurach, które rozpoznała natychmiast. Artylerzyści. Serce Mary zabiło żywiej.

- Przepraszamy panienkę, ale przyszliśmy się dowiedzieć, czy lord Randall był tutaj? - zapytał jeden z nich.

- Lord Randall? Dlaczego myślicie, że tu był?

Żołnierze wymienili między sobą niespokojne spojrzenia.

- Sierżant Hollins chce powiedzieć, panienko, że nie możemy go znaleźć - odpowiedział żołnierz z obluźnionym i brudnym opatrunkiem na głowie. - Odjechał wczoraj już po pobiciu Francuzów, więc spodziewaliśmy się znaleźć go w Brukseli, ale nigdzie go nie ma.

- O mój Boże! - zachwiała się Mary.

- Szukaliśmy we wszystkich szpitalach, nawet w wojskowym w Mont Saint Jean. Pomyśleliśmy, że mógł przyjść do pani. Teraz to już naprawdę nie wiemy, gdzie go szukać.

- Przykro mi, ale jego tu nie ma.

- No to musi wciąż być na polu bitwy - podsumował sierżant - ale niech mnie... jeśli wiem gdzie.

- No to go szukajcie, nie ma chwili do stracenia. - Mary przypomniała sobie, co mówił rano doktor o szansach rannych na przeżycie. Gdyby Bertrand tu był, uprosiłaby go, żeby ruszył na poszukiwanie. - Poczekajcie! Pojadę z wami. Jeśli lord Randall jest ranny, możecie mnie potrzebować. Pomagam doktorowi Lebbecke i przynajmniej wiem, jak opatrywać rany.

- Nie to, że nie chcemy zabrać pani ze sobą, ale nie mamy zapasowego konia, a w całej Brukseli nie znajdzie się żaden wolny. Wszystkie zostały zarekwirowane przez burmistrza albo przez wojsko. Sami zajęliśmy dla siebie cudze konie. Po francuskich kawalerzystach. I nie mamy damskiego siodła - dodał sierżant.

Po raz pierwszy tego dnia Mary uśmiechnęła się z radością.

- Nie martwcie się, mam swojego konia. Zaraz każę go osiodłać, a wy wejdźcie, to się posilicie przed drogą.

Ponieważ nie dysponowała żadnym wozem, zaopatrzyła się w koce i dwa drągi, z których będzie można sporządzić prowizoryczne nosze do transportu rannego, gdyby okazało się, że Randall nie zdoła samodzielnie utrzymać się na koniu. Żołnierze przytroczyli zwinięte koce do siodła, a drągi wzięli pod pachę. Wyglądali jak średniowieczni rycerze z kopiami. To dopiero Randall by się z nich śmiał! - pomyślała Mary i zacisnęła usta, bo łzy napłynęły jej do oczu. Jeśli w ogóle go znajdą...

Miała już dosiadać konia, gdy na dziedziniec przed domem wpadł ze szczekaniem wielki kudłaty czarny pies, a za nim wjechała kobieta na białym koniu. Lady Sarah! Serce Mary załomotało. Może ma wiadomości o Randallu? Ten pies to przecież ich pułkowa maskotka. Pies podbiegł do żołnierzy i obskakiwał ich radośnie.

- Co z Justinem? - zakrzyczała lady Sarah i radość Mary zgasła. - Wiem, że przeżył, jest tutaj?

Przekonanie Sarah, że Randall nie został zabity, było budujące, lecz pozbawione podstaw. Gorzej, że Sarah uparła się, że także pojedzie na poszukiwania.

- Lepiej wracaj do Antwerpii - doradziła jej Mary.

- Nie wrócę, aż się nie dowiem, co się z nim stało. O Gideonie też nic nie wiem.

Widząc determinację Sarah, Mary uznała, że lepiej ustąpić. Szkoda było czasu na zbędne dyskusje. Żołnierze zaś ucieszyli się z obecności psa.

- On ma dobry węch - powiedział sierżant. - Znajdzie pułkownika.

Droga do Waterloo była zatłoczona wozami i wózkami, którymi zwożono do miasta rannych. Obdarci i brudni żołnierze tłoczyli się i przepychali. Im bliżej pola bi-

ty, tym gęściej było od świeżych mogił wzdłuż drogi. Wreszcie dotarli na miejsce, gdzie toczyły się zmagania. W powietrzu unosił się nieobcy już Mary odór śmierci i krwi. Wydawało się jej, że jest odporna na jęki umierających i widok ich zakrwawionych, okaleczonych ciał, nic jednak nie mogło przygotować jej na tę piekielną scenę. Jak okiem sięgnąć, wszędzie malował się obraz zniszczenia. Grozę pogłębiały odgłosy strzelaniny. Spojrzała pytająco na sierżanta.

- Strzelają do rannych. Tych, którzy nie mają szansy na przeżycie. Skracają ich cierpienia - odpowiedział przez ściśnięte zęby.

Wzniosła oczy ku niebu. Oby ten los nie spotkał Randalla. Wzięła się w garść. Przecież przybyła tu po to, żeby go znaleźć.

- Pamiętacie miejsce, gdzie po raz ostatni widzieliście pułkownika? - zapytała żołnierzy. - Stamtąd musimy zacząć poszukiwania.

Ruszyli drogą biegnącą grzbietem wzgórza do miejsca, w którym znajdowały się stanowiska artylerii. Pobojowisko wciąż było nieuprzątnięte. Zabłocone, zmasakrowane zwłoki ludzi i trupy końskie leżały dookoła. Mary obejrzała się na lady Sarah. Widok bladej jak chusta dziewczyny wzbudził w niej współczucie. Towarzyszył jej jeden z żołnierzy, a obok jej konia biegł pies. Mary odwróciła się, ją również mdliło od odoru panującego na pobojowisku.

- Brent, ty widziałeś go jako ostatni - zwrócił się sierżant do jednego z żołnierzy. - Opowiedz pani, jak to było.

- Odjechał drogą, gdy tylko przejechał księżę. W dół zbrocza, w ślad za piechotą, która tamtędy przeszła.

- Więc zrobmy to samo - zaproponowała Mary, kierując konia na równinę. Przed bitwą rosło tu zboże, teraz była to błotnista przestrzeń pokryta porozrzucanymi trupami poległych. Kopyta końskie kłaskały w nasiąkniętym krwią i rozmokniętym po deszczu gruncie. Po pobojowisku kręcili się jacyś ludzie, prawdopodobnie szabrownicy, i Mary dziękowała Bogu za swoją obdartą eskortę.

Natrafili na ścieżkę wiodącą w dół równiny i jechali nią, aż dotarli do rozwidlenia. Tam sierżant wybrał odgałęzienie, które wiodło ku sercu zaścielonej ludzkimi ciałami, przesiąkniętej krwią równinie. Mary ogarnęła groza. Trudno było sobie wyobrazić, by był tam jeszcze ktoś żywy, a jednak dochodziły stamtąd jęki ludzkie i widać było, że niektóre ciała poruszają się.

- Nie, nie tam! - zatrzymał ich okrzyk lady Sarah.

Mary odwróciła się i zobaczyła, że pies biegał tam i z powrotem po drugim odgałęzieniu dróżki, tym, które wiodło z pola bitwy. Żołnierze zaczęli dyskutować z lady Sarah, a Mary nie wtrącała się. W końcu Sarah przekonała ich do swojego zdania i pojechali za biegnącym psem. W pewnej odległości ukazał się budynek przypominający stodołę. Kiedy podjechali bliżej budynku, Mary zauważyła poukładane pod jego ścianą zwłoki.

- Rany boskie, oni tu urządzili kostnicę!

Pies ze skomleniem zaczął drapać w drzwi stodoły.

- Justin tam jest - krzyknęła Sarah. - Wiem, że jest.

- Zobaczymy.

Mary zeskokczyła z konia. Pies zdążył już wpaść do środka i dochodziło ich jego głośne szczekanie.

- Coś znalazł - stwierdził sierżant. - Dawkins, Cooper, zostańcie z lady Sarah i końmi. Pozostali za mną.

Mary nie czekała. Zabrnęła już tak daleko, że musiała poznać prawdę, bez względu na to, jak miałyby okazać się bolesna. Pchnęła drzwi. Z wnętrza buchnęło gorącym i odorem, od którego zebrało się jej na wymioty. Osłoniła nos i usta chustką do nosa. Trochę pomogło. Sierżant z dwoma żołnierzami otworzyli drzwi na całą szerokość. Widok był tak przerażający, że Mary aż cofnęła się. Żołnierze klęli pod nosem. Wnętrze zaścielały ciała ludzkie, pod ścianą piętrzyły się jedno na drugim. Ogarnęło ją zwątpienie. Panowała martwa cisza. Pies usiadł tuż przy wejściu, wpatrzony w ciemny kąt za rozwartymi drzwiami. Mary zajrzała i zobaczyła hrabiego. Zabłocony mundur był prawie czarny w ciemności, a koszula czerwona od krwi. Został ranny także w głowę.

- Nie żyje! - krzyknął stojący za Mary żołnierz.

- Przyniescie drągi i koce, zrobimy nosze - rozkazał sierżant żołnierzom. - Martwego też zabierzemy do Brukseli.

Mary patrzyła na nieruchome ciało na ziemi i z oczu pociekły jej łzy. Nie, powtarzała sobie, to niemożliwe, nie mógł umrzeć... Bez pożegnania...

Dotknęła jego dłoni. Choć nieruchoma, wciąż była ciepła, a palce wiotkie. Nachyliła się nad nim i przyłożyła mu palce do szyi. Wstrzymała oddech, wyczuwając słaby puls.

- On żyje - powiedziała zadziwiająco spokojnym głosem. - Żyje... - powtórzyła.

- Nie! - gwizdnął sierżant. - A niech mnie!

- Ma wciąż u pasa swoją szablę - zauważył któryś z żołnierzy. - Tę, która przynosiła mu szczęście.

- Nie przyniesie mu szczęścia, jeśli go stąd nie wydobędziemy - powiedział sierżant.

- Nie ruszajcie go - powstrzymała ich Mary. - Najpierw musimy zbadać, jakie odniósł rany. - Słyszała, jak Bertrand powtarzał, że nieumiejętnym przenoszeniem ранego można mu poważnie zaszkodzić. Pracując w ostatnich dniach z doktorem, wiele się od niego nauczyła.

Zapomniała o odrażającym zapachu i trupach w stodole. Rozpoczęła oględziny. Nie zauważyła żadnego otwartego złamania. Rękaw był postrzępiony od kuli, ale ramię zaledwie draśnięte. Głębokie cięcie na udzie nie krwawiło. Poważniej wyglądały rany na piersi i na skroni. Wodą z butelki, którą miała przy sobie, zmyła krew z głowy. Cięcie nie było rozległe, ale obficie krwawiło i skóra wokół była obita.

- To nie jest cięcie od szabli - zauważył sierżant. - Mógł uderzyć się przy upadku.

- Możliwe - zgodziła się.

Rana na piersi napawała większym zmartwieniem. Wciąż sączyła się z niej krew.

- Został postrzelony - powiedziała, starając się nie okazywać zaniepokojenia. Złożyła kilkakrotnie chusteczkę, robiąc z niej tampon, i przyłożyła do rany. - Teraz ostrożnie podnieśmy go, sierżancie.

- Nie widzę otworu wylotowego kuli. Musi wciąż w nim tkwić - dodała, kiedy żołnierze unieśli ciało.

- Potrafi panienka ją wyjąć?

W innych okolicznościach wiara żołnierzy w jej umiejętności rozbawiłaby ją.

- Nie. Zabandażuję ranę i w takim stanie przetransportujemy go do Brukseli.

- Będziemy musieli go nieść całą drogę?

- Niekoniecznie, sierżancie. Przymocujemy jedne końce drągów do strzemion najspokojniejszego konia, drugie końce poniesie dwóch ludzi. W ten sposób zapewnimy mu w miarę bezpieczny transport.

- Będzie to musiał być koń panienki. Żaden kawaleryjski koń się do tego nie nada.

- Niech tak będzie. Przymocowanie drągów do damskiego siodła okaże się zapewne trudniejsze, ale damy sobie radę.

Minęła dłuższa chwila, zanim prowizoryczne nosze były gotowe i umieszczono w nich Randalla. Wtedy Mary zauważyła, że lady Sarah zniknęła.

- Musiała odjechać, kiedy byliśmy zajęci w stodole - domyślił się sierżant Hollins.

- Dawkinsa i Coopera też nie ma, panienko - zameldowali żołnierze.

- Nie dałbym głowy za wszystkich naszych ludzi, ale tych dwóch nie wyrządzi jej żadnej krzywdy zwłaszcza, że wiedzą, że to siostra pułkownika - zapewnił sierżant, widząc zgrozę na twarzy Mary.

- Psa też nie ma.

Mary jęknęła.

- Nie możemy tracić czasu i czekać, aż się znajdą. Lord Randall musi być natychmiast przewieziony do Brukseli i potrzebuję was wszystkich do pomocy.

Drogę powrotną pokonywali bardzo powoli. Mary martwiła rana postrzałowa na piersi Randalla. Nie mówiła nic żołnierzom, ale bardzo się bała, że jeśli kula utkwiała w jakimś ważnym organie, cały wysiłek, z jakim go teraz transportują, może okazać się daremny.

Szła obok noszy, co jakiś czas ocierała Randallowi twarz i wlewała mu między zaciśnięte wargi parę kropli wody. Patrzyła na szablę wciąż przytroczoną do jego boku. Znalazł ją. Musiał zatem wiedzieć, że ona jej nie zabrała, ale ta myśl stanowiła małą pociechę. Sprawa ta straciła na znaczeniu w porównaniu z zasadniczym problemem dowiezienia Randalla żywego do Brukseli. Nie odzyskiwał przytomności ani na moment. Mary sprawdzała mu puls, żeby się upewnić, że wciąż nie uszło z niego życie.

Było całkiem ciemno, kiedy dotarli do miasta. Sierżant wysłał przodem bombardiera Stubbsa na Rue Ducale, więc kiedy przybyli do kwatery Randalla, Robbins był gotowy na przyjęcie rannego.

- Panienka zostanie i będzie go pielęgnować? - zapytał sierżant Mary.

- Przydałaby się dodatkowa para rąk, panno Endacott - poprosił Robbins.

Mary była wzruszona ufnością, jaką w niej pokładali. Miała nadzieję, że nie bezpodstawnie.

- Zostanę, sierżancie. Proszę odprowadzić mojego konia do budynku szkolnego i poprosić pokojówkę, żeby spakowała i przysłała mi moje najpotrzebniejsze rzeczy.

Została sama. Opadły ją obawy, które ukrywała przed żołnierzami Randalla. Nie potrafiła powstrzymać łez. Uklękła przy łóżku rannego.

- Och, Randall, nie umieraj. Nie zostawiaj mnie. Nawet gdybym nigdy już miała ciebie nie zobaczyć, nie zniósłabym myśli, że nie żyjesz.

Odpowiedziała jej cisza.

Wrócił Robbins i Mary pomogła mu rozebrać Randalla. Pracowali przy świetle

świec. Rozcięli podarty mundur i zmyli błoto i krew z ciała rannego. Mary delikatnie oczyściła i zabandażowała rany na głowie i udzie, tak jak ją nauczył Bertrand. Rana postrzałowa klatki piersiowej wymagała jednak interwencji chirurga.

Był nim porucznik Foster, który przyszedł godzinę później. Był blady i zmęczony. Cienie pod oczami świadczyły o długotrwałym braku snu.

- Panna Endacott? - Jego zimny ton świadczył o tym, że wie, iż ona jest, a raczej była, kochanką Randalla. - Nie zatrzymujemy pani. Robbins i ja zajmiemy się jego lordowską mością.

Mary zjeżyła się, słysząc ten lekceważący ton.

- Ponieważ to ja przywiozłam lorda Randalla z pola bitwy, uważam, że mam prawo być tutaj, poruczniku.

- To nie miejsce dla pani.

- Jeśli mogę wtrącić, poruczniku... - zakaszła Robbins. - Panna Endacott ma doświadczenie w pielęgnowaniu rannych. Oprócz niej nie ma nikogo innego, kto mógłby mi w tym pomóc.

- Więc dobrze. Panno Endacott, proszę przysunąć bliżej świece, zobaczymy, co jest do zrobienia.

Oględziny trwały dłuższą chwilę.

- Rana głowy nie jest groźna, cięcie na udzie również - mówił lekarz, myjąc ręce. - Upuściłem mu krwi i opatrzyłem go, więcej nie mam nic do zrobienia. Hrabia ma kulę karabinową w klatce piersiowej. Wydaje się, że nie naruszyła ważnych organów, ale tkwi bardzo blisko nich. Skoro przeżył z nią tak długo, nie widzę powodów, dla których nie mógłby wrócić do zdrowia.

- Nie wyjmie jej pan?

- W żadnym wypadku. Małe omsknięcie się noża i zabiłbym go na pewno. Lepiej pozostawić sprawę w rękach Boga. Znane są przypadki ludzie żyjących długie lata z kulą w ciele. Na przykład młody lord March. Dwa lata temu dostał kulę w pierś pod Orthès i walczył w ostatniej bitwie. Czuje się całkiem dobrze, ma tylko tendencję do omdleń, kiedy nagle spada temperatura.

Odkaszlnął i powtórzył:

- Moja rada, zostawmy go w spokoju. Pierwsze dwie doby są decydujące. Lord Randall powinien jak najmniej się poruszać. Obserwujcie go czujnie. Jeśli pojawi się gorączka, wezwijcie mnie, to mu znowu upuszczę krwi. Mimo wszystko rokowania są dobre. Pułkownik jest bardzo silny. Ma szansę przeżyć.

- Nie chcę, żeby miał szansę, chcę, żeby przeżył - powiedziała emocjonalnie Mary.

- Rzecz oczywista. Jeśli będzie pani przestrzegała moich zaleceń, zobaczy pani, że lord Randall się z tego wyliże. Mam pewne doświadczenie w tych sprawach, proszę mi wierzyć.

Jego paternalistyczny ton nie podobał się Mary. Brakowało tylko tego, żeby pogłaskał ją po głowie na do widzenia.

Mary i Robbins ustalili godziny nocnego czuwania. Przez całą noc ani razu nie odzyskał przytomności. Nad ranem stał się niespokojny. Mary zwilżyła mu usta gąbką nasączoną wodą. Zamrugnął powiekami, po czym ponownie zapadł w letarg. Wróciła na krzesło obok łóżka i chwyciła jego dłoń.

Nie było dla nich przyszłości, teraz o tym wiedziała. Nigdy nie zapomni tych nie-nawistnych słów, które jej wypowiedział prosto w twarz. Wciąż je rozpamiętywała... Spojrzała w okno. Szary świt rozjaśniał niebo. Od tamtego czwartku upłynęło pięć dni. Zaledwie pięć dni, a jej wydaje się, że cała wieczność. I chociaż ma do niego żal za niesprawiedliwość, z jaką ją potraktował, drży teraz o jego życie. Pozostanie przy nim tak długo, jak długo on będzie tego potrzebował, a potem odjedzie i zacznie życie od nowa.

Odzyskał przytomność. Leżał na dnie głębokiego i ciemnego dołu. Było mu ciepło i wygodnie, o ile nie poruszał się. Otaczała go cisza. Pamiętał zgiełk bitwy, ryk armat, krzyki i jęki ludzi, ale teraz wszystko ucichło. Po chwili miła ciemność rozproszyła się nieco... Zaczął odczuwać pulsujący ból głowy. Krępowały go bandaże. Piers miał tak ciasno owiniętą, że nie mógł wziąć głębszego oddechu.

Leżał spokojnie z zamkniętymi oczami. W łóżku. Wyraźnie słyszał stukot kopyt końskich o bruk i skrzypienie wozów. Otworzył oczy i poznał swoją sypialnię na Rue Ducale. Ktoś poruszał się cicho po pokoju, ale nie był to Robbins, lecz kobieta. Widział jej plecy w szarej, prostej sukni i zaraz poznał kolor jej włosów. Były ściągnięte w ciasny węzeł nad karkiem... Pamiętał, jak opadają lśniąca kaskadą na jej ramiona.

Mary. Kręciło mu się w głowie, z trudem nadawał sens napływającym myślom i wspomnieniom. Oskarżył ją o zabranie szabli Latymorów, ale ona tego nie zrobiła. Gideon wyniósł szablę i wkrótce potem zginął.

W czasie bitwy nie miał czasu opłakiwać brata. Teraz świadomość, że on nie żyje, ugodziła Randalla jak cios nożem. Poruszył się gwałtownie.

Mary usłyszała ruch i odwróciła się. Twarz miała bladą i zmartwioną. Chciał coś powiedzieć, żeby ją pocieszyć, ale nie mógł wydobyć głosu.

- Pomagam Robbinsowi pielęgnować cię - wyjaśniła pospiesznie. - Jest wielu rannych, porucznikowi Fosterowi brakuje pielęgniarek.

Dlaczego czuje potrzebę tłumaczenia swojej obecności? Czy dlatego że się pokłócili?

- Wiem, że to nie idealne rozwiązanie - mówiła dalej, nie patrząc mu w oczy. - Przykro mi, jeśli moja obecność cię denerwuje. Odejdę, gdy tylko Robbins uzna, że sam da sobie radę.

Chciał jej powiedzieć, żeby nie odchodziła, ale głos odmawiał mu posłuszeństwa. Zmarszczył brwi. Mary spojrzała na jego skrzywioną twarz i źle zrozumiała jego intencje. Pomyślała, że jej widok jest mu niemiły.

- Przyślę Robbinsa - powiedziała i wyszła.

Randall chciał zaprotestować, ale nie mógł się ruszyć. Naraz poczuł, jak znowu opada na dno głębokiego, gorącego dołu niepamięci.

Mary wybiegła z pokoju, mrugając gwałtownie powiekami. Czego się spodziewała? Powiedział jej wprost, że się nie wycofa i nie przeprosi. Mimo wszystko miała nadzieję, że będzie zadowolony, gdy ją zobaczy. Może chodziło nie tylko o szablę. Może rzeczywiście wierzył, że chciała wmanipulować go w małżeństwo, gdyż zależało jej na jego majątku i tytule. Miał już przecież podobne doświadczenie.

Odnalazła Robbinsa i poprosiła go, żeby posiedział przy lordzie Randallu, gdyż zaczyna odzyskiwać przytomność. Sama poszła do bawialni, gdzie mogła sobie pozwolić na uronienie kilku gorących łez. Ale Robbins bardzo szybko ją tam odnalazł.

- Zasnął, panienko. Wydaje się, że jest mu dobrze.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy znaleźć kogoś innego, kto by go pielęgnował. Nie wyglądał na zadowolonego, gdy mnie zobaczył.

- On nie jest sobą, panienko.

- Gdybyś widział jego spojrzenie... - urwała, bo bała się, że wybuchnie płaczem.

- Znam to jego spojrzenie, panienko. Nieraz tak na mnie patrzył - odpowiedział Robbins tonem pocieszenia. - Dorośli mężczyźni drżą ze strachu, kiedy tak patrzy, ale to nic nie znaczy.

- Zarzucił mi, że wzięłam jego szablę.

- No i co z tego? Przecież miał ją u boku, kiedy panienka go znalazła, może nie?

- Tak.

- Więc musi znać prawdę, panienko. Wie, że panienka jej nie zabrała.

- Ale nie tylko o to chodzi. On myśli, że ja na niego poluję dla majątku.

- Nigdy tak nisko panienki nie oceniałem i myślę, że jego lordowska mość również w to nie wierzy, bez względu na to, co powiedział w chwili zdenerwowania. Niejedna zastawiała na niego sidła przez te wszystkie lata.

Mary spróbowała uśmiechnąć się.

- Gdy ty o tym mówisz, brzmi to tak prosto, Robbins.

- Bo to jest proste, panno Endacott. Jego lordowska mość nie jest wielkim mówcą, ale jeśli skrzywdził panienkę, znajdzie odpowiednie słowa, żeby przeprosić. Musi tylko panienka dać mu czas, niech te słowa same do niego przyjdą.

- A jeśli on nie życzy sobie mnie tutaj...

- Za pozwoleniem - przerwał - lord Randall w tym momencie nie jest w stanie ocenić, co jest dla niego najlepsze. Zresztą, gdzie ja znajdę inną pielęgniarkę, która by się nim tak opiekowała jak panienka? Teraz cała Bruksela to jeden wielki szpital. Ranni leżą nawet na ulicach.

- Prawda.

- Pewnie, że prawda. A teraz niech panienka wraca do niego, ja zaś zaparzę paniencie czarnej chińskiej herbaty, którą udało mi się kupić dziś rano.

- Specjalnie dla mnie? Och, dziękuję, Robbins.

- Dla panienki, bo jego lordowska mość czegoś takiego nie wzięłaby do ust.

- Cóż, może teraz będzie do tego zmuszony. Łyk herbaty by mu dobrze zrobił.

Kiedy ponownie się obudził, Mary siedziała przy łóżku.

- Nie śpisz, milordzie?

- Jak długo... tu... jestem? - Wypowiadanie każdego słowa sprawiało mu nieopisany ból. Głos miał słaby.

- Przywieźliśmy cię spod Waterloo wczoraj.

- My?

- No tak, my. Sierżant Hollins i kilku żołnierzy, z którymi przyszedł do szkoły pytać o ciebie.

Delikatny rumieniec zabarwił jej policzki. Unikała jego wzroku. Randall zaklął

w duchu. Nawet jego zabijaki wiedziały, że ona jest jego kochanką. Jak mógł być tak nieodpowiedzialny?

- Pojechałaś do wioski, do Waterloo?

- Znaleźliśmy cię na polu bitwy.

Informacja zmroziła mu krew w żyłach.

- To nie najodpowiedniejszy widok dla oczu kobiety, Mary.

Wzruszyła ramionami.

- Znaleźliśmy cię, tylko to się liczy.

- Moja nieustraszona Mary. - Rumieniec na policzkach Mary pociemniał. Randall wyciągnął ku niej rękę, ale ona wstała i zaczęła poprawiać jego pościel. Czyżby myślała, że ja wciąż się na nią gniewam? - Mary, musimy porozmawiać.

- Nie teraz, milordzie. Porozmawiamy, kiedy poczujesz się lepiej. - Na korytarzu rozległy się głosy. - Przyszedł porucznik Foster cię zbadać.

Wybiegła z pokoju, wdzięczna za okazję do przerwania tego tête-à-tête. Nie chciała słyszeć, co miał do powiedzenia; podjęła już decyzję. To jedyne rozwiązanie i nie pozwoli mu się przekonywać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wojskowy chirurg wydawał się zadowolony ze stanu pacjenta. Powiedział Mary, że hrabia potrzebuje teraz jedynie spokoju.

- Jego lordowska mość zasnął - poinformował Robbins po wyjściu porucznika Fostera.

Stosując się do zaleceń chirurga, Mary zezwoliła zaledwie na pięciominutową wizytę majora Flinta, który pojawił się później i zażądał dopuszczenia do rannego. Flint był do tego stopnia wstrząśnięty widokiem przyrodniego brata, że nie zadawał zbędnych pytań na temat obecności Mary w jego mieszkaniu. Zresztą to i tak było bez znaczenia. Jej reputacja leżała w gruzach.

Randall przeważnie spał, więc unikanie przebywania z nim wtedy, kiedy był przytomny, nie było trudne. Musiała pomagać Robbinsowi w myciu go i przebieraniu w czystą bieliznę, ale ograniczała swoje asystowanie przy tych czynnościach do niezbędnego minimum. Nigdy nie wykonywała ich sama.

Udało się jej zasnąć wczesnym wieczorem, gdyż o północy miała zmienić Robbinsa przy łóżku chorego. Kiedy weszła do jego pokoju, hrabia nie spał. Spojrzał na nią chmurnie.

- Wydaje mi się, że mnie unikasz - odezwał się tak słabym głosem, że Mary zakręciły się łzy w oczach.

- Nie...

- Nie okłamuj mnie. - Teraz usłyszała dawną siłę Randalla i uspokoiła się nieco.

- Dobrze więc - przyznała się. - Owszem, unikam cię, milordzie.

- Wiem, że nie wzięłaś szabli Latymorów. Zachowałem się niewybaczalnie, że cię o to oskarżyłem.

- Owszem.

- Co mam zrobić, żeby ci to wynagrodzić?

- Nic.

- Mary!

- Proszę, nic więcej już nie mów, milordzie. - Usiadła na krześle przy łóżku i złożyła dłonie na kolanach. - Chciałam poczekać, aż wyzdrowiejesz, ale może rzeczywiście lepiej porozmawiajmy teraz.

- Teraz, kiedy jestem za słaby, żeby się z tobą kłócić?

Ujął ją tym poczuciem humoru, ale nie zmienił jej postanowienia. Zaczęła mówić spokojnym, opanowanym głosem.

- Zamykam szkołę i wyjeżdżam z Brukseli. Nie mogę tu zostać.

Zamknął oczy, jego twarz skurczyła się boleśnie.

- Z mojego powodu - powiedział. - Mary, pozwól mi wszystko naprawić. - Moja ręka i moje serce należą do ciebie. Nic się nie zmieniło.

- Wszystko się zmieniło. Teraz wiem, że nic by z tego nie wyszło.

- Mów dalej.

Patrzył na nią. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Randall. To była ułuda: hrabia i córka radykała społecznego. Zbyt skwapliwie rzuciłam się na twoją propozycję, nie przemyślałam jej. Jesteś parem królestwa, przedstawicielem starego porządku, którego nie mogę zaakceptować. Jesteś także żołnierzem, a ja przeciwniczką wojen.

- Zdaję sobie sprawę z dzielących nas różnic, ale nie są to różnice nie do przezwyciężenia...

- To nie wszystko - wtrąciła. - Czy nie rozumiesz, co najbardziej mnie zabolalo? Brak zaufania. Myśl, że mogłabym ukraść szablę, żeby zatrzymać pana przy sobie. Nie miałeś żadnych wątpliwości. Nie przyszedłeś i nie zapytałeś mnie, czy ją wzięłam. Założyłeś, że uciekłabym się do takiego podstępu. Że jestem egocentryczką, która przedkłada swoje pragnienia ponad to, co jest tobie drogie.

- Pomyliłem się, przyznaję, ale nawet nie dasz mi szansy naprawienia błędu?

- To niemożliwe.

- Jesteś pewna? Wyznaczyłaś sobie rolę sędziego i ławy przysięgłych zarazem i orzekłaś, że nie ma możliwości, żebyśmy mogli rozpocząć razem szczęśliwe życie?

Nie była w stanie odpowiedzieć, smutek dławił ją w gardle. Zapadła cisza, którą on po chwili przerwał.

- Dokąd wyjedziesz?

Więc to naprawdę koniec. Nie mogła uwierzyć, że nie próbuje jej zatrzymać.

- Jeszcze nie wiem.

- Powiesz mi, kiedy postanowisz?

- Raczej nie.

Czkała, że on mimo wszystko spróbuje przekonać ją, żeby została, ale rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Robbins.

- Czas podać milordowi laudanum, panienko. Pomoże mi panienka?

- Tak, tak, oczywiście, Robbins.

Służący uniósł lekko Randalla, Mary przyłożyła mu kieliszek z lekarstwem do ust. Nie spuszczał z niej spojrzenia swoich przeraźliwie niebieskich oczu, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy. Kiedy znowu zostali sami odezwał się głosem cichym jak szmer.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, Mary.

- Tego samego chcę dla ciebie, milordzie.

Z niespodziewaną siłą uchwycił jej dłoń.

- Kiedy wyjedziesz?

- Gdy Robbins przestanie potrzebować mojej pomocy w pielęgnowaniu pana. Może jutro. Porucznik Foster mówi, że dochodzisz do zdrowia.

- Też mi to powiedział. Według niego najważniejsze jest, że nie mam gorączki, bo z tą kulą w piersi mogę spokojnie żyć... - Zamilkł. - Ale ja nie potrafię żyć bez ciebie, Mary.

Opadały mu powieki, laudanum zaczynało działać.

- Nauczysz się - odpowiedziała cicho, a kiedy zasnął, szepnęła: - Tak jak ja.

Nazajutrz rano stan zdrowia Randalla poprawił się znacząco. Kiedy Mary przyniosła mu śniadanie, zastała go wspartego na poduszkach. Robbins właśnie ogolił go

i hrabia wyglądał prawie tak dobrze jak dawniej. Serce Mary zabiło mocniej, najpierw z radości, potem z rozpaczy. Nie potrzebował już jej opieki, będzie musiała odejść.

- Wyglądasz dużo lepiej, milordzie - zauważyła, stawiając przed nim tacę.

- Nie czuję tego. - Odczekał, aż Robbins wyjdzie. - Naprawdę chcesz mnie opuścić?

- Tak. Porucznik Foster sądzi, że nic już ci nie grozi.

- Mary... - Chwycił ją za nadgarstek - ...mówiłem ci kiedyś, że nie potrafię prawić pięknych słówek, ale proszę cię, zostań i porozmawiajmy.

- Nie ma o czym, milordzie.

- Jest. Musisz mnie wysłuchać.

- Muszę? Nie sądzę.

- Błagam...

- Nie! - Ścisnęła dłońmi skronie. - Podjęłam decyzję. Nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Pochodzimy z zupełnie odmiennych światów. Lepiej, żebyśmy się rozstali teraz.

- Nie wierzę w to. I nigdy nie uwierzę. Kochamy się, Mary. Musi być jakiś sposób...

- Dlaczego uparłeś się, żeby to tak utrudniać? - załkała.

- Ponieważ odnalezienie ciebie zajęło mi trzydzieści lat, Mary Endacott, i nie zamierzam tak łatwo pozwolić ci się wymknąć.

Nie będąc pewna, czy może sobie dowierzać, wybiegła z pokoju. Robbins czekał w bawialni. Spojrzał na nią badawczo. Mary bała się, że na pytanie, którego się z jego strony spodziewała, zareaguje wybuchem płaczu, uprzedziła je więc.

- Kiedy zapowiedział kolejną wizytę porucznik Foster?

- W południe, panienko. Zdaży się panienka zdrzemnąć. Obudzę panienkę, gdy przyjdzie. Jego lordowska mość dobrze dzisiaj wygląda.

- Tak, Robbins. Myślę, że już nie potrzebujesz mojej pomocy. Jestem pewna, że w szkole będę miała pełne ręce roboty. Spakuję swoje rzeczy. Jeśli porucznik potwierdzi, że lord Randall wraca do zdrowia, wyprowadzę się. Powinieneś się cieszyć, ubędzie ci roboty w związku z moją obecnością.

- Nie powiedziałbym tego, panno Endacott. Bez pani nie poradziłbym sobie, to pewne.

Niespodziewana pochwała ze strony milkliwego służącego sprawiła, że Mary pograżyła się w jeszcze głębszym smutku. Spakowanie rzeczy nie potrwało długo. Położyła się. Z ciężkim sercem będzie opuszczała Randalla, ale musi to zrobić. Oskarżył ją nie tylko o zabranie szabli, lecz także o wywieranie złego wpływu na lady Sarah. Oba zarzuty były bezpodstawne. Robbins powiedział Mary, że szablę zabrał brat hrabiego, a co do lady Sarah, to z pewnością nie należała do osób ulegających czyimś wpływom. Mary wolała nie myśleć, co powiedziałby Randall, gdyby dowiedział się, że lady Sarah towarzyszyła jej w wyprawie na pole bitwy.

Z wyjątkiem Harriett wszyscy Latymorowie są aroganczy i wyniośli. Nigdy nie czułaby się dobrze wśród nich. Była głupia, sądząc, że może być inaczej. Konstatacja ta nie przeszkodziła jej jednak uronić parę dodatkowych łez w i tak już mokrą poduszkę, po czym zmorzył ją sen.

Obudził ją hałas dochodzący z głębi domu. Usiadła. Czyżby był to gniewny głos Randalla? Wyszła na korytarz. Mignął jej czyjś mundur i usłyszała, że ktoś zbiega ze schodów. W pokojach hrabiego natknęła się na Robbinsa. Wychodził z sypialni.

- Czy to był major Flint?

Robbins zamknął drzwi do sypialni, żeby hrabia nie słyszał ich rozmowy.

- Tak, panienko. Przyszedł opowiedzieć jego lordowskiej mości o jego siostrze.

- Lady Sarah?

- Tak, panienko. Wygląda na to, że... jak by to powiedzieć... jest z majorem Bartlettem i jego lordowska mość nie jest z tego zadowolony. Właściwie, to jest wściekły. Krzyczał coś o sądzie polowym. Z ledwością powstrzymaliśmy go od opuszczenia łóżka, gdyż chciał wstać i jej szukać.

Z sypialni dobiegł wściekły ryk.

- Woła o pióro i atrament, będzie pisał do lady Sarah - wyjaśnił Robbins i pobiegł spełnić żądanie pana.

Mary bała się wejść do sypialni. Spodziewała się, że Randall obsypie ją pretensjami o to, że zachęcała Sarah do buntu. Mimo to weszła.

- Gdzie Robbins? - powitał ją z tłumionym gniewem.

- Poszedł po pióro i papier, jak prosiłeś. Proszę, Randall, nie wstawaj. Zaszko- dzisz sobie.

- Jak mogę spokojnie chorować, kiedy moja siostra zadaje się z najgorszym uwodzicielem w Europie? Gdzież ten Robbins! Szybciej, dawać mi tu pióro i papier!

Mary zauważyła z lękiem, że Randall jest niepokojąco czerwony na twarzy.

- Już idzie. A jeśli pozwolisz sobie coś powiedzieć, to lady Sarah nie jest już dzieckiem, którym można dowolnie dyrygować. Odnoszę wręcz wrażenie, że pod jej delikatną powierzchownością kryje się mocny charakter. Typowy dla Latymorów. Coś o tym wiem, milordzie.

- Nie pozwolę, żeby zrujnowała sobie życie. Wstanę i osobiście ją odnajdę.

Odrzucił przykrycie, wystawił nogi poza łóżko. W tym momencie jego twarz wykrzywił spazm bólu i nagle pobladł.

- Randall!

Nie słyszał. Błady jak śmierć opadł na poduszki.

- Randall!

Drugi okrzyk Mary sprowadził Robbinsa. Oboje położyli hrabiego na łóżku. Stracił przytomność, jedynymi objawami życia były nieregularny puls i urywany oddech. Mary bezradnie rozcierała jego dłonie, bo nie wiedziała, jak mu pomóc.

- Na szczęście chirurg będzie lada minuta - zauważył Robbins. - Wyjrzę z domu, czy już nie nadchodzi.

- Zrób to. Niech się pospieszy.

Nie zdążyła odmówić do końca pierwszej modlitwy, kiedy rozległy się kroki na schodach. Mary stała w nogach łóżka, obserwując, jak porucznik Foster bada ranego.

- Czuł się już tak dobrze dzisiaj rano... - opowiadała mu Mary - ...ale zdenerwo- wał się podczas odwiedzin majora Flinta i próbował wstać z łóżka.

- Jasne. Kula musiała się przesunąć - orzekł porucznik.

- To trzeba ją usunąć.

- Ja się tego nie podejmę. Miejmy nadzieję, że wróci do poprzedniego położenia. Usunięcie jej byłoby zbyt ryzykowne. Weszła w klatkę piersiową, czyniąc zadziwiająco małą szkodę. Wyjmując ją, zaszkodzimy mu. Gdyby hrabia umarł mi pod nożem, cały klan Latymorów zażądałby mojej głowy w ofierze.

- Ale on tak nie może żyć.

- Zgadza się, szanse na przeżycie ma małe, lecz operacja bez wątpienia skończyłaby się fatalnie. Pozostaje tylko modlić się o cud, panno Endacott. To moja opinia.

Mary spojrzała na nieprzytomnego Randalla, potem na równie bladego, jak jego pan Robbinsa.

- Czy pan, poruczniku, miałby coś przeciwko temu, żebym poprosiła o konsultację innego lekarza?

Oficer chyba z ulgą przyjął jej sugestię.

- W żadnym wypadku. Sądzę jednak, że podzieli on moją opinię.

- Zobaczymy. Robbins, proszę znaleźć i sprowadzić doktora Lebbecke.

Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim przyszedł Bertrand, chociaż kulanty z wieży kościelnej odmierzyły zaledwie godzinę. Doktor Foster wyszedł, tłumacząc, że ma wielu pacjentów do odwiedzenia i nie może czekać. Zostawił swoją opinię na piśmie i Mary natychmiast oddała ją Bertrandowi.

Bertrand czytał w milczeniu, podczas gdy Mary odwijiała bandaż z piersi Randalla. Rana wyglądała bardzo niewinnie - mała, ciemna dziurka.

Badanie rannego nie trwało długo.

- Czego się pani po mnie spodziewa, Mary? Wojskowy chirurg stawia sprawę jasno.

- Jeśli ta kula w nim pozostanie, on umrze.

- Niestety, to prawie nieuchronne.

- A gdyby ją usunąć?

- To, o czym pani mówi, *ma chère*, to poważna operacja.

- Mógłby pan ją wykonać?

- *Bien sûr*, ale nie mógłbym zagwarantować, że pułkownik przeżyje.

- Przynajmniej miałby szansę, a to coś więcej niż to, co go czeka teraz.

- Może. Ale porucznik Foster odradza operację.

Mary utkwiała wzrok w leżącym.

- On musi przeżyć. Po prostu musi.

- Ponieważ pani sobie tego życzy? Gdyż pani go kocha?

Spojrzała mu w oczy.

- Tak. Nie mogę za niego wyjść i kiedy już będzie po wszystkim, nigdy go nie zobaczę, ale... - przełknęła łzę - ...nie mogę znieść myśli, że go zabraknie na świecie.

- No to musimy spróbować uratować go dla pani, Mary.

Decyzja zapadła. Nie było czasu do stracenia. Przygotowano pokój. Z łóżka zdjęto pościel, obok postawiono stół, na którym Bertrand rozłożył zestaw przerażających instrumentów. Mary przykryła Randalla od pasa w dół czystym prześcierałem. Kiedy to robiła, przyszło jej do głowy, że jeśli operacja się nie uda, będzie to jego całun.

Za oknem toczyło się normalne życie. Uliczni handlarze nawoływali do obejrzenia ich kramów, czekały psy, skrzypiały wozy. Bertrand pracował. Mary mogła tylko patrzeć. Kiedy pot gromadził się mu nad brwiami, ocierała mu czoło tamponem, a potem dalej obserwowała w milczeniu, jak on powoli i delikatnie sondował ranę.

Czas przestał się liczyć. Mary nie słyszała uderzeń zegara, nie widziała, jak kwadrat światła słonecznego przesuwają się po podłodze, cała jej uwaga skupiała się na Randallu. Czuła się kompletnie bezradna. Wiedziała, że za drzwiami czeka Robbins, równie bezradny jak ona.

Bertrand wydał wreszcie westchnienie ulgi.

- *Enfin.*

Mary patrzyła na zakrwawioną kulę karabinową, którą trzymał między szczypcami pincety. Taki mały przedmiot, a może zabić człowieka.

- Ciągłe żyje - powiedział doktor, jakby czytał jej w myślach. - Oczyszczymy ranę spirytusem i zabandażujemy. Żadnych maści, jedynie czysty bandaż. A potem pozostaje tylko czekać. Jeśli nie będzie gorączki i infekcji, to może będzie żył.

Upłynęła jeszcze godzina, zanim skończyli. Bertrand czyścił narzędzia, Mary stała nad łóżkiem rannego.

- Nie odzyskuje przytomności - powiedziała.

- Ale puls ma miarowy.

- Może powinien pan upuścić mu krwi?

- *Mais non*, wiem, że wasi angielscy lekarze lubią wykrwawiać pacjentów. Zostawimy go w spokoju na co najmniej dzień. Teraz muszę już iść, jestem potrzebny w szpitalu.

- Pracuje pan w nocy?

- *Mais oui.* Jest wielu jeszcze rannych, którzy potrzebują mojej pomocy. Kiedy się obudzi albo kiedy będzie się działo coś niepokojącego, proszę posłać po mnie. - Potrząsnął ją za ramiona. - Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, Mary.

- Wiem. I jestem panu za to bardzo wdzięczna, tym bardziej że ma pan pod opieką wielu pacjentów.

- Ale ten jest dla pani specjalny, prawda, Mary?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po kolejnym nocnym czuwaniu przy łóżku Randalla Mary była wykończona. Przespała się przed południem, potem zabrała się do odpisywania na listy. W pierwszej kolejności na krótki liścik od lady Sarah, która zupełnie nie zdawała sobie sprawy z krytycznego stanu brata.

Liścik ów zirytował Mary i uświadomił zaskakujący i irytujący zarazem fakt: że nikt z rodziny Randalla nie siedzi przy nim i nie pielęgnuje go. Szybko jednak uświadomiła sobie, że Latymorowie nie mogli jej pomóc i chociaż godziny spędzone przy łóżku chorego były bardzo męczące, Mary wiedziała, że ona zajmie się nim najlepiej.

Bertrand przyszedł w południe. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było namówienie Mary do wyjścia na świeże powietrze.

- Błado pani wygląda. Nie powinna pani bez przerwy siedzieć w pokoju chorego.
- Nie siedzę bez przerwy. Zmieniamy się z Robbinsem.
- A kiedy pani wychodzi na dwór?
- Chcę być tutaj, na wszelki wypadek.
- Lordowi Randallowi nic się nie stanie, kiedy ja tu jestem. Proszę wyjść. Słońce tak pięknie świeci. Niech się pani przespaceruje do parku.
- Raczej nie tam. Nie chcę spotkać żadnej angielskiej damy. Mają zwyczaj patrzeć na mnie z góry. Ale... wiem, dokąd mogłabym pójść. Podczas ostatniej bytności major Flint zostawił swój notatnik. Pójdę go oddać majorowi. To dobry pretekst do wyjścia z domu.

Do mieszkania Flinta wpuściła Mary młoda kobieta o płomiennie rudych włosach i orzechowych oczach. Miała na sobie prostą suknię jak służąca, ale w jej postawie było coś takiego, co kazało Mary sądzić, że ma do czynienia z damą.

- Przychodzę od lorda Randalla. Major Flint zostawił to. - Wyciągnęła ku niej oprawny w skórę kajecik.

- Dziękuję. Mówił mi, że lord Randall został ranny podczas bitwy. Jak on się teraz czuje?

Jej troska o Randalla była szczera. Ujęła Mary.

- Mamy nadzieję... modlimy się o niego - zdołała wyjąkać w odpowiedzi. Nie śmiała dzielić się swoimi obawami. - Pani wybacz!

Z tymi słowami wybiegła, powtarzając sobie, że się nie rozplacze. Niczego w ten sposób nie rozwiąże, a czeka ją trudna przyszłość i wiele przeciwności do przecięcia.

Gdy wróciła na Rue Ducale, Bertranda już nie było. Robbins siedział w pokoju Randalla. Przyszedł do bawialni, słysząc, że Mary tam weszła.

- Jak się ma jego lordowska mość?

- Doktor mówi, że dobrze, panienko. Obudził się podczas badania i był zupełnie przytomny. Nawet mnie skłął jak za dawnych czasów.

- Nie pytał o mnie? - zagadnęła obojętnie, kładąc na stole kapelusz.

- Nie, panienko. Wizyta doktora Lebbecke zmęczyła go. Zaraz po jego wyjściu zasnął. Ale jego serce bije mocno i doktor zapowiada szybki powrót do zdrowia.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie, Robbins.

- Ugotuję mu trochę rosółu, niech wypije, kiedy się następnym razem obudzi. Ucieszy się pani widokiem, panienko, jeśli mi wolno wyrazić swoją opinię. Panienska działa na niego jak balsam.

- Czyżby? - Mary uśmiechnęła się z przymusem. - To dobrze. Ale ja zawsze uważałam, że powinnam się stąd wyprowadzić, kiedy tylko uzyskamy pewność, że lordowi Randallowi nic nie grozi.

- On będzie pani potrzebował jeszcze przez wiele miesięcy.

- Miło, że tak mówisz, chociaż oboje wiemy, że to nieprawda. Lord Randall dojdzie do zdrowia beze mnie.

Robbins przyjął jej słowa z zakłopotaną miną. Mary domyśliła się bez trudu dla-czego. Współdziałali ze sobą blisko ostatnimi czasy, poznali się i zaczęli się wzajemnie szanować. Nie potrafił jej okłamywać.

- Zamierzam odejść. Pożegnani się z lordem Randallem listownie.

- Nie - wykrzyknął przerażony. - Nie może panienska nas w taki sposób opuścić!

- Mogę, a nawet uważam, że powinnam.

- Ale nie dzisiaj. Niech panienska powie, że zostanie przynajmniej do rana. Jego lordowska mość odzyskał przytomność dopiero raz. Lekarz może się mylić. Co ja zrobię, kiedy mu się pogorszy, a panienki tu nie będzie?

Mary zagryzła wargę. Robbins dałby sobie radę, ale pokusa pozostania jeszcze jakiś czas przy Randallu okazała się zbyt wielka.

- Dobrze, zostanę. Dopóki się nie upewnimy, że milord jest na najlepszej drodze do wyzdrowienia, ale tylko ty będziesz go pielęgnował. Nie chciałabym przy nim być, gdyby się obudził.

Kłamała.

- Niech tak będzie, panienko. Jeśli zapyta o panienkę, powiem mu, że panienska śpi.

Mary usiadła przy biurku, żeby napisać pożegnalny list do Randalla. Słyszała, jak Robbins porusza się po jego sypialni. Potem dobiegł ją szmer cichej rozmowy. Hrabia obudził się i Robbins pobiegł po przygotowany wcześniej rosół.

Mary czekała. Atrament zasechł na piórze. Zastanawiała się, czy o nią pytał i czy poprosi, aby przyszła. Wyteńczyła słuch. W sypialni zrobiło się cicho. Ostatnia nadzieja zgasła, kiedy Robbins wszedł do bawialni z pustymi naczyniami na tacy.

- Posilił się tym rosółem, panienko. Wypił też kieliszek wina i od razu zaczął lepiej wyglądać. Ale zmęczył się. Śpi jak kłoda.

- Dobra wiadomość, Robbins.

Dobra i gorzka jednocześnie. Westchnęła i umoczyła pióro w kałamarzu.

Po posileniu się rosółem w Randalla wstąpił nowy duch. Wciąż czuł się słabo, lecz miał nadzieję, że rano obudzi się z nowymi siłami. Zobaczy się wtedy z Mary i pogo-

dzi się z nią. Tak postanowił w duchu i z całą determinacją zamierzał do tego doprowadzić.

Śniło mu się, że się obudził. Było bardzo ciemno i ktoś stał przy jego łóżku. Mary. Poznał ją po zapachu. Nie poruszył się, kiedy się nad nim pochyliła i dotknęła ustami jego skroni. Usłyszał cichym głosem wypowiedziane słowa:

- Do widzenia, kochanie!

- Dzień dobry, milordzie. Pozwoliłem sobie przynieść śniadanie.

Randall otworzył oczy i spojrzał nieprzytomnie na Robbinsa. Potrwało chwilę, zanim zorientował się, gdzie jest i jak się czuje. Przespał pierwszą całą noc bez laudantium i po raz pierwszy miał jasność w głowie. Czuł też głód. Robbins posadził go, podparł poduszkami i postawił przed nim tacę.

- Dziękuję, Robbins, ale ja myślałem, że to panna Endacott zajmie się mną dzisiaj rano.

- Panna Endacott wyprowadziła się, proszę pana.

- Niech to diabli! - Przypomniał sobie swój sen. - Kiedy?

- Około północy.

A więc to nie był sen... - pomyślał.

- Zostawiła dla pana list. - Robbins wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru.

Randall sięgnął po nią po krótkim wahaniu, rozłożył i przebiegł wzrokiem treść. Mary wyłuszczała powody, dla których on i ona nie pasują do siebie, i prosiła, żeby jej nie szukał.

- Milordzie, jeśli mogę...

- Nie możesz...! Przepraszam, Robbins, nie powinienem na ciebie krzyczeć. Zostaw mnie. Zawołam cię, kiedy poczuję głód.

Robbins posłusznie wyszedł, cicho za sobą zamykając. Randall patrzył na tacę ze śniadaniem. Nagle stracił apetyt.

Wytrzymał trzy dni bez napisania listu do Mary. Był za słaby, by wstać z łóżka, co nie przeszkodziło mu w załatwieniu spraw związanych z opuszczeniem służby wojskowej i powrotem do Anglii. Armia podążyła za Napoleonem Bonaparte do Paryża, lecz w Brukseli było jeszcze dużo do załatwienia. Sporządził niezbędne raporty i napisał listy kondolencyjne do rodzin tych swoich żołnierzy, którzy polegli w bitwie. Oficerowie krążyli tam i z powrotem pomiędzy jego kwaterą a dowództwem. Było to dosyć męczące, ale nic nie mogło się równać pod względem trudności z rozmową z jednym z pierwszych gości, którzy go odwiedzili, jego siostrą, Sarah.

Dziewczyna dojrzała ostatnio i nabrała pewności siebie. Randall chciał obsypać ją pretensjami za związanie się z majorem Bartlettem, ale zrezygnował. Przypomniało mu się, co mówiła Mary. Sarah stała się kobietą pewną swoich racji. A poza tym, kim on był, żeby udzielać jej reprymendy?

Kiedy zapytała o okoliczności śmierci Gideona, nie zamierzał jej zbywać. Zasługiwała na poznanie prawdy. Był zmuszony jeszcze raz przeżyć tę straszną chwilę, w której trzymał w ramionach konającego brata. Potem ona, nie szczędząc mu gorzkich wymówek, opowiadała, jak Mary szukała go na poboju i wśród zwłok złożonych w zmienionej w tymczasową kostnicę stodole. Przeżywał męczarnie, słuchając. Świadomość, co utracił i jak ją skrzywdził, była boleśniejsza niż wszelkie

otrzymane w bitwie rany.

Wreszcie dojrzał do tego, żeby do Mary napisać. List wrócił, nieotwarty, wraz z informacją, że panna Endacott wyjechała z Brukseli i nie zamierza wracać. Randall cisnął zmiętym listem o podłogę.

Robbins schylił się i podniósł papierową kulkę.

- Ma charakterek ta panna Endacott - zauważył. - Cicha, ale zdecydowana. Trzeba było widzieć, z jakim nabożeństwem słuchały jej pańskie zabijaki tego wieczoru, kiedy pana przywieźli do domu. A potem nie zadowolili się opinią wojskowego chirurga, że nic nie da się dla pana zrobić, tylko wezwała swojego lekarza...

- Tak, tak, nie musisz mi o tym mówić. Złe ją potraktowałem, prawda?

- Obawiam się, że tak, jaśnie panie.

- A teraz wyjechała, Bóg wie dokąd. Gdybym nie był uwiązany do łóżka, wyruszyłbym na poszukiwania.

- Wszystko w swoim czasie, milordzie. Dzisiaj wyciągniemy pana z łóżka, a za niedługo stanie pan na nogach, ręczę za to.

Randall wiedział, że ordynans ma rację. Kilka godzin spędzonych w fotelu było wszystkim, na co go było stać owego popołudnia.

Nazajutrz Randall z irytacją wypytywał doktora Lebbecke, jak długo jeszcze będzie go więził w czterech ścianach mieszkania.

- Robi pan szybkie postępy - odpowiedział doktor po zakończeniu badania. - Nie widzę przeszkód, żeby jutro nie wyszedł pan na dwór, jakkolwiek przewiduję, że nie zajdzie pan dalej niż kilka kroków od drzwi wyjściowych.

- Cholera, wybieram się o wiele dalej!

- Na wszystko przyjdzie czas, milordzie. Niech pan nie próbuje zbyt dużo i zbyt szybko, bo wszystkie moje wysiłki pójdą na marne. Teraz muszę już iść. Mam na Rue Haute pacjenta, którego stan mnie niepokoi.

- Zostawiła pana na posterunku?

- *Mais non*. Panna Endacott wciąż wszystkim zawiaduje.

- Myślałem, że wyjechała z Brukseli.

- Owszem, pojechała na kilka dni do Antwerpii, lecz wraca pod koniec tygodnia. Mam wciąż kilku pacjentów w budynku szkolnym, zbyt chorych, żeby można ich było przewieźć gdzie indziej i panna Endacott pozostanie i będzie doglądała ich pielęgnacji. Uważam jej obecność za warunek konieczny ich powrotu do zdrowia.

- Prosił ją pan, żeby została? - Randall poczuł ukłucie zazdrości.

- Zaproponowałem jej to i zgodziła się. Myślę, że była zadowolona z pretekstu, żeby zostać w Brukseli.

W tonie lekarza, a także w spojrzeniu, jakim obrzucił Randalla, było coś, co spowodowało, że zazdrość w Randallu wygasła.

- Jak pan przewiduje, jak długo ci pańscy pacjenci będą jeszcze musieli przebywać w budynku szkolnym?

- Nie mam zamiaru przenosić ich co najmniej przez kilka tygodni. Jeśli to wszystko, milordzie, to już pójdę. - Lebbecke skłonił się.

- Doktorze?

Lebbecke odwrócił się od drzwi.

- Dziękuję.

Mary siedziała przy biurku. Kolumny cyfr w otwartej księdze rachunkowej skakały jej przed oczami. Upłynęły już trzy tygodnie od wyprowadzki z Rue Ducale, lecz Randall wciąż zajmował jej wszystkie myśli. Chciała zapomnieć nie tylko o nim, lecz także o całej rodzinie Latymorów. Okazało się to nie takie proste. Na krótki liścik lady Sarah zareagowała w ten sposób, że następnego dnia stanęła na progu domu Mary i błagała o pozwolenie pielęgnowania rannych.

Mary powinna odmówić, chociaż było dużo pracy, nie chciała bowiem, żeby obecność przedstawicielki rodu Latymorów nieustannie przypominała jej o Randallu, ale nie potrafiła. Sarah w ostatnim czasie dużo wycierpiała.

Randall napisał do niej raz, lecz Mary zwróciła nieotwarty list. Jacques, który poszedł z nim na Rue Ducale, miał powiedzieć Robbinsowi, że wyjechała z Brukseli. Nie było to kłamstwem, bo rzeczywiście na kilka dni udała się do Antwerpii, aby ostatecznie rozwiązać szkołę i zwolnić do domu pozostałe uczennice.

Po powrocie do Brukseli zamierzała zacząć pakować dobytek i wyprowadzić się z Rue Haute jeszcze przed sprzedażą budynku szkolnego, lecz Bertrand przekonał ją, żeby została i pomogła opiekować się rannymi, których stan jeszcze nie pozwalał na przeniesienie. Kochany Bertrand był jej opoką w ostatnich tygodniach. Traktował ją jak przyjaciółkę i nigdy nie pozwolił sobie na najmniejszą uwagę na temat jej romansu z hrabią. Nauczył ją pielęgnacji chorych i starał się dawać jej stale jakieś zajęcie. Wciąż jednak nie mogła przestać myśleć o Randallu. W dzień brakowało jej jego towarzystwa, w nocy pocałunków, którymi ją obdarzał, kiedy się kochali. Był jak jej cień.

Mary odłożyła pióro i przetarła oczy. Popełniła błąd, że została w Brukseli. Nie powinna dać się przekonać Bertrandowi. Zbyt dużo tu bolesnych wspomnień. Obiecał jej, że ostatni pacjenci zostaną wywiezieni do najbliższego poniedziałku. Postanowiła, że i ona wtedy wyjedzie. Jacques i Therèse dopilnują sprzedaży domu, a ona postara się rozpocząć nowe życie gdzieś daleko stąd. Daleko od Randalla.

Bez względu na to, jak często powtarzała sobie, że tak będzie najlepiej, bo on i ona pochodzą ze zbyt odległych światów, ból rozstania był nie do zniesienia. Gorące łzy cisnęły się jej do oczu i nic nie mogła na to poradzić.

- Nie rozklejaj się - mówiła do siebie - będziesz musiała z tym żyć. Pomyśl, ile cierpienia widziałaś w ostatnich tygodniach. Jeśli ludzie mogą żyć z takimi strasznymi obrażeniami, ty też możesz ze swoim złamanym sercem!

Wzięła znowu do ręki pióro. Jeśli ma wyjechać w poniedziałek, musi uporządkować rachunki i przekazać księgi prawnikowi. Jeszcze raz próbowała podsumować kolumnę liczb, na próżno, nic nie widziała poprzez cisnące się do oczu łzy.

Usłyszała hałas w holu, po chwili otworzyły się drzwi do pokoju. Mary nie śmiała podnieść oczu.

- Przynosisz poranną kawę, Therèse? Dziękuję. Postaw ją, proszę, na stole.

Z głową pochyloną nad księgą udawała, że nie może oderwać się od pracy. Mrugała gwałtownie powiekami, żeby odzyskać ostrość widzenia. Na Boga, dlaczego ta dziewczyna tak się guzdrze? Dlaczego nie stawia filiżanki i nie wychodzi?

Na biurko padł cień i jakaś męska dłoń położyła coś na otwartej księdze. Mary zamrugała jeszcze gwałtowniej. Była to pojedyncza czerwona róża.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mary uniosła wzrok.

Randall.

Patrzył na nią poważnym wzrokiem. Szarpnęły nią sprzeczne emocje: radość, ból, nadzieja, rozgoryczenie. Wiedziała, że powinna szybko kazać mu odejść, zanim zła-
mie swoje postanowienie. Zerwała się z krzesła i stanęła na równych nogach.

- Co tu robisz, milordzie?

- Przyszedłem cię zobaczyć.

- To oczywiste. Ja natomiast nie chcę widzieć ciebie. Być może zapomniałeś, jak
potraktowałeś mnie na balu... Ja nie zapomniałam.

- Nie, niczego nie zapomniałem.

- Powinieneś wyjść, natychmiast.

Ponieważ nie posłuchał, podeszła do drzwi i przekręciła gałkę. Nie otworzyły się.

- Są zamknięte! Gdzie jest klucz?

- W mojej kieszeni.

Jego spokojny ton rozwścieczył ją.

- Za wiele sobie pozwalasz! Jacques!

- Nie wołaj go. Uprzedziłem, żeby nam nie przeszkadzał.

- Wydajesz rozkazy mojej służbie? To oburzające!

- To przywilej wynikający z rangi i pozycji, którą tak pogardzasz.

Tego było już za wiele.

- Jak śmiesz kpić sobie ze mnie! Natychmiast otwórz drzwi i wyjdź z mojego
domu!

- Nie wyjdę, dopóki nie powiem wszystkiego, co mam do powiedzenia.

- Nie będę tego słuchać.

- Niestety, musisz. - Wskazał krzesło. - Usiądź. Nie chcesz? To stój.

Obserwowała go, jak ściąga rękawiczki i kładzie je razem z kapeluszem na stole. Przypomniała sobie, jak już to raz robił wtedy, gdy na stole stał wazon z bukietem
od Bertranda. Powiedział wtedy, że od niego ona może się nie spodziewać żadnych
kwiatów. Zerknęła na leżącą na biurku różę. Wymowny dowód przemiany.

- Więc mów, co masz do powiedzenia, i wyjdź.

- Wiesz, że szablę wziął mój brat, Gideon?

- Tak. Robbins mi powiedział. Opowiedział mi również narosłą z tą szablą jej le-
gendę. Żołnierze byli przeświadczeni, że dałeś mu ją, ponieważ wyruszał na pierw-
szą wojnę w swoim życiu.

- Takie panuje przekonanie wśród moich artylerzystów. Uważają, że tylko dzięki
tej szabli zapobiegł przejęciu przez Francuzów naszych dział i uratował honor od-
działu. I zapłacił za to życiem.

- O tym też słyszałam.

Z zaciśniętymi ustami patrzyła w dywan. Nie usłyszy od niej choćby tonu współ-

czucia, nie da mu najmniejszej nadziei na to, że uda mu się skruszyć jej opór.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro, że byłem wobec ciebie taki niesprawiedliwy. Pokornie proszę o wybaczenie.

Czyżby przepraszał? - nie dowierzała w duchu. Przecież to nie leży w jego zwyczajach.

- I myślisz, że to wystarczy? - zapytała, kiedy otrząsnęła się ze zdumienia.

- Nie, to dopiero początek.

Zaryzykowała spojrzenie w górę i zauważyła, że jest w cywilnym niebieskim żakiecie.

- Nie jesteś w mundurze.

- Bo wystąpiłem z wojska. Wracam do domu, Mary, do Chalfont. I chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Nie musisz się obawiać, że moja rodzina nie zaakceptuje ciebie. Do mojej matki doszło już, jaką rolę odegrałaś w uratowaniu mnie. Wcale bym się nie dziwił, gdyby rzuciła ci się na szyję i nazwała zbawczynią Latymorów.

Ponieważ Mary nie odzywała się, mówił dalej.

- Nie wyobrażasz sobie, co przeżywałem, kiedy mnie opuściłaś. Byłem głupcem, że ci nie zaufałem, wiem to teraz i nie spodziewam się, byś mi to wybaczyła... ale jeśli dasz mi czas, postaram się wynagrodzić ci to.

Uklęknął przed nią na kolano. Grymas bólu skurczył mu twarz. Nie wytrzymała i wyciągnęła ku niemu rękę. Uchwycił ją, zanim zdążyła ją cofnąć. Nie mogła już dłużej unikać jego spojrzenia.

- Wyjdź za mnie, Mary - poprosił gorąco. - Pozwól, żebym do końca życia mógł ci udowodniać, jak bardzo cię kocham. Miałaś rację, mówiąc, że bałem się żyć... Ale ty to zmieniłaś. Nauczyłaś mnie radości, nauczyłaś mnie, co to znaczy kochać. Teraz potrzebuję ciebie, żebyś mnie nauczyła żyć bez moich żołnierzy. Okres rekonwalescencji dał mi czas do przemyśleń. Nie wiedziałem, co to miłość, prawdziwa miłość, dopóki ciebie nie poznałem. Opowiedziałem ci o moim młodzieńczym zauroczeniu i o tym, że nie byłem święty, to wszystko należy już jednak do przeszłości. Błagam cię, wyjdź za mnie, najukochańsza, bez ciebie nie wyobrażam sobie dalszego życia w przyszłości.

Udręka, z jaką na nią patrzył, była rozdzierająca. Mary załkała głośno.

- Och, Randall!

Z zaskakującą sprawnością podniósł się i porwał ją w ramiona. Poddała się jego pocałunkom. Krew zaszumiała w żyłach, znane ciepło rozpląnęło się w jej ciele od głowy po czubki palców u nóg. Ale chociaż drżała z rozkoszy, nie potrafiła zapomnieć krzywdy, jaką jej wyrządził. Zaczęła odpychać się od niego, uważając wszakże, żeby nie urazić świeżo zagojonej rany na piersi.

- Randall, nie mogę za ciebie wyjść, nie prosz mnie o to. Wszystko wyjaśniłam w liście, który do ciebie napisałam.

Schwycił ją za rękę.

- Usiądźmy, proszę. Nie jestem jeszcze w pełni zdrowy.

Podziałało, zaniepokoiła się.

- O tak, tak, oczywiście. - Podprowadziła go do kanapy, lecz kiedy pociągnął ją w dół, by obok niego usiadła, oparła mu się. - Co ten Jacques sobie myśli, że cię wpuścił? Mówiłam mu wyraźnie: jeśli przyjdiesz, ma ci oznajmić, że nie ma mnie

w domu!

- Nie obwiniaj go. Lebbeke kazał mnie wpuścić.

- Bertrand?

- Tak, był w holu, kiedy przyszedłem. W końcu to mój lekarz, wie, co dla mnie dobre - dodał z uśmiechem.

Mary udało się zachować powagę. Delikatnie uwolniła dłonie.

- Bardzo mi przykro, Randall, fakt, że przyszedłeś niczego nie zmienia. Myślałam o nas nieustannie od tamtego balu i wiem, że nigdy między nami się nie ułoży. Muszę odrzucić twoje oświadczyzny. Nie staraj się wpływać na zmianę mojego postanowienia, milordzie.

- Doskonale. - Westchnął i odchylił się na oparcie kanapy.

Mary otarła oczy. Bardzo usilnie starała się, żeby nie zauważył jej rozczarowania.

- Wojna to prosta sprawa w porównaniu z miłością - odezwał się. - Na wojnie znamy nieprzyjaciela i wojujemy tak długo, aż go pokonamy albo on nas pokona. Gdy się pokocha, sytuacja jest o wiele bardziej subtelna i trudna. Obiekt naszego uczucia staje się dla nas najważniejszą osobą na ziemi, a szczęście tej osoby ważniejsze niż nasze własne. Mówisz, że pochodzimy z zupełnie obcych światów, to prawda. Urodziłem się, by zostać parem Anglii, i jestem żołnierzem. Wpajano mi wrogość wobec rewolucji, podczas gdy ciebie wychowano w duchu podziwu dla niej. Jak to sformułowałaś w swoim liście? Poślubienie mnie oznaczałoby zdradę ideałów, w które wierzyli twoi rodzice. Powiedz mi tylko, czy oznaczałoby to także zdradę twoich ideałów?

- Tak... Nie... Myślałam, że tak, ale ja zmieniłam się, odkąd poznałam ciebie. To jednak jest bez znaczenia w tej chwili. Nawet jeśli cię pokochałam, to jesteśmy zbyt różni... Dzieliłby nas nieustający konflikt.

- Tak uważasz? Twoi rodzice uczyli cię, że tylko miłość powinna łączyć dwoje ludzi, prawda? Miłość i wspólnota intelektualnych zainteresowań. Czy nie mówiłaś mi tego podczas naszego pierwszego spotkania? A przecież odkryliśmy, że łączy nas o wiele więcej? Na przykład obopólna niechęć do wszelkiej sztuczności i niezgoda na niesprawiedliwość. Przypomnij sobie wspólnie spędzone chwile... Czy brakowało nam tematów do rozmów?

- Nie. Chociaż nie przypominam sobie, jakie to były tematy.

- Nie zapominaj, Mary, że jestem żołnierzem, więc mi wybac, jeśli nie poddam się bez stoczenia ostatniej walki. Są między nami różnice, ale nie takie, które byłyby nie do pokonania. Wierzę, że możemy być razem szczęśliwi, i wiem, że proszę cię, żebyś zaryzykowała o wiele więcej, niż ryzykuję ja. Całym swoim życiem, które mi jeszcze pozostało, pragnę ci udowodnić, że możesz być ze mną szczęśliwa. Świat się zmienia, Mary, i ja muszę zmienić się wraz z nim. Wracam do Anglii i przejmuję odpowiedzialność za Chalfont Abbey. Czas założyć własną rodzinę. Gideon nie żyje. Hattie i Gussie są mężatkami, pozostali młodszy bracia nie wyrosli jeszcze z wieku szkolnego. I oczywiście Sarah. Słusznie zauważyłaś, że ona nie jest już dzieckiem. Pójdzie własną drogą, z moim błogosławieństwem czy bez niego, ja jednak chcę, żeby wiedziała, że zawsze będę ją wspierał, cokolwiek zrobi.

Westchnął i zamilkł na dłuższą chwilę.

- Zbyt długo pozostawiałem zarządzanie majątkiem w rękach mamy - podjął. - Ona wyznaje zasady starego porządku, ja wierzę w nowy, nie będzie nam łatwo i z pewnością nie zawsze będziemy się zgadzali. Nie zmienię świata z dnia na dzień, ale mogę zapewnić swoim ludziom dostęp do edukacji i poprawić ich warunki mieszkaniowe. Chciałbym także wesprzeć w jakiejś formie dzieci mojego ojca. Flint zdobył już niezależność...

- Będzie jej bardzo potrzebował, jeśli zamierza się ożenić - wtrąciła Mary pojednawczo.

- Flint się żeni? Skąd wiesz?

- Zdaje się, że lady Sarah wspominała o tym. Poza tym sama widziałam kogoś w jego kwaterze. Kobietę. Resztę podpowiada mi kobieca intuicja.

- Myślałem, że nie wierzysz w takie rzeczy.

- W chwili obecnej sama nie bardzo wiem, w co wierzę.

Mary była zadowolona, że nie dociekał, skąd te wątpliwości dotyczące jej przekonania, tylko skwitował jej uwagę kiwnięciem głowy.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to życzę Flintowi wszystkiego najlepszego. On nie potrzebuje już mojej pomocy, lecz inni niestety byli zaniedbywani. Zrobię dla nich, co będę mógł. I przyjmę fotel w Izbie Lordów. Może będę mógł czynić dobro na większą skalę. Byłoby mi łatwiej, gdybym miał ciebie uboku. Pomogłabyś mi postępować, jak należy.

Przemawiała przez niego miłość. Mary widziała to, lecz poczuła się zmuszona wytoczyć jeszcze jeden argument.

- Dostyc, Randall. Trudno mi się tobie oprzeć, kiedy tak na mnie patrzysz.

- Masz o wiele silniejszą wolę ode mnie, najdroższa, niełatwo zachwiać twoimi decyzjami... Może jednak zgodziłabyś się popracować razem ze mną i doradzać mi, jak najskuteczniej poprawić dolę moich ludzi.

- To nie fair, milordzie - wykrzyknęła. Chciało się jej jednocześnie śmiać i płakać.

- Obiecałeś, że nie będziesz próbował mnie przekonywać.

- Będąc osobą dobrze odczytaną, powinnaś znać pogląd, według którego zasady fair play nie mają zastosowania w dwóch sytuacjach: na wojnie i w miłości. - Otoczył ją ramionami. - Twoi rodzice pobrali się, bo chcieli chronić ciebie i twoją siostrę. Wiedzieli, jak okrutny i niesprawiedliwy jest świat dla urodzonych z nielegalnego związku. Chcę ożenić się z tobą, aby dać ci ochronę mojego nazwiska i majątku, lecz jeśli sumienie nie pozwala ci tego przyjąć, zgoda - nie będziemy się pobierać. Mam dwóch młodszych braci, nie muszę troszczyć się o sukcesję i żenić. Jeśli wolisz, ty i ja możemy żyć w wolnym związku, którego spoiwem będą miłość i wspólne zainteresowania. Tylko nie opuszczaj mnie, Mary. Zostań ze mną, jako żona, jako kochanka czy wreszcie jako przyjaciółka. Powiedz, mogłabyś zostać ze mną w którejkolwiek z tych ról?

Poczuła nagłe onieśmienie.

- Gdyby to było możliwe, chciałabym przyjąć wszystkie trzy role. Być twoją żoną, twoją kochanką i twoją przyjaciółką - szepnęła z ustami w okolicy jego krawata.

Roześmiał się triumfująco.

- Co za wspaniała odpowiedź, moja nieustraszona Mary! Powinienem wiedzieć, że się na tobie nie zawiodę.

Odszukał ustami jej usta i przywarł do nich z mocą. Mary poczuła, jak opuszczają ją wszelkie wątpliwości i znika bez śladu niepewność. Oddała pocałunek z całą gorliwością, na jaką było ją stać. W końcu on uniósł głowę.

- Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz? - zapytał wpatrzony w nią.

- Chyba tak... - Uśmiechnęła się przez łzy, które nie mogły przesłonić widoku ulgi i szczęścia, jakie rozjaśniły jego utkwione w nią oczy. - Wyjdę za ciebie, Randall, pragnę bowiem naszego związku w każdej możliwej formie. W ostatnich tygodniach odkryłam, jak bardzo dojrzałam do miłości, którą czuję do ciebie. I jest jeszcze jeden powód. Chodzi o dobro naszego dziecka. Jest co prawda bardzo wcześnie, lecz podejrzewam, że ono już tu jest - dotknęła ręką brzucha. - Tak, Randall - uśmiechnęła się niepewnie - obawiam się, że nie byliśmy tak ostrożni, jak nam się wydawało.

- Moja najukochańsza! Jeśli to prawda, uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!

Tym razem gorący pocałunek trwał o wiele dłużej i kiedy Mary ponownie otworzyła oczy, odkryła, że leży z głową odchyloną na oparciu kanapy, podczas gdy Randall muska delikatnymi pocałunkami jej szyję. Westchnęła.

- Nie mogę uwierzyć, że wszystko pójdzie tak gładko, jak mówisz. Twoja matka będzie zgorszona moimi przekonaniem.

- Ona już cię kocha za to, że uratowałaś mi życie - szepnął, nagryzając leciutko płatek jej ucha. - Jestem przekonany, że będzie szczęśliwa, że żenię się z kobietą o tak niezłomnych zasadach. Nasz ślub powinien się odbyć zaraz po powrocie do Anglii.

- Do Anglii... - jęknęła. - Będziemy musieli skorzystać z twojego jachtu? Jeśli tak, to odmawiam zgody na podobne traktowanie jak podczas poprzedniej przeprawy...

Uciszył ją, kładąc jej palec na ustach.

- Nie martw się, kochanie, nie będzie takiej potrzeby. Włożysz żeglarskie spodnie Jacka, chłopca okrętowego. Jest mniej więcej twojego wzrostu.

- Spodnie? Odmawiam. To dopiero byłby skandal!

- Będziesz w nich wyglądała rozkosznie.

Pocałował ją gorąco, krusząc opór.

- Czy to rozsądne? - zaprotestowała nieszczercze. - Randall, przecież dopiero co wyzdrowiałeś!

- Nic nie mów! - rozkazał i popchnął ją na kanapę. - Zaraz ci pokażę, jak dobrze już się czuję!

[1] Mary Wollstonecraft, po mężu Godwin (1759-1797) - angielska pisarka, propagująca równouprawienie kobiet, prekursorka feminizmu. Była matką Mary Shelley, autorki klasycznej powieści grozy pt. *Frankenstein*.(przyp. tłum.).

[2] Robert Southey (1774-1843) - poeta, przedstawiciel romantyzmu w literaturze angielskiej (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: A Lady for Lord Randall
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2015
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2015 by Sarah Mallory
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3057-5

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Przypisy
Strona redakcyjna